

Gabriel Garcia Marquez (ur. 1928);  
 pisarz kolumbijski, jeden  
 z najwybitniejszych prozaików  
 XX wieku, autor takich bestsellerów  
 jak: Sto lat samotności, Szarańcza,  
 Jesień patriarchy, Opowieść rozbitka,  
 Miłość w czasach zarazy, Zła godzina,  
 Raport z pewnego porwania,  
 Kronika zapowiedzianej śmierci,  
 O miłości i innych demonach,  
 Generał w labiryncie.  
 Laureat Nagrody Nobla  
 w roku 1982.

Gabriel  
 GARCIA  
 MARQUEZ

Dwanaście  
 opowiadań  
 tułaczyc

Przełożył Carlos Marrodan Casas  
 warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA .

Tytuł oryginału: Doce cuentos peregrinos

Projekt okładki: Maryna Wiśniewska

Redakcja: Marzena Adamczyk

Redakcja techniczna: Zbigniew Katafiasz

Korekta: Anna Zaluska

(c) by Gabriel Garcia Marquez, 1992

for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1995, 2004

(c) for the Polish translation by Carlos Marrodan Casas

ISBN 83-7079-545-5

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2004

Spis treści

Prolog Dlaczego dwanaście, dlaczego

opowiadań, dlaczego tułaczyc

Szczęśliwej podróży, panie prezydencie

Święta

Samolot śpiącej królowny

Śnię na zamówienie

"Chciałam tylko skorzystać z telefonu"

Strachy sierpniowe

Maria dos Prazeres

Siedemnastu zatrutych Anglików

Tramontana

Szczęśliwe lato pani Forbes

Światło jest jak woda

Ślad twojej krwi na śniegu

Prolog

Dlaczego dwanaście, dlaczego

opowiadań, dlaczego tułaczyc

Dwanaście umieszczonych w tej książce opowiadań zostało napisanych w ciągu ostatnich osiemnastu lat.

Zanim

uzyskały swój obecny kształt, pięć z nich było dziennikarskimi felietonami i scenariuszami filmowymi, a jedno telewizyjnym serialem. Inne z kolei opowiedziałem piętnaście lat temu w trakcie nagrywanego wywiadu; przyjaciel, któremu je opowiedziałem, spisał całą historię i opublikował, a teraz ja napisałem ją na nowo, za punkt wyjścia biorąc ową wcześniejszą wersję. Było to dziwne doświadczenie twórcze, warte wyjaśnienia choćby po to, żeby dzieci, które chcą zostać pisarzami, już teraz dowiedziały się, jak zaborczy i wyniszczający jest nałóg pisania. Pierwszy pomysł nasunął mi się na początku lat siedemdziesiątych w wyniku proroczego snu, jaki miałem po pięcioletnim pobycie w Barcelonie. Śniło mi się, że jestem na własnym pogrzebie i że idę w gronie przyjaciół ubranych w ciężką żałobę, ale w radosnych nastrojach. Wyglądaliśmy na uszczęśliwionych tym spotkaniem. A szczególnie ja, bo szczęśliwym zbiegiem okoliczności moja własna śmierć stała się wspaniałą okazją do spotkania moich latynoamerykańskich przyjaciół, tych od dawien dawna, tych najbliższych sercu, tych, których nie widziałem już od wieków. Pod koniec uroczystości, kiedy zaczęli już odchodzić, też chciałem pójść z nimi, ale jeden z przyjaciół dał mi do zrozumienia, kategorycznie i nieodwołalnie, że dla mnie zabawa już się skończyła. "Jesteś jedynym, który nie może stąd odejść", powiedział. Dopiero wtedy zrozumiałem, że umrzeć to znaczy już nigdy więcej nie spotkać przyjaciół. Nie wiem, dlaczego odczytałem ów pouczający sen jako uświadomienie sobie własnej tożsamości i pomyślałem, że jest to dobry punkt wyjścia, by napisać o dziwnych przypadkach, jakie spotykają Latynosów w Europie. Było to pokrępiące odkrycie, nieco wcześniej ukończyłem bowiem Jesień patriarchy, moją najtrudniejszą i najbardziej karkołomną pracę, i nie bardzo wiedziałem co dalej. Przez mniej więcej dwa lata notowałem wszystkie tematy, które przychodziły mi do głowy, nie zastanawiając się, co z nimi pocznę. A że owego wieczoru, kiedy zdecydowałem się zapisywać nasuwające mi się pomysły, nie miałem pod ręką żadnego notesu, moi synowie pożyczyli mi zwykły zeszyt. Podczas naszych kolejnych i dość licznych podróży sami go przewozili w tornistrze, obawiając się, że ja mogę ów zeszyt zapodziać. Zanotowałem sześćdziesiąt cztery tematy, i to z taką wielością szczegółów, że tylko siadać i pisać. Już w Meksyku, po moim powrocie z Barcelony w roku 1974, stało się dla mnie jasne, że przyszła książka nie powinna być powieścią, jak początkowo zakładałem, ale zbiorem opowiadań, opartych na dziennikarskich faktach, ale dzięki fortelom poezji ocalonych od rychłej śmierci. Do tamtej pory napisałem trzy zbiory opowiadań. Żaden z nich nie powstawał jako spójna, z góry przemyślana całość. Każde opowiadanie było dziełem tyleż autonomicznym, co i przypadkowym. Zamiar napisania sześćdziesięciu czterech opowiadań jednym ciągiem, tak by zachować wewnętrzną jednolitość tonacji i stylu, które w pamięci Czytelnika uczyniłyby z nich nierozdzielny całość, zapowiadał więc fascynującą przygodę. Pierwsze dwa - Ślad twojej krwi na śniegu i Szczęśliwe lato pani Forbes - napisałem w 1976 roku i natychmiast opublikowałem w dodatkach literackich wielu czasopism różnych krajów. Pisałem codziennie, bez chwili spoczynku, ale w połowie trzeciego opowiadania, właśnie tego o moim pogrzebie, poczułem, że ogarnia mnie zmęczenie znacznie większe niż przy pisaniu powieści. To samo przydarzyło mi się przy czwartym opowiadaniu. Do tego stopnia, że zabrakło mi sił i odwagi, żeby któreś z nich dokończyć. Teraz już wiem dlaczego: wysiłek przy

pisaniu krótkiego opowiadania jest równie intensywny jak przy rozpoczynaniu powieści. W pierwszym akapicie powieści należy bowiem określić wszystko: jej strukturę, ton, styl, rytm, długość, czasem nawet charakter jednej z postaci. Reszta jest już radością pisania, najintymniejszą i przeżywaną w niewyobrażalnej samotności, i jeśli człowiek nie spędza reszty życia na poprawianiu książki, to tylko dlatego, że hart ducha potrzebny do rozpoczęcia książki jest niezbędny również do jej zakończenia. Opowiadanie nie ma za to ani początku, ani końca: albo załapie i zacznie się kleić, albo nie załapie i nie będzie się kleić. A jeśli nie, to z mojego doświadczenia i z doświadczenia innych wynika, że w większości przypadków najlepiej jest zacząć wszystko od nowa albo wyrzucić do kosza. Ktoś, nie pamiętam już kto, znakomicie to wyraził w pokrzedającym zdaniu: "Dobrego pisarza poznaje się bardziej po tym, co drze na strzępy, niż po tym, co drukuje". Nie podarłem, co prawda, brudnopisów i notatek, ale uczyniłem coś znacznie gorszego: puściłem je w niepamięć.

Pamiętam, że jeszcze w Meksyku zeszyt jak nieszczęsny rozbitek pośród sztormu papierzyśk dryfował po moim biurku do roku 1978. Pewnego dnia, szukając czegoś zupełnie innego, uprzytomniłem sobie, że od pewnego czasu nie widziałem go. Nie przejąłem się tym. Ale kiedy przekonałem się, że rzeczywiście go nie ma, ogarnęła mnie panika. W całym domu nie uchwyciłem się kąta, którego byśmy dokładnie nie przeszukali. Odsunęliśmy wszystkie meble, rozmontowaliśmy regały, aby upewnić się, że zeszyt nie spadł za książki, poddaliśmy również służbę i przyjaciół niewybaczalnym przesłuchaniom. Kamień w wodę. Jedynym możliwym - a nawet wysoce prawdopodobnym - wyjaśnieniem było to, że podczas którejś z licznych i wielokrotnie przeze mnie dokonywanych akcji likwidowania nadmiaru papierów zeszyt wylądował w koszu.

Byłem zaskoczony własną reakcją: tematy, o których przez cztery niemal lata w ogóle nie pamiętałem, stały się dla mnie sprawą honoru. Próbując je odzyskać za wszelką cenę, z nie mniejszym niż ich pierwsze spisanie mozołem zdołałem zrekonstruować zapis trzydziestu. A że sam trud przypominania ich sobie stworzył mi okazję do zrobienia czystki, bezlitośnie wyeliminowałem te, które wydawały mi się nie do uratowania, i w rezultacie pozostało ich osiemnaście. Tym razem solennie postanowiłem, że napiszę je wszystkie od razu, jedno po drugim, ale szybko zrozumiałem, że straciłem do nich serce. A jednak, wbrew temu, co sam zawsze radziłem początkującym pisarzom, nie wyrzuciłem ich do kosza, ale ponownie włączyłem do archiwum. Tak na wszelki wypadek.

Gdy w 1979 roku zacząłem Kronikę zapowiedzianej śmierci, stwierdziłem, że w przerwach pomiędzy dwiema książkami tracę nawyk pisania i że z coraz większą trudnością przychodzi mi rozpoczynanie od nowa. Stąd też od października 1980 roku do marca 1984 narzuciłem sobie obowiązek pisania cotygodniowych felietonów dla dzienników kilku krajów: i dla dyscypliny, i żeby mi ręka nie wyszła z wprawy. Pomyślałem wówczas, że mój konflikt z zeszytowymi zapiskami wynikał z nierozwiązanego ciągle problemu wyboru gatunku literackiego i że - w gruncie rzeczy - nie powinny to być opowiadania, tylko felietony. Tyle że po opublikowaniu pięciu felietonów opartych na pomysłach z zeszytu znowu zmieniłem zdanie: nadawały się bardziej na scenariusze filmowe. W ten

sposób powstało pięć filmów i serial telewizyjny.

Nie byłem jednak w stanie przewidzieć, że praca felietonisty i scenarzysty odmieni część moich pomysłów na opowiadania do tego stopnia, że nadawszy im wreszcie kształt ostateczny, będę musiał iście po aptekarsku oddzielać moje własne pomysły od sugestii poddawanych mi przez reżyserów podczas przygotowywania scenariuszy. Jednoczesna współpraca z pięcioma różnymi twórcami podsunęła mi zarazem myśl o zmianie metody pisania opowiadań: zaczynałem któreś z nich, kiedy miałem czas, zostawiałem, kiedy czułem się zmęczony albo gdy pojawiał się jakiś nieprzewidziany projekt, następnie zaś zaczynałem inne. Po roku z okładem sześć z osiemnastu tematów trafiło do kosza, w tym również ten o moim pogrzebie, nigdy bowiem nie udało mi się zadowolająco odtworzyć owej pysznej zabawy, która mi się przyśniła. Za to pozostałe opowiadania zdawały się odzyskiwać oddech zwiastujący długie życie.

To właśnie dwanaście opowiadań z tej książki. We wrześniu ubiegłego roku były już gotowe do druku po kolejnych dwóch latach dość nieregularnej pracy. I w ten sposób nastąpiłby kres ich ustawicznej tułaczki z biurka do kosza i z powrotem, gdyby w ostatniej chwili nie opadła mnie jeszcze jedna, ostateczna, wątpliwość. Zważywszy, że opowiadania dzieją się w różnych miastach europejskich, które opisywałem takimi, jakimi zachowały się w mej pamięci, i przebywając od nich z dala, zapragnąłem sprawdzić, na ile zawodna była moja pamięć po niemal dwudziestu latach, i wybrałem się na błyskawiczny rekonesans do Barcelony, Genewy, Rzymu i Paryża.

Żadne z tych miast nie miało już nic wspólnego z moimi wspomnieniami. Wszystkie, jak cała obecna Europa, były rozmyte przez zaskakujące odwrócenie porządku rzeczy: prawdziwe wspomnienia wydawały mi się urojeniami pamięci, podczas gdy te zafałszowane były tak przekonujące, iż zastąpiły rzeczywistość. Nie byłem więc w stanie oddzielić rozczarowania od nostalgii. To było ostateczne rozwiązanie. Wreszcie znalazłem coś, czego mi najbardziej brakowało do zakończenia książki, a czego dostarczyć mi mogły jedynie upływające lata: perspektywę w czasie.

Po powrocie z owej szczęśliwej podróży znowu siadłem do pisania opowiadań, redagując je wszystkie od nowa w ciągu ośmiu gorączkowych miesięcy, podczas których nie musiałem zadawać sobie pytania, gdzie kończy się życie, a zaczyna wyobraźnia, bo wspomagało mnie przypuszczenie, że być może nigdy nie miało miejsca nic z tego, co przeżyłem w Europie dwadzieścia lat wcześniej. Pisanie nabrało takiej płynności, iż czasami czułem, że

piszę li tylko dla samej frajdy opowiadania, co jest dla człowieka stanem najbliższym lewitacji. Poza tym, pracując nad wszystkimi jednocześnie, przeskakując swobodnie od jednego do drugiego, zdołałem przyjrzeć im się z odpowiedniego dystansu, co uratowało mnie od męczenia kolejnych początków i pomogło wyłowić wynikające z lenistwa powtórzenia i zabójcze sprzeczności. Sądzę, że w ten sposób osiągnąłem efekt najbliższy zbiorowi opowiadań, jaki zawsze chciałem napisać.

Oto on, gotów do podania na stół po tak długiej tułaczce w tę i z powrotem i walce na śmierć i życie z przewrotną niepewnością rozterek. Wszystkie opowiadania, poza pierwszymi dwoma, zostały ukończone w tym samym czasie i każde z nich opatrzone jest datą jego rozpoczęcia. Porządek przyjęty w tym wydaniu odpowiada kolejności, w jakiej zapisywane były w zeszycie.

Zawsze sądziłem, że każda następna wersja opowiadania jest lepsza od poprzedniej. A skąd wiadomo, która powinna być ostatnią? To sekret zawodu, który nie rzędzi

się prawami rozumu, lecz magią instynktów, tak samo jak kucharka wie, kiedy zupa już jest gotowa. W każdym razie, żeby uniknąć wątpliwości, nie będę tych opowiadań ponownie czytał, tak jak nigdy nie przeczytałem po wydaniu, ze strachu przed wyrzutami sumienia, żadnej z moich książek. Kto je przeczyta, będzie wiedział, co z nimi zrobić. Na szczęście trafienie do kosza może być dla tych dwunastu tułaczych opowiadań ukojeniem, jakie daje szczęśliwy powrót do domu.

Gabriel Garcia Marquez

Cartagena de Indias, kwiecień, 1992

Szczęśliwej podróży,

panie prezydencie

Siedział na drewnianej ławce w cieniu pożółkłych liści

wyludnionego parku i z dłońmi wspartymi o srebrną gałkę laski przyglądał się zakurczonym łabędziom,

myśląc

o śmierci. Kiedy po raz pierwszy przyjechał do Genewy,

jezioro było spokojne i przejrzyste, oswojone mewy pozwalały karmić się z ręki, a spacerujące po promenadzie

kobiety do towarzystwa ze swymi jedwabnymi parasolkami i w woalkach z organdy wyglądały o szóstej po

południu jak zjawy. A teraz, jak wzrok sięgał, jedyną kobietą

do towarzystwa była kwiaciarzka na wymarłym nabrzeżu.

Trudno mu było uwierzyć, że czas zdołał dokonać tylu

spustoszeń nie tylko w jego własnym życiu, ale i na całym świecie.

Był jeszcze jednym bezimiennym w mieście bezimiennych znakomitości. Na sobie miał ciemnoniebieski

garnitur

w białe prążki, brokatową kamizelkę i sztywny kapelusz

emerytowanych sędziów. Miał dumne, muszkieterskie wąsy, bujne popielate włosy romantycznie pofalowane,

ręce

harfisty z obrączką wdowca na serdecznym palcu lewej dłoni i wesołe oczy. Jedynym, co zdradzało stan jego

zdrowia,

było zmęczenie skóry. Nawet teraz, w siedemdziesiątym

trzecim roku życia, cechowała go nienaganna elegancja.

Niemniej owego ranka wszelka próżność była mu obca. Lata chwały i potęgi minęły dlań bezpowrotnie i teraz

trwały

jedynie lata śmierci.

Wrócił do Genewy po dwóch wojnach światowych w poszukiwaniu odpowiedzi ostatecznie rozstrzygającej

pochodzenie bólu, którego lekarze z Martyniki nie byli w stanie

rozpoznać. Zamierzał spędzić tu nie więcej niż piętnaście

dni, ale mijało już sześć tygodni wyczerpujących badań,

niepewnych wyników, a końca wciąż nie było widać. Szukali bólu w wątrobie, w nerkach, w trzustce, w

prostacie,

tam gdzie było go tyle co nic. Aż do owego niepożądanego czwartku, kiedy to najmniej utytułowany lekarz z

całej

plejady badających go znakomitości umówił się z nim na

dziewiątą rano na oddziale neurologii.

Gabinet sprawiał wrażenie klasztornej celi, a lekarz był

niziutki i ponury i miał prawą dłoń w gipsie z powodu

złamanego kciuka. Gdy zgasił światło, na ekranie pojawiło się zdjęcie rentgenowskie kręgosłupa, którego on z

początku nie rozpoznał jako własnego, dopóki lekarz nie

wskazał mu spojenia kręgów poniżej pasa.

- Tu jest pański ból - powiedział mu.

Dla niego nie było to takie proste. Odczuwany przezeń

ból był nieuchwytny i trudny do umiejscowienia, bo czasem wydawało mu się, że czuje go w prawym boku,

kiedy

indziej, że doskwiera mu w dolnej części brzucha, a nierzadko pojawiał się jako nagłe ukłucie w pachwinie. Nie

odrywając wskazówki od ekranu, lekarz wysłuchał go z zaciekawieniem. "I dlatego tak długo nas zwodził - powiedział. - Ale teraz już wiemy, że siedzi tutaj". Następnie przytknął palec wskazujący do skroni i sprecyzował:

- Chociaż ściśle mówiąc, panie prezydencie, wszelki ból bierze się stąd.

Jego styl stawiania diagnozy był tak przesycony dramatyzmem, iż końcowe orzeczenie wydawało się wręcz pomyślne: prezydent musi poddać się ryzykownej, acz nieuchronnej operacji. Ten ze swej strony zapytał lekarza, jaki jest stopień ryzyka, stary doktor zaś nadał swojej odpowiedzi silny odcień niepewności.

- Tego nie jesteśmy w stanie dokładnie określić.

Do niedawna, dodał, ryzyko nieszczęśliwych wypadków było duże, a jeszcze większe niebezpieczeństwo paraliżu rozmaitego stopnia. Ale mając na względzie postępy w medycynie z ostatnich dwóch wojen światowych,

obawy te należą już do przeszłości.

- Może pan iść spokojnie - rzekł na koniec. - Proszę wszystko przygotować i powiadomić nas. I przede wszystkim proszę nie zapominać, że im szybciej, tym lepiej.

To nie był najlepszy poranek dla strawienia tak złej wiadomości, do tego jeszcze pod gołym niebem. Opuścił hotel wcześniej rano, nie biorąc palta, bo przez okno zobaczył ostro świecące słońce, i przeszedł się miarowym krokiem z Chemin du Beau Soleil, gdzie znajdował się szpital, aż do Parku Angielskiego, kryjówki zakochanych par.

Siedział tam już ponad godzinę, nieustannie myśląc o śmierci, kiedy zaczęła się jesień. Jezioro spieniło się niczym wzburzony ocean, a nagły wiatr przygnał mewy i strącił ostatnie liście. Prezydent wstał i zamiast kupić kwiat u kwiaciarki, zerwał margerytkę z klombu i wpiął ją w butonierkę. Kwiaciarka nakryła go.

- To nie boża łączka, szanowny panie - powiedziała rozgoryczona. - To jest własność rady miejskiej.

Nie zwrócił na nią uwagi. Oddalił się lekkim krokiem, trzymając laskę w pół i od czasu do czasu kręcąc nią młynka z szykiem co nieco frywolnym. Na moście Mont

Blanc pospiesznie zdejmowano szaleńczo trzepoczące flagi Konfederacji, a strzelista fontanna zwieńczona pianą

zgasła przedwcześnie. Prezydent nie poznał swojej kawiarni na nabrzeżu, bo zwinięto już zieloną plandekę markizy i zamknięto okwiecone ogródki. Wewnątrz, mimo dnia, zapalono lampy, a kwartet smyczkowy grał wczesnego Mozarta. Prezydent wziął gazetę z odłożonej na kontuarze sterty pism dla klientów, powiesił na wieszaku kapelusz i laskę, nałożył okulary w złotej oprawie,

by przy najbardziej odosobnionym stoliku oddać się lekturze, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że już jest jesień.

Zaczął od przejrzenia międzynarodowej kolumny, gdzie bardzo rzadko zdarzało mu się natrafić na jakąkolwiek wiadomość z Ameryki Łacińskiej, a następnie przeszedł do czytania gazety od końca, czekając na podanie mu przez kelnerkę codziennie przez niego zamawianej butelki wody Evian. Przed ponad trzydziestu laty, ulegając zaleceniom lekarzy, zrezygnował z picia kawy. Zastrzegł sobie jednak: "Gdybym pewnego dnia nabrał pewności, że

umrę, wróciłbym do kawy". Być może nadeszła już pora.

- Poproszę również o kawę - zamówił w doskonałej

francuszczyźnie. I nie zważając na dwuznaczność, dodał:

- Po włosku, taką, co to umarłego postawi na nogi.

Wypił kawę, nie słodząc, małymi łyчками, następnie postawił na talerzyku odwróconą dnem do góry filiżankę, aby spływające fusy, pierwszy raz od wielu lat, mogły bez pośpiechu nakreślić czekający go los. Odzyskany smak uwolnił go na moment od ponurych myśli. W chwilę później, jakby stanowiło to część wróżbiarskiego rytuału, poczuł, że ktoś mu się przygląda. Przerzucił wówczas stronę niedbałym gestem, spojrzawszy znad okularów i ujrzał bladego, nieogolonego mężczyznę w sportowej czapce i w podbitej kożuszkowej kurtce, który, unikając jego spojrzenia, natychmiast odwrócił wzrok.

Twarz wydała mu się znajoma. Wielokrotnie mijali się na szpitalnym korytarzu, a pewnego dnia, gdy przyglądał się łabędziom, ujrzał owego mężczyznę przejeżdżającego na motorowerze przez Promenadę du Lac, nigdy jednak nie czuł się przez tamtego rozpoznany. Nie odrzucił jednak możliwości, że jest to kolejny przypadek częstej na

uchodźstwie manii prześladowczej.

Doczytał spokojnie gazetę, dając się unosić przebogatym wolonczelom Brahmsa, dopóki ból nie okazał się silniejszy od muzycznej narkozy. Spojrzawszy wówczas na złoty zegarek na dewizce, który nosił przy kieszonce kamizelki, zażył dwie, przewidziane na dwunastą, tabletki uśmierzające i popił ostatnim łykiem wody Evian. Zanim zdjął okulary, odczytał swoje przeznaczenie w fusach po kawie i ciarki przeszły mu po plecach: ujrzał tam niepewność.

W końcu zapłacił rachunek, zostawiając skąpy napiwek, zdjął z wieszaka laskę i kapelusz i wyszedł na ulicę, nie spojrzawszy nawet na przypatrującego mu się mężczyznę. Odszedł radosnym krokiem, idąc skrajem klombów pokrytych połamanymi przez wiatr kwiatami i wierząc, że uwolnił się od uroku. Ale wnet usłyszał odgłos podążających za nim kroków i skręciwszy za róg zatrzymał się

i odwrócił. Podążający za nim mężczyzna, chcąc uniknąć zderzenia, stanął w miejscu i zbity z tropu spojrzawszy nań z odległości nieprzekraczającej dwóch piędzi.

- Pan prezydent - wymamrotał.

- Powiedz swoim mocodawcom, żeby nie robili sobie złudzeń - powiedział prezydent, nie tracąc ani uśmiechu, ani czaru swego głosu. - Cieszę się doskonałym zdrowiem.

- Nikt tego nie wie lepiej ode mnie - odpowiedział mężczyzna przytłoczony ciężarem dostojeństwa, jakie spadło na niego. - Pracuję w szpitalu.

Wymowa i melodia, nawet nieśmiałość, zdradzały prostego mieszkańca Karaibów.

- Nie powie mi pan, że jest pan lekarzem - odparł prezydent.

- To szczyt moich marzeń, proszę pana - powiedział mężczyzna. - Jestem kierowcą karetki.

- Przykro mi - rzekł prezydent, przeświadczony o swej pomyłce. - To ciężka praca.

- Bez porównania lżejsza od pańskiej.

Przyjrzał mu się bezceremonialnie i wsparłszy się dłońmi na lasce, zapytał z nieudawanym zainteresowaniem:

- Skąd pan pochodzi?

- Z Karaibów.

- To już zdążyłem zauważyć - powiedział prezydent.

- Ale z jakiego kraju?

- Z tego samego co pan, proszę pana - powiedział mężczyzna i uściśnął mu dłoń. - Nazywam się Homero Rey.

Prezydent przerwał mu zaskoczony, nie puszczając jego ręki.

- No, no! - rzekł. - Niczego sobie nazwisko!

Homero odprężył się.

- To nie wszystko - powiedział. - Homero Rey de la Casa.

Ostry zimowy podmuch zniecka przeszył obu bezbronnych na środku ulicy mężczyzn. Prezydent poczuł, jak mróz chodzi mu po kościach, i uprzytomnił sobie, że nie będzie w stanie przejść bez palta dwóch przecznic dzielących go od knajpki dla ubogich, gdzie zwykł jadać.

- Jest pan po obiedzie? - zapytał Homera.

- Nigdy nie jem obiadu - odparł Homero. - Jem tylko raz dziennie, wieczorem, w domu.

- Proszę zrobić dziś wyjątek - powiedział prezydent, wabiąc całym swym urokiem. - Zapraszam pana na obiad.

Wziął Homera pod ramię i poprowadził do znajdującej się naprzeciwko restauracji, z wypisaną złotymi literami na płóciennej markizie nazwą: Le Boeuf Couronne. Lokal był niewielki, ciepły i zdawało się, że nie ma wolnych miejsc. Homero Rey, zaskoczony, iż nikt nie rozpoznaje prezydenta, przeszedł całą salę, żeby poprosić o pomoc.

- Czy to prezydent urzędujący? - zapytał właściciel.

- Nie - odpowiedział Homero. - Obalony.

Właściciel uśmiechnął się z aprobatą. - Dla takich - rzekł - mam zawsze specjalny stół.

Zaprowadził ich w głąb restauracji, gdzie przy odosobnionym stoliku mogli nagadać się do woli. Prezydent wyraził mu swą wdzięczność.

- Nie każdy potrafi, jak pan, uszanować godność wygnania.

Specjalnością zakładu był rostbef z rusztu. Prezydent

i jego gość rozejrzeli się i dostrzegli na sąsiednich stołach

ogromne porcje pieczonego mięsa obrzeżone warstewką

mięciutkiego tłuszczu. "To cudowne mięso - szepnął prezydent. - Ale nie wolno mi go nawet tknąć. Surowo zabronione". Rzucił Homerowi przekorne spojrzenie i zmienił ton.

- Tak naprawdę to wszystko mam zabronione.

- Kawę też - odparł Homero - a jednak ją pan pije.

- Zauważył to pan? - spytał prezydent. - Ale dziś był to jedynie wyjątek w tak wyjątkowym dniu.

Wyjątkiem w tym dniu była nie tylko kawa. Zamówił

również rostbef z rusztu i sałatkę ze świeżych warzyw przyprawioną jedynie kilkoma kropelkami oliwy. Jego gość

zamówił to samo, a ponadto pół karafki czerwonego wina.

Czekając na podanie mięsa, Homero wyjął z kieszeni

marynarki portfel bez pieniędzy, za to z dużą liczbą papierków i pokazał prezydentowi wyblakłą fotografię.

Ten

rozpoznał się w chudszy o ileś kilogramów mężczyźnie

w koszuli, o intensywnie czarnych włosach i wąsach, otoczonym tłumem młodych ludzi prężących się ile sił, by

wypaść jak najlepiej. Wystarczyło mu spojrzeć, by rozpoznać miejsce, rozpoznać hasła męczącej kampanii

wyborczej, rozpoznać nieprzyjemną datę. "To straszne - mruknął. - Zawsze uważałem, że na portretach

człowiek starzeje się szybciej niż naprawdę". I oddał zdjęcie gestem

ostatecznej rezygnacji.

- Pamiętam to bardzo dobrze - powiedział. - To było

tysiące lat temu, na arenie walk kogucich w San Cristóbal de las Casas.

- To moje miasteczko - powiedział Homero i wskazał

siebie wśród sfotografowanej grupy. - To ja.

Prezydent rozpoznał go.

- Był pan dzieckiem!



- Prawie - odrzekł Homero. - Towarzyszyłem panu podczas kampanii na południu jako dowódca brygad studenckich. Prezydent wyprzedził wymówkę.

- Ja, oczywiście, nawet nie zwracałem na pana uwagi - powiedział.

- Wprost przeciwnie, był pan wobec nas bardzo uprzejmy - powiedział Homero. - Ale było nas tak dużo, że nie był pan w stanie nikogo zapamiętać.

- A później?

- Kto może to wiedzieć lepiej niż pan? - odrzekł Homero. - To prawdziwy cud, że po wojskowym zamachu stanu obaj jesteśmy tutaj, gotowi zjeść pół wołu. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

W tej samej chwili podano im zamówione danie. Prezydent założył sobie serwetkę jak dziecięcy śliniaczek i nie zlekceważył milczącego zaskoczenia swego gościa. "Gdybym tego nie robił, każdy obiad oznaczałby utratę krawata", powiedział. Zanim przystąpił do właściwego jedzenia, skosztował nieco mięsa, gestem zadowolenia zaaprobował stopień przyrządzenia i wrócił do tematu.

- Nie mogę tylko zrozumieć - powiedział - dlaczego zamiast tropić mnie jak ogar, nie podszedł pan do mnie wcześniej.

Homero wtedy opowiedział, że rozpoznał go od razu, gdy zobaczył, jak wchodzi do szpitala wejściem zarezerwowanym dla specjalnych przypadków. Była pełnia lata, on zaś ubrany był w biały, antylski garnitur z lnu, na nogach miał czarno-białe półbuty, w butonierce margerytkę i wiatr rozwiewał mu piękną grzywę. Homero sprawdził, że prezydent przebywa w Genewie sam i nikt mu nie pomaga, bo na pamięć zna miasto, w którym kiedyś studiował prawo. Na jego własną prośbę dyrekcja szpitala przedsięwzięła w obrębie placówki odpowiednie środki, aby mu zapewnić całkowite incognito. Tej samej nocy Homero uzgodnił z żoną, że nawiążą z nim kontakt. Mimo to chodził za nim przez pięć tygodni, czekając na odpowiednią chwilę, i być może nie byłby w stanie odezwać się do niego, gdyby sam prezydent nie stanął mu na drodze.

- Cieszę się, że tak się stało - powiedział prezydent

- aczkolwiek po prawdzie samotność wcale mi nie doskwiera.

- To niesprawiedliwe.

- A czemuż by nie? - zapytał szczerze prezydent. - Zostałem przez wszystkich zapomniany i to jest moim największym życiowym zwycięstwem.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo pana pamiętamy - powiedział Homero, nie ukrywając wzruszenia. - To wielka radość widzieć pana w pełni zdrowia i młodzieńczych sił.

- A jednak - rzekł bez cienia dramatyzmu - wszystko wskazuje na to, że niebawem umrę.

- Pańskie szansę na udaną operację są bardzo duże - odparł Homero.

Prezydent aż drgnął ze zdumienia, nic nie tracąc ze swego uroku.

- Coś takiego! - wykrzyknął. - Czyżby w pięknej Szwajcarii zniesiono tajemnicę lekarską?

- W żadnym szpitalu na świecie nie ma tajemnic dla kierowcy karetki - odpowiedział Homero.

- Ale to, co mi wiadomo, usłyszałem niespełna dwie godziny temu, i to z ust jedyne go człowieka, który ma prawo o tym wiedzieć.

- W każdym razie pańska śmierć nie byłaby daremna  
- rzekł Homero. - Są ludzie gotowi oddać należną cześć  
godności, której jest pan przykładem.  
Prezydent udał komiczne zdziwienie.  
- Dziękuję za ostrzeżenie - powiedział.  
Jadł tak, jak żył: niespiesznie i bardzo wytwornie. Jednocześnie patrzył Homerowi prosto w oczy tak  
wnikliwie,  
iż ten odnosił wrażenie, że widzi wszystkie jego myśli.  
Pod koniec długiej i pełnej nostalgicznych wspomnień  
rozmowy uśmiechnął się złośliwie.  
- Kiedyś postanowiłem nie przejmować się moimi  
szczątkami - powiedział - ale teraz widzę, że powinienem  
przedsięwziąć pewne środki zaradcze, niczym z powieści  
kryminalnej, żeby nikt nie mógł ich znaleźć.  
- Nic z tego - zażartował z kolei Homero. - W szpitalu  
nie ma takiej tajemnicy, która utrzymałaby się dłużej niż  
godzinę.  
Kiedy wypili kawę, prezydent wczytał się w dno swojej  
filiżanki i znowu przeszły go ciarki: wróżba wciąż głosiła  
to samo. Nie dał tego po sobie poznać. Zapłacił gotówką,  
sprawdziwszy jednak przedtem kilkakrotnie rachunek,  
kilkakrotnie przeliczywszy z przesadną skrupulatnością  
pieniądze, i zostawił napiwek, który kelner skwitował jedynie chrząknięciem.  
- Miło mi było pana poznać - powiedział, żegnając się  
z Homerem. - Nie mam wyznaczonej daty operacji, nawet  
nie wiem, czy w ogóle się na nią zdecyduję. Ale jeśli  
wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się ponownie.  
- A dlaczego nie wcześniej? - zapytał Homero. - Lazara, moja żona, gotuje dla bogaczy. Nikt lepiej od niej nie  
robi ryżu z krewetkami i byłoby nam miło, gdybyśmy  
mogli gościć pana u siebie któregoś wieczoru.  
- Nie wolno mi jeść owoców morza, ale z wielką przyjemnością się skuszę - odparł. - Proszę mi tylko  
powiedzieć, kiedy mam przyjść.  
- W czwartek mam wolne - odparł Homero.  
- Doskonale - powiedział prezydent. - W czwartek  
o siódmej wieczorem jestem u państwa. Przyjdę z prawdziwą przyjemnością.  
- Przyjadę po pana - powiedział Homero. - Hotel Dames,  
14 rue de L'Industrie. Za dworcem. Zgadza się?  
- Zgadza się - odparł prezydent i wstał, czarujący jak  
nigdy. - Zna pan pewnie nawet numer mojego obuwia.  
- Oczywiście, proszę pana, - powiedział rozbawiony  
Homero. - Czterdzieści jeden.  
Homero Rey nie powiedział jednak prezydentowi tego,  
co później opowiadał przez lata każdemu, kto tylko gotów  
był go wysłuchać: że jego pierwotne zamiary nie były znowu takie całkiem niewinne. Tak jak inni kierowcy  
karetek miał cichą umowę z zakładami pogrzebowymi i towarzystwami ubezpieczeniowymi, oferując ich  
usługi na  
terenie szpitala, przede wszystkim cudzoziemcom nie posiadającym zbyt wielu środków. Prowizje były  
niewielkie,  
poza tym trzeba było dzielić się nimi z innymi pracownikami przekazującymi sobie nawzajem poufne  
informacje o pacjentach znajdujących się w ciężkim stanie. Niemniej stanowiły one pewne wsparcie dla tego  
wygnańca  
bez przyszłości, obciążonego żoną i dwojgiem dzieci, który za swą śmiesznie niską pensję ledwie wiązał  
koniec  
z końcem.

Lazara Davis, jego żona, okazała się większą realistką. Była to klasyczna Mulatka z San Juan de Puerto Rico, niewysoka i krępa, o skórze barwy krzepnącego karmelu i oczach dzikiej suki, jak ulał pasujących do jej sposobu bycia. Poznali się w szpitalnej garkuchni, gdzie Lazara pracowała jako pomoc do wszystkiego, od kiedy została wyrzucona na bruk przez swego ziomka, finansistę, który sprowadził ją do Genewy do opieki nad dziećmi. Choć Lazara była księżniczką Yoruba, wzięli ślub katolicki i zamieszkali w trzypokojowym mieszkaniu na siódmym piętrze bez windy, w kamienicy afrykańskich emigrantów. Mieli dziewięcioletnią córkę Barbarę i siedmioletniego syna, Lazara, wykazującego drobne oznaki upośledzenia umysłowego.

Lazara Davis była inteligentna i miała nieznośny charakter, za to serce złote. Uważała siebie za typowego Byka i ślepo wierzyła we własne horoskopy. Mimo to nigdy nie udało jej się spełnić swego marzenia, by zarabiać na życie jako wróżka milionerów. Za to podreperowywała budżet domowy, a niekiedy nawet go ratowała, co jakiś czas gotując kolacje zamożnym paniom, które potem chętnie wmawiały swoim gościom, że to one same przygotowały owe podniecające cuda antylskiej kuchni. Homero z kolei był chorobliwie nieśmiały i nie był w stanie dać z siebie absolutnie nic ponad to, co robił, ale Lazara urzeczona niewinnością jego serca i kalibrem jego oręża nie wyobrażała sobie życia bez niego. Z początku szło im nieźle, ale z każdym rokiem było coraz ciężiej, a dzieci rosły. W tym samym mniej więcej czasie, gdy prezydent przybył do miasta, zaczęli naruszać swoje pięcioletnie oszczędności. Kiedy więc Homero Rey odkrył jego obecność pośród anonimowych pacjentów szpitala, dali się ponieść marzeniom. Nie bardzo wiedzieli, o co go poproszą ani z jakiego tytułu. W pierwszej chwili pomyśleli o zaoferowaniu mu całkowitego pogrzebu, łącznie z zabalsamowaniem zwłok i wysłaniem ich do kraju. Ale z czasem zdali sobie sprawę, że wbrew początkowym przewidywaniom śmierć prezydenta nie jest nieuchronna. W dniu obiadu targaly nimi już same wątpliwości.

W rzeczywistości Homero nigdy nie pełnił funkcji dowódcy brygad studenckich ani żadnej innej i tylko jeden jedyny raz brał udział w kampanii wyborczej, właśnie wtedy, kiedy zrobiono zdjęcie, które z Lazarą zdołali cudem odnaleźć zagrzebane na samym dnie bieliźniarki. Ale jego entuzjazm był prawdziwy. Prawdą również było to, że musiał uciekać z kraju ze względu na swój udział w demonstracjach przeciwko wojskowemu zamachowi stanu, choć jedynym powodem przedłużania wieloletniego już pobytu w Genewie była jego bojaźliwość. Jedno kłamstwo mniej czy jedno więcej nie powinno więc przeszkodzić w zdobyciu prezydenckiej łaski.

Pierwszym zaskoczeniem dla obojga był fakt, że znamienity wygnaniec mieszka w hotelu czwartej kategorii w smutnej dzielnicy la Grotte, pośród azjatyckich emigrantów i nocnych motylic, a odżywia się tylko w barach dla ubogich, i to w Genewie, która pełna jest rezydencji dla polityków w niełasce. Homero widział, jak bliźniaczo podobne są do siebie wszystkie jego dni, nawet dzień ich spotkania. Tropił prezydenta wzrokiem, posuwając się nawet do daleko idącej nieostrożności podczas jego nocnych spacerów wśród ponurych murów i zwisających żółtych kampanuli starego miasta. Patrzył, jak całymi godzinami oddawał się rozmyśleniom przed pomnikiem Kalwina. W ślad za nim, dusząc się rozżarzonym zapachem jaśminów, pokonywał krok po kroku wszystkie stopnie kamiennych schodów wiodących na szczyt Bourg-le-Four, by stamtąd podziwiać ospałość letnich zmierzchów. Którejś nocy ujrzał go, jak bez palta i parasola moknie w pierwszej przedjesiennej mżawce, stojąc razem

ze studentami w kolejce po bilety na koncert Rubinsteina. "Nie wiem, jakim cudem nie złapał zapalenia płuc", powiedział później żonie. W poprzednią sobotę, kiedy już zanosilo się na zmianę pogody, zobaczył, jak kupował jesienne palto z kołnierzem ze sztucznych norek, ale nie w rozświetlonych sklepach na rue de Rhône, gdzie zwykli robić zakupy zbiegli emirowie, tylko na pchlim targu.

- To znaczy, że nic tu po nas! - wykrzyknęła Lazara,

kiedy Homero opowiedział jej o tym. - To zafajdany dusigrosz, gotów dać się pochować przez byle instytucję dobroczynną w mogile zbiorowej. Nic z niego nie wyciśniemy.

- Może naprawdę jest biedny - odparł Homero - po tylu latach bez pracy.

- Ech, dzieciaku, co innego być Rybą z ascendentem

w Rybach, a co innego być skurwielem - powiedziała Lazara. - Wszyscy wiedzą, że zwiął z całym rządowym złotem i że to najbogatszy uchodźca na Martynice.

Na starszym o dziesięć lat Homerze olbrzymie wrażenie w młodości wywierał zawsze fakt, że prezydent studiował w Genewie, pracując zarazem jako zwykły robotnik budowlany. Lazara natomiast wzrastała w atmosferze

skandali wywoływanych przez wrogą prezydentowi prasę, dodatkowo wyolbrzymianych w nieprzyjaznym mu

domu, gdzie od dziecka pracowała jako niańka. Kiedy

więc Homero wrócił do domu, zachłystując się z radości,

bo jadł obiad z prezydentem, na nic zdał mu się argument,

że prezydent zaprosił go do drogiej restauracji. Zła była, że

Homero nie poprosił go o żadną z wymarzonych przez

nich przysług, od stypendiów dla dzieci po lepszą pracę

w szpitalu. Decyzję prezydenta, by jego szczątki rzucić

sępom na pożarcie zamiast wydawać pieniądze na godziwy

pogrzeb i uroczyste sprowadzenie zwłok do kraju, uznała

za potwierdzenie własnych podejrzeń. Miary dopełniła nowina, którą Homero zostawił na koniec, o

zaproszeniu prezydenta na czwartek wieczór na ryż z krewetkami.

- Tylko tego nam jeszcze brakuje - wrzasnęła Lazara

- żeby padł nam tutaj zatruty krewetkami z puszki i żebyśmy go musieli pogrzebać za oszczędności dzieci.

Siła małżeńskiej lojalności ostatecznie przeważała. Od

jednej sąsiadki musiała pożyczyć trzy komplety alpako-

wych sztucców i kryształową salaterkę, od drugiej elektryczny ekspres do kawy, od innej jeszcze haftowany obrus

i porcelanowy serwis do kawy. Wymieniła stare zasłony na

nowe, dotychczas zawieszane jedynie z okazji świąt, zdjęła również pokrowce z mebli. Przez cały dzień

szorowała podłogi, ścierała kurz, przenosiła rzeczy z miejsca na miejsce, osiągając w rezultacie efekt odwrotny od tego, jaki

najbardziej powinien im odpowiadać, czyli wzruszenie gościa godnością ubóstwa.

W czwartkowy wieczór, złapawszy oddech po siedmiopiętrowej wspinaczce, prezydent pojawił się w drzwiach

w nowym-starym palcie, w meloniku nie z tej epoki

i z jedną różą dla Lazary. Jego męska uroda i książęce

maniery zrobiły na niej spore wrażenie, ale poza tym zobaczyła go takim, jakim spodziewała się go ujrzeć:

fałszywym i chciwym. Wydał jej się impertynencki. Nie chcąc,

żeby woń krewetek rozniosła się po całym mieszkaniu,

specjalnie gotowała przy otwartych oknach, a on, ledwie

przekroczywszy próg, głęboko zaczerpnął powietrza, jakby w przypiływie nagłej ekstazy, przymknął oczy,

rozpostarł ramiona i wykrzyknął: "Och tak, zapach naszego

morza". Wydał jej się skąpy jak nikt, przynosząc jej tylko

jedną różę, na pewno zerwaną w jednym z parków miejskich. Wydał jej się bezczelny, gdy lekceważąco zaczął

przeglądać gazetowe wycinki z opisami prezydenckich

osiągnięć, proporczyki i chorągiewki z kampanii wyborczej, które Homero pieczołowicie przybił do ściany.

Wydał jej się bezduszny, bo nawet nie przywitał się z Barbarą i Lazaro, którzy sami przygotowali dla niego prezent, a w trakcie kolacji napomknął, że dwóch rzeczy szczególnie nie znosi: psów i dzieci. Znienawidziła go. Jej karaibskie poczucie gościnności było jednak silniejsze od uprzedzeń. Ubrała się w swoją afrykańską odświętną kiecę, przystroїła w odpustowe korale i bransoletki i podczas kolacji nie uczyniła najmniejszego niepotrzebnego gestu, i nie wypowiedziała żadnego zbędnego słowa. Zachowywała się lepiej niż nienagannie: była po prostu doskonała.

Ryż z krewetkami nie należał, co prawda, do jej koronnych potraw, niemniej przygotowała danie, jak mogła najstaranniej i rzeczywiście efekt był bardzo dobry. Prezydent nałożył sobie ryżu dwukrotnie, nie szczędząc pochwał, rozpływał się nad smażonymi plastrami dojrzałych bananów i nad sałatką z avocado, choć nie podzielał nostalgii swych gospodarzy. Lazara zadowolona się rolą biernego słuchacza do momentu podania deseru, kiedy Homero ni z gruszki, ni z pietruszki zabrnął w ślepią uliczkę

kwestii istnienia Boga.

- Osobiście wierzę, że istnieje - rzekł prezydent - ale nie ma nic wspólnego z istotami ludzkimi. Zaprzątnięty jest poważniejszymi problemami.

- Ja wierzę tylko w gwiazdy - odezwała się Lazara, obserwując reakcję prezydenta. - Którego dnia pan się urodził?

- Jedenastego marca.

- No i stało się - Lazara nie mogła powstrzymać się od triumfalnego okrzyku i zapytała uprzejmie: - Dwie Ryby przy jednym stole, czy to nie za dużo?

Gdy odchodziła do kuchni, by zaparzyć kawę, mężczyźni dalej rozprawiali o Bogu. Uprzątnęła już naczynia po

kolacji i z całej duszy pragnęła, żeby cały ten wieczór dobrze się skończył. Kiedy wracała z kawą do pokoju, w progu dobiegło ją oderwane zdanie prezydenta, które wprowadziło ją w osłupienie:

- Drogi przyjacielu, niech się pan nie łudzi: największym nieszczęściem, jakie mogło spotkać naszą ojczyznę, to właśnie wybranie mojej osoby na prezydenta.

Homero ujrzał Lazarę w drzwiach z pożyczonymi porcelanowymi filiżankami i ekspresem do kawy i pomyślał,

że żona zaraz zemdleje. Prezydent również to zauważył.

"Proszę tak na mnie nie patrzeć, proszę pani - powiedział uprzejmie. - Mówię szczerze". I zwracając się do Homera, dokończył:

- Całe szczęście, że przynajmniej drogo płacę za swoją głupotę.

Lazara podała kawę i zgasła wiszącą nad stołem lampę, której światło niemiłosiernie przeszkadzało w rozmowie, i w pokoju zapanował intymny półmrok. Po raz

pierwszy zainteresowała się gościem, którego wdzięk nie

był w stanie przysłonić smutku. Ciekawość Lazary wzrosła, kiedy skończył pić kawę i odstawił filiżankę na spodek

dnem do góry, by spłynęły fusy.

Podczas deseru prezydent opowiedział, że na miejsce

wygnania wybrał Martynikę przez wzgląd na przyjaźń łączącą go z poetą Aime Cesairem, który w owym okresie

opublikował właśnie Cahier d'un retour au pays natal

i dopomógł mu w rozpoczęciu nowego życia. Za pieniądze, jakie im pozostały ze spadku żony, zakupili wzniesiony ze szlachetnych gatunków drewna dom na wzgórzach Fort de France, z drucianymi siatkami w oknach

i wychodzącym na morze tarasem gęsto zarośniętym dzikimi kwiatami, gdzie istną rozkoszą było spanie przy cykaniu świerszczy i w bryzie przesyconej zapachem melasy i rumu z pobliskiej gorzelni. Osiadł tam ze starszą od

siebie o czternaście lat żoną, nieustannie chorującą od pierwszego i jedyne go porodu, i okopał się przed losem, po raz któryś z rzędu oddając się nałogowej lekturze swych ukochanych łacińskich klasyków, w oryginale, całkowicie przekonany, że to już ostatni akt jego życia. Przez całe lata musiał opierać się pokusie, by nie wdać się w coraz to inną awanturę proponowaną mu przez jego rozgromionych zwolenników.

- Ale nigdy już nie otworzyłem żadnego listu - powiedział. - Nigdy od momentu, kiedy stwierdziłem, że te najpilniejsze już po tygodniu przestają być tak pilne, a po dwóch miesiącach nie pamięta już o nich nawet ten, kto je napisał.

W przyćmionym świetle spojrział na Lazare zapalającą papierosa, po czym wyrwał go jej chciwym ruchem palców. Zaciągnął się głęboko i przetrzymał dym w gardle. Zaskoczona Lazara, chcąc zapalić, sięgnęła po paczkę i zapalki, ale prezydent oddał jej zapalonego papierosa. "Pali pani z taką przyjemnością, że nie mogłem oprzeć się pokusie", powiedział. I natychmiast musiał wypuścić dym, bo zaniósł się kaszlem.

- Rzuciłem nałóg wiele lat temu, ale on nie całkiem mnie rzucił - powiedział. - Czasami potrafi mnie jeszcze pokonać. Jak teraz.

Zaniósł się kaszlem raz i drugi. Ból zaczął mu znowu dokuczać. Prezydent spojrział na zegarek z dewizką i zażył dwie przewidziane na tę porę tabletki. Następnie zagłębił się w odczytanie dna filizanki: nic się nie zmieniło, tym razem jednak nie zadrżał.

- Niektórzy z moich dawnych zwolenników zostali po mnie prezydentami - powiedział.

- Sayago - rzekł Homero.

- Sayago i inni - odparł prezydent. - Wszyscy tak jak ja: uzurpując sobie prawo do zaszczytów, na które nie zasługiwaliśmy, związanych z urzędem, którego nie potrafiliśmy sprawować. Niektórzy gonią tylko za władzą, ale większość szuka czegoś bardziej błahego: po prostu pracy.

Lazara zacietrzewiła się.

- A wie pan, co o panu mówią? - zapytała.

Homero zaniepokojony wtrącił:

- To kłamstwa.

- To kłamstwa i nie kłamstwa - odparł prezydent zachowując niebiański spokój. - W przypadku każdego prezydenta najohydniejsza kalumnia może być jednocześnie i prawdą, i kłamstwem.

Wszystkie dni wygnania przeżył na Martynice, kontaktując się ze światem jedynie za pośrednictwem skąpych informacji drukowanych w oficjalnej gazecie i utrzymując się z lekcji hiszpańskiego i łaciny, udzielanych w państwowym liceum, i przekładów, jakie czasami zlecał mu Aime Cesaire. Upały w sierpniu były nie do zniesienia, on zaś do południa wylegiwał się w hamaku, czytając w błogim szmerze wentylatora wirującego pod sufitem sypialni. Jego żona nawet w największy upał opiekowała się ptakami, a przed słońcem chronił ją duży, słomiany kapelusz, ozdobiony drobnymi sztucznymi owocami i kwiatami z organdy. Ale kiedy upały słabły, przyjemnie było zażywać świeżego powietrza na tarasie, gdzie przesiadywali; on nie odrywał wzroku od morza aż do całkowitego zapadnięcia ciemności, ona zaś - w wiklinowym fotelu

na biegunach, w poszarpanym kapeluszu i sztucznych pierścionkach na wszystkich palcach - patrzyła na statki z całego świata. "Ten płynię do Puerto Santo - stwierdziła. - Ten ledwo płynię, tyle wiezie bananów z Puerto

Santo", mówiła. Bo była absolutnie przekonana, że wszystkie przepływające statki są z jej kraju. On udawał głuchego, choć ostatecznie to właśnie jej, a nie jemu, łatwiej przyszło zapomnieć, straciła bowiem pamięć. I tak sobie siedzieli, dopóki gęsty zmierzch nie dobiegł końca i póki nie musieli chronić się w domu przed atakiem komarów. Kiedyś, w czasie jednego z tych niezliczonych sierpni, prezydent, czytając na tarasie gazetę, aż podskoczył ze zdumienia.

- A niech to! - wykrzyknął. - Umarłem w Estoril!

Lewitująca w odrętwieniu żona przeraziła się wiadomością. Było to sześć linijek na piątej stronie drukowanej nieopodal, bo tuż za rogiem, gazety publikującej jego okazjonalne tłumaczenia, której naczelny od czasu do czasu go odwiedzał. A teraz pisał, że prezydent zmarł w Estoril pod Lizboną, kurorcie i azylu europejskiej dekadencji, w miejscowości, do której nie tylko nigdy nie dotarł, ale która była jedynym miejscem na świecie, gdzie na pewno nie chciałby umrzeć. Żona zmarła naprawdę rok później, udręczona ostatnim już wspomnieniem, jakie jej wówczas pozostało: o jedynym synu, który wziął udział w obaleniu swego ojca, by następnie zostać rozstrzelanym przez swych współtowarzyszy.

Prezydent westchnął. "Tacy już jesteśmy i nic nie zdoła nas zbawić - powiedział. - Kontynent poczęty bez odrobiny miłości przez szumowiny z całego świata; dzieci porwań, gwałtów, nikczemności, oszustw, wrogości wszystkich przeciw wszystkim". Śmiało spojrział w afrykańskie, bezlitośnie badające go oczy Lazary i spróbował ją obłaskawić wymownością starego wygi.

- Słowo "metysaż" oznacza mieszanie łez z płynącą krwią. I czego tu oczekiwać po podobnej miksturze?

Lazara przygwoździła go śmiertelnym milczeniem. Ale zdołała opanować się tuż przed północą i nawet pożegnała go kurtuazyjnym pocałunkiem. Prezydent nie zgodził się, żeby Homero odprowadził go do hotelu, nie mógł jednak zapobiec, by pomógł mu w znalezieniu taksówki.

Wróciwszy do domu, Homero zastał żonę prawdziwie rozszerezoną.

- To najśluszniej obalony prezydent na świecie - powiedziała. - Skończony skurwysyn.

Pomimo wysiłków Homera, żeby ją uspokoić, spędzili koszmarne bezsenne noc. Lazara przyznała, że jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich widziała, o zwalającej z nóg mocy uwodzicielskiej i męskości byka rozplodowego. "Nawet teraz, stary i padnięty, potrafiłby chyba jeszcze być tygrysem w łóżku", stwierdziła. Uważała jednak, że roztrwonil owe boże dary, posługując się nimi tylko po to, żeby udawać. Nie mogła znieść jego przechwalania się tym, że był najgorszym prezydentem swego

kraju. Ani tego jego obnoszenia się ze swym ubóstwem, bo była przekonana, że jest właścicielem połowy cukrowni na Martynice. Ani pełnej hipokryzji pogardy wobec władzy, bo przecież gołym okiem widać, że oddałby wszystko, żeby choć przez chwilę jeszcze raz być prezydentem i pokazać swoim wrogom, kto tu jest zwycięzcą.

- A wszystko - podsumowała - tylko po to, żebyśmy płaszczyli się u jego stóp.

- I co mu z tego? - zapytał Homero.

- Nic - odpowiedziała. - Rzecz w tym, że kokieteria to nałóg, którego nijak się nie da zaspokoić.

Tak była wściekła, że Homero nie mógł jej ścierpieć w łóżku, resztę nocy spędził więc owinięty kocem na sofie

w saloniku. Lazara wstała jednak o świcie i nago, tak jak zwykła zarówno spać, jak i kręcić się po mieszkaniu, recytowała niekończący się monolog na jedną nutę. Natychmiast wymazała z pamięci ludzkości jakikolwiek ślad niepożądanego kolacji. Oddała rano pożyczone rzeczy, wymieniła nowe zasłony na stare i ustawiła meble na właściwym im miejscu, dopóki mieszkanie nie zaczęło znów

wyglądać biednie i schludnie jak do poprzedniego wieczoru. Na ostatek zerwała wszystkie prasowe wycinki, zdjęcia, proporczyki, chorągieweczki z obrzydliwej kampanii i wyrzuciła wszystko do kosza na śmiecie, wydając

zwycięski okrzyk:

- Chuj z nim!

Tydzień później Homero spotkał prezydenta, który specjalnie czekał na niego przy wyjściu ze szpitala, by poprosić go o towarzyszenie mu do hotelu. Pokonawszy trzy wysokie piętra, znaleźli się w pokoiku na poddaszu, z jednym tylko wychodzącym na popielate niebo okienkiem mansardowym, przeciętym sznurem z suszącą się bielizną. Połowę izdebki zajmowało małżeńskie łóżko, a resztę umeblowania stanowiły zwykłe krzesło, miednica,

przenośny bidet i nędzna szafa ze zmatowiałym lustrem.

Zakłopotanie Homera nie uszło uwagi prezydenta.

- To ta sama klitka, w której przeżyłem swoje studenckie lata - wyznał mu jakby usprawiedliwiając się. - Za-rezerwowałem ją z Fort de France.

Z aksamitnego woreczka wyjął i rozłożył na łóżku końcowe saldo swoich zasobów: kilka złotych bransolet wysadzanych przeróżnymi kamieniami szlachetnymi; potrójny sznur pereł i dwa naszyjniki ze złota i drogocennych

kamieni, trzy złote łańcuszki ze świętymi medalikami, jedną parę złotych kolczyków ze szmaragdami, drugą z diamentami i trzecią z rubinami; dwa relikwiarze i medalion, jedenaście pierścionków z przeróżnych najszlachetniejszych metali i diadem z brylantów, który śmiało mógł należeć do jakiejś królowej. Następnie z małego

etui wyjął trzy pary srebrnych i dwie pary złotych spinek do mankietów i odpowiednie do nich szpilki do krawata i kieszonkowy zegarek pozłacany białym złotem. Na koniec wyjął z pudełka po butach swoje sześć orderów: dwa złote, jeden srebrny, reszta czysty szmelc.

- Oto co mi zostało z dorobku całego życia - powiedział.

Nie pozostawało mu nic innego jak sprzedać to wszystko, aby pokryć koszty leczenia, i pragnął, by Homero, zachowując daleko idącą dyskrecję, wyświadczył mu tę przysługę. Homero jednak stwierdził, że nie będzie w stanie spełnić jego oczekiwań, jeśli dokumenty własności

nie będą w porządku.

Prezydent wyjaśnił mu, że to biżuteria żony, odziedziczona po jednej z kolonialnych prababć, która z kolei odziedziczyła w swoim czasie pakiet akcji kolumbijskich kopalni złota. Zegarek, spinki do mankietów i szpilki do krawata stanowiły jego własność. Odznaczenia, oczywiście, nigdy wcześniej nie należały do nikogo.

- Nie sądzę, by ktokolwiek przechowywał rachunki dotyczące takich rzeczy - stwierdził.

Homero był nieugięty.

- Wobec tego - zadumał się prezydent - nie pozostaje mi nic innego, jak świadczyć własnym honorem.

Zaczął zbierać kosztowności z wyrachowanym spokojem.

"Proszę mi wybaczyć, mój drogi Homero, ale nie ma gorszej nędzy od biedy ubogiego prezydenta - powiedział. - Nawet utrzymanie się przy życiu wygląda na niktzemność". W jednej chwili Homerowi zmiękło serce i skapitulował.

Tej nocy Lazara wróciła późno do domu. Ledwie stanęła w progu, natychmiast spostrzegła skrzące się w



rtęciowym świetle jadalni kosztowności i zamarła, jakby zobaczyła skorpioną w łożku.

- Dzieciaku, bez wygłupów -jęknęła wystraszona. - Co te rzeczy tu robią?

Wyjaśnienia Homera jeszcze bardziej ją zaniepokoiły.

Usiadła, żeby przyjrzeć się wszystkim kosztownościom, jednej po drugiej, ze skrupulatnością złotnika. Po chwili westchnęła: "To musi być fortuna". Wreszcie, nijak nie mogąc dojść do siebie, utkwiała wzrok w Homerze.

- Cholera - powiedziała. - No i skąd ma człowiek wiedzieć, kiedy ten facet kłamie, a kiedy mówi prawdę?

- A po co miałby kłamać? - odparł Homero. - Przed

chwilą na własne oczy widziałem, że sam sobie pierze ubranie i suszy je, rozwieszając tak jak my w pokoju na drucie.

- Ze skąpstwa - stwierdziła Lazara.

- Albo z nędzy - odrzekł Homero.

Lazara ponownie przyjrzała się kosztownościom, choć

z mniejszą już uwagą, bo i ona czuła, że zaczyna się poddawać. I tak oto nazajutrz rano ubrała się w to, co miała

najlepszego, przystroiła w klejnoty, które wydawały jej się

najdroższe, na każdy palec, nie wyłączając kciuków, włożyła ile się dało pierścionków i nałożyła ile się dało bransolet

na przeguby rąk, i poszła je sprzedać. "Zobaczymy, kto

będzie miał chęć żądać dokumentów własności od Lazary Davis", powiedziała, zaśmiewając się z własnego, jaśniepańskiego paradowania. Wybrała odpowiedni jej zdaniem

sklep jubilerski, o większych pretensjach niż prestiżu,

o którym wiedziała, że skupuje i sprzedaje bez zbędnych

pytań, i weszła pewnym krokiem, choć mocno przerażona.

Wymizerowany i bladej subiekt, ubrany w smoking,

przywitał się z nią, całując w dłoń z całym teatralnym

ceremoniałem, i zapewnił, że jest do jej usług. W środku,

dzięki lustrom i silnym światłom, było jaśniej niż na dworze, a sklep wydawał się być cały z diamentów.

Lazara

w obawie, że cała farsa zbyt szybko wyjdzie na jaw, nie

zwróciła niemal uwagi na subiekta, natychmiast kierując

się w głąb sklepu.

Jubiler uprzejmym gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca

przy jednym z trzech sekretarzyków w stylu Ludwika XV,

pełniących rolę indywidualnych kontuarów, po czym rozpostarł przed nią nieskazitelnie czystą chusteczkę.

Następnie

usiadł naprzeciwko Lazary i przyjął postawę wyczekującą.

- Czym mogę służyć?

Zdjęła pierścionki, bransolety, naszyjniki, kolczyki,

wszystko, co miała na sobie, i zaczęła układać je na sekretarzyku jak figury na szachownicy. Chce tylko,

powiedziała, poznać ich rzeczywistą wartość.

Jubiler nałożył monokl na lewe oko i zaczął przyglądać

się kosztownościom w iście klasztornej ciszy. Po dłuższej

chwili, nie przerywając oględzin, zapytał:

- Skąd pani jest?

Lazara nie przewidziała tego pytania. - Och, proszę szanownego pana - westchnęła. - Z bardzo daleka.

- Wyobrażam sobie - odpowiedział.

Ponownie pograżył się w ciszy, podczas gdy Lazara świdrowała go bezlitośnie swymi okrutnymi złotymi oczami.

Jubiler zatrzymał się na dłużej przy diamentowym diademie i odłożył go na bok. Lazara westchnęła.

- Jest pan typową Panną - powiedziała.

Jubiler nie przerwał oglądania.

- A skąd pani wie?

- Ze sposobu bycia - powiedziała Lazara.

Nie odezwał się już, dopóki nie obejrzał całej biżuterii, by dopiero wtedy zwrócić się do niej, równie lakonicznie jak na początku.

- Skąd się to wszystko wzięło?

- Spadek po babci - odpowiedziała Lazara pełnym napięcia głosem. - Zmarła w zeszłym roku w Paramaribo, w dziewięćdziesiątym siódmym roku życia.

Jubiler spojrział jej wówczas w oczy. "Przykro mi - powiedział - ale jedyną wartością tych przedmiotów jest waga zawartego w nich złota". Ujął diadem opuszkami palców i rozmigotał w oslepiającym świetle.

- Oprócz tego - powiedział. - Jest bardzo stary, być może

egipski, i mógłby być bezcenny, gdyby nie zły stan brylantów. W każdym razie ma pewną wartość historyczną.

Za to kamienie wszystkich pozostałych kosztowności

- ametysty, szmaragdy, rubiny, opale - wszystkie bez wyjątku były fałszywe. "Oryginalne niewątpliwie były prawdziwe - stwierdził jubiler, zgarniając biżuterię, by ją oddać. - Ale, dziedziczone z pokolenia na pokolenie, gubiły

gdzieś po drodze prawdziwe kamienie, które zastępowano butelkowym szkłem". Lazara poczuła obrzydliwe mdłości, wzięła głęboki oddech i opanowała popłoch. Subiekt

pospieszył z wyrazami pokrzepienia:

- To się często zdarza, proszę pani.

- Wiem - odparła z ulgą. - Dlatego chcę się pozbyć tych rzeczy.

Wówczas poczuła, że to już koniec farsy i zaczęła się zachowywać jak zwykle. Bez większych ceregieli wyjęła z torebki spinki do mankietów, zegarek, szpilki do krawata, złote i srebrne odznaczenia, tę całą prezydencką tandetę, i położyła wszystko na stole.

- Tych też? - zapytał jubiler.

- Wszystkich - odpowiedziała Lazara.

- I jeszcze słówko, proszę pani - powiedział. - Jestem Wodnikiem.

Tuż po zmierzchu Homero i Lazara zanieśli pieniądze do hotelu. Po kolejnym przeliczeniu całej kwoty okazało się, że ciągle jeszcze trochę brakuje. Prezydent ściągnął więc ślubną obrączkę, odpiął zegarek z dewizką, zdjął spinki do mankietów i szpilkę do krawata, których stale używał, i ułożył na łóżku.

Lazara oddała mu obrączkę.

- Tego nie - powiedziała. - Takiej pamiątki nie można sprzedawać.

Prezydent zgodził się z nią i ponownie nałożył obrączkę.

W ten sam sposób Lazara oddała mu zegarek z łańcuszkiem. "Tego też nie", powiedziała. Prezydent nie

podzielał jej zdania, ale sama przypięła mu zegarek do kamizelki.

- Tylko panu mogło przyjść do głowy sprzedawać zegarki w Szwajcarii!

- Jeden już sprzedaliśmy - odparł prezydent.

- Owszem, ale ze względu na złoto, a nie na zegarek.

- Ten też jest złoty - powiedział prezydent.

- Tak - powiedziała Lazara. - Ale może pan nawet obyć się bez operacji, za to nie może pan nie wiedzieć, która jest godzina.

Nie zgodziła się również na złotą oprawkę okularów, choć miał drugie szylkretowe. Zważyła pozostałe rzeczy w dłoni i przecięła wszelkie wątpliwości.

- A zresztą - powiedziała - to wystarczy.

Przed wyjściem, nie pytając go o zgodę, zdjęła ze sznura suszące się ubrania i wzięła je ze sobą, by dosuszyć i wyprasować w domu. Pojechali na motorowerze, Homero prowadził, Lazara siedziała na tylnym siodełku, obejmując go w pasie. Właśnie zapalono lampy uliczne w różowym zmierzchu. Wiatr zerwał ostatnie liście i drzewa

wyglądały niczym oskubane skamieliny. Rodanem płynął holownik z nastawionym na pełny regulator radiem,

zostawiając za sobą strużkę muzyki. Georges Brassens

śpiewał: Mon amour tiens bien la barre, le temps va passer par Id, et le temps est un barbare dans le genre d'Attila, par Id oii son cheval passę Vamour ne repousse pas.

Homero i Lazara jechali w milczeniu, upojeni piosenką

i nieprzemijającym zapachem hiacyntów. Po jakimś czasie Lazara otrząsnęła się jak po długim śnie.

- Kurwa mać! - zakląła.

- Co jest?

- Biedny stary - powiedziała Lazara. - Przesrane ma życie.

W następny piątek, 7 października, prezydent został

poddany trwającej pięć godzin operacji, która na razie niczego nie wyjaśniła. W gruncie rzeczy jedyną pociechą

była świadomość, że nadal żyje. Po dziesięciu dniach

przeniesiono go do wieloosobowej sali, gdzie mogli go już

odwiedzić. Zmienił się: był zagubiony i wymizerowany,

a włosy miał tak słabe, że wypadły mu od samego zetknięcia z poduszką. Z dawnej dystynkcji pozostały mu jedynie smukłe dłonie. Pierwsza próba przejścia o dwóch

kulach wypadła zniechęcająco. Lazara zostawała przy

nim na noc, żeby zaoszczędzić na pielęgniarce. Podczas

pierwszej nocy jeden z pacjentów cały czas darł się wniebogłosem ze strachu przed śmiercią. To czuwanie bez końca rozwiało resztki nieufności Lazary.

Cztery miesiące po przybyciu do Genewy prezydent został wypisany ze szpitala. Homero, skrupulatny zarządca

jego szczupłych funduszy, opłacił koszty pobytu w klinice

i przewiózł go swoją karetką, by z pomocą innych sanitariuszy wnieść go na siódme piętro. Zamieszkał w pokoju

dzieci, których nigdy zresztą nie nauczył się rozróżniać,

i powoli zaczął wracać do rzeczywistości. Z wojskową karnością wykonywał codziennie zestaw ćwiczeń rehabilitacyjnych i znowu zaczął chodzić o lasce. Ale nawet w swych

garniturach z dawnych dobrych czasów nie przypominał

wytwornego niegdyś prezydenta ani wyglądem, ani sposobem bycia. Lękając się ostrej zimy, a taką zapowiadano

i rzeczywiście okazała się zimą stulecia, postanowił, wbrew

opini lekarzy, którzy chcieli go jeszcze trochę poobserwować, wrócić statkiem, odpływającym z Marsylii 13 grudnia.

W ostatniej chwili okazało się, że nie starczy na bilet, i Lazara, w tajemnicy przed mężem, chciała pokryć różnicę

dokładając nieco z oszczędności dzieci, ale i tam znalazła

mniej, niż się spodziewała. Wówczas Homero wyznał jej,

że po kryjomu sięgnął już do tych pieniędzy, żeby wyrównać rachunek za szpital.

- No cóż - poddała się Lazara. - Uznajmy, że był to najstarszy syn.

11 grudnia odprowadzili go w straszliwej zamieci na pociąg do Marsylii i dopiero powróciwszy do domu, natrafili

na pożegnalny list leżący na nocnej szafce dzieci. Zostawił tam również dla Barbary swą ślubną obrączkę

razem  
z obrączką zmarłej żony - jedyną kosztownością, której  
nigdy nie usiłował sprzedać - i zegarek z dewizką dla Lazara. A że była niedziela, ci spośród karaibskich  
sąsiadów, którzy odkryli sekret, przybyli na dworzec Cornavin  
z zespołem harfistów z Vera Cruz. Prezydent w palcie dobrym dla abnegata i w długim kolorowym szaliku,  
należącym do Lazary, był bardzo osłabiony, co nie przeszkodziło mu jednak stać do końca na pomoście  
ostatniego  
wagonu i w porywistym wietrze machać kapeluszem na  
pożegnanie. Pociąg zaczął już przyspieszać, kiedy Homero zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku laskę  
prezydenta.  
Pobiegł aż na koniec peronu i rzucił laskę na tyle silnie,  
żeby prezydent mógł ją złapać w powietrzu, ale spadła  
pod miażdżące ją koła. Przeżyli chwilę grozy. Ostatnim  
obrazem, jaki widziała Lazara, była drżąca dłoń, usiłująca  
bez powodzenia chwycić w powietrzu laskę, i konduktor,  
który w ostatniej chwili zdołał złapać za szalik spadającego w pustkę ośnieżonego starca. Przerażona Lazara  
pobiegła za mężem, usiłując zaśmiać się przez łzy.  
- Mój Boże - krzyknęła - ten człowiek nijak nie jest  
w stanie umrzeć.  
Dotarł zdrów i cały, jak poinformował w obszernym  
dziękczynnym telegramie. Przez ponad pół roku nie mieli o nim żadnej wiadomości. Wreszcie nadszedł  
odręcznie  
napisany sześciostronicowy list, z którego treści wynikało, iż prezydent zmienił się nie do poznania. Ból,  
równie  
dotkliwy i wyraźny jak kiedyś, ponownie zaczął dawać  
mu się we znaki, postanowił jednak nie zwracać nań uwagi i żyć, jak się da. Poeta Aime Cesaire podarował mu  
laskę inkrustowaną masą perłową, ale zdecydował się jej  
nie używać. Od sześciu miesięcy regularnie jada mięso,  
wszelkie owoce morza i jest w stanie wypić choćby i dwadzieścia filiżanek mocnej kawy. Przestał wróżyć z  
fusów,  
bo przepowiednie spełniały się zawsze na odwrót. W dniu  
swych siedemdziesiątych piątych urodzin wypił kilka  
kieliszków wspaniałego rumu z Martyniki, który zrobił  
mu bardzo dobrze, i ponownie zaczął palić. Nie czuje się  
lepiej, rzecz jasna, ale i nie gorzej. Rzeczywistym zaś powodem napisania listu było poinformowanie ich, że  
kusi  
go powrót do kraju, by stanąć na czele odnowicielskiego  
ruchu w obronie słusznej sprawy i godności ojczyzny,  
choćby tylko po to, by nie umrzeć ze starości we własnym  
łóżku. Z tego też punktu widzenia, kończył list, podróż do  
Genewy okazała się opatrnościowa. Czerwiec 1979

## Święta

Po dwudziestu dwóch latach ponownie ujrzałem Margarita Duarte. Pojawił się znienacka na jednej z  
sekretnych  
uliczek Trastevere i w pierwszej chwili go nie poznałem,  
zmylony jego trudno zrozumiałą hiszpańszczyzną i wyglądem rzymianina z dziada pradziada. Włosy miał  
białe  
i przeredzone i choć charakterystyczne dla niego w ów  
czas, kiedy przybył do Rzymu, ponuractwo i pogrzebowy  
garnitur andyjskiego urzędnika magistrackiego zniknęły  
bez śladu, w trakcie rozmowy zacząłem stopniowo odzyskiwać go z mylącej przewrotności jego wieku, by  
wreszcie  
ujrzeć go takim, jaki był w istocie: skryty, nieobliczalny

i zawzięty jak kamieniarz. Przed wypiciem drugiej filiżanki kawy w jednej z naszych niegdysiejszych kafejek odważyłem się zadać mu pytanie, które zżerało mnie od środka.

- A co ze świętą?

- A jest tutaj - odpowiedział. - Cierpliwie czeka.

Tylko tenor Rafael Ribero Silva i ja byliśmy w stanie

zrozumieć, jak przeraźliwie ludzki żal krył się w jego odpowiedzi. Zналиśmy tak dogłębnie jego dramat, że przez

lata uważałem Margarita Duarte za klasyczny przypadek postaci szukającej autora, na jaką my, pisarze, czekamy całe życie, i jeśli nigdy nie dałem mu się odnaleźć, to wyłącznie dlatego, że zakończenie jego historii wydawało mi się niewyobrażalne.

Przybył do Rzymu owej promiennej wiosny, kiedy to

Pius XII dostał czkawki, której żadną dobrą ani złą mocą

nikt z wezwanych lekarzy i znachorów nie był w stanie

powstrzymać. Po raz pierwszy w życiu opuścił swą rodzinną Tolimę, trudno dostępną wioskę w kolumbijskich

Andach, i było to po nim widać nawet po sposobie, w jaki

spał. Stawił się pewnego dnia w naszym konsulacie z kufrem z wypolerowanego drewna sosnowego, rozmiarami

i kształtem przypominającym futerał wiolonczeli, i zademonstrował konsulowi zaskakujący powód swej podróży.

Konsul zadzwonił wówczas do tenora Rafaela Ribero Silvy, jego ziomka, by załatwił mu pokój w pensjonacie, w którym obaj mieszkaliśmy. I tak go poznałem.

Margarito Duarte ukończył tylko szkołę podstawową,

ale literackie skłonności umożliwiły mu zdobycie wykształcenia dzięki namiętnemu czytaniu każdego druku, jaki mu się tylko napatoczył. Gdy miał lat osiemnaście

i zajmował już stanowisko pisarza gminnego, ożenił się

z piękną dziewczyną, która niebawem zmarła podczas porodu. Córka, jeszcze piękniejsza od matki, umarła na skutek silnej gorączki w wieku siedmiu lat. Ale prawdziwa historia Margarita Duarte zaczęła się sześć

miesiący

przed jego przyjazdem do Rzymu, kiedy w związku z budową zapory wodnej trzeba było zmienić lokalizację wioskowego cmentarza. Margarito, tak jak wszyscy okoliczni

mieszkańcy, odkopał kości swoich zmarłych, by przenieść je na nowy cmentarz. Szczątki żony obróciły się

w proch. Za to ciało dziewczynki w sąsiedniej trumnie

leżało w stanie nienaruszonym mimo upływu jedenastu

lat. Do tego stopnia, że kiedy odsunięto wieko, z trumny

uniósł się ten sam zapach świeżych róż, w którym chowano zmarłą. Najbardziej zaskakujące jednak było to, że ciało nic nie ważyło.

Przez wioskę przetoczyły się setki ciekawskich znęconych wieścią o cudzie. Nie było wątpliwości. Nietknięte przez rozkład ciało stanowiło bezsporną oznakę świętości

i nawet biskup tamtejszej diecezji przyznał, iż ten widomy cud należy poddać osądowi Watykanu.

Przeprowadzono więc publiczną składkę na wyjazd Margarita Duarte do Rzymu, by tam podjął się walki o coś, co nie było

już jego prywatną sprawą, czy nawet sprawą jego wioski,

ale stało się kwestią narodową.

W trakcie opowiadania nam swej historii w pensjonacie

zaczisnej dzielnicy Parioli Margarito Duarte otworzył

klódkę i uchylił wieko eleganckiego kufra. W ten oto sposób, wraz z Ribero Silvą, tenorem, stałem się świadkiem

cudu. Zmarła nie miała w sobie nic z tych zmurszałych

mumii, które zobaczyć można w niemal wszystkich muzeach świata, lecz wyglądała na przebraną w suknię panny

młodej dziewczynkę, nieprzebudzoną jeszcze po tak długim przebywaniu pod ziemią. Skórę miała gładką i ciepłą,

a otwarte, przejrzyste oczy sprawiały, iż odnosiło się nieznośne wrażenie, że widzą nas z głębin śmierci.

Satyna

i sztuczne kwiaty pomarańczy w wianku nie zniosły próby czasu tak dobrze jak skóra, ale wetknięte w jej dłonie róże były wciąż żywe. Gdy wyjęliśmy ciało, ciężar sosnowego kufra rzeczywiście nie uległ najmniejszej zmianie.

Margarito Duarte już następnego dnia po przyjeździe rozpoczął swoje starania. Początkowo z pomocą dyplomatyczną, bardziej litościwą niż skuteczną, później zaś chwytając się wszelkich możliwych forteli, jakie mogłyby okazać się przydatne do pokonania niezliczonych przeszkód Watykanu. Niewiele, a jeśli już to dość powściągliwie, mówił o swoich staraniach, wiedzieliśmy jednak, że podejmował ich mnóstwo i nadaremnie. Nawiązywał kontakt z wszystkimi kongregacjami i fundacjami dobroczynnymi, jakie tylko napotykał na swej drodze, gdzie wysłuchiwało go z uwagą, ale i bez zdziwienia, i przyrzekano natychmiastowe poparcie, które nigdy nie przyniosło jakiegokolwiek efektu. Prawdę mówiąc, moment był wyjątkowo niesprzyjający. Wszystko, co miało cokolwiek wspólnego ze Stolicą Apostolską, zostało wstrzymane do momentu pokonania przez Ojca Świętego ataku czkawki, odpornej, jak dotąd, nie tylko na najbardziej wyrafinowane środki uczonej medycyny, ale i na wszelkiego rodzaju

magiczne zaklęcia przysyłane papieżowi z całego świata.

Wreszcie w czerwcu Pius XII odzyskał zdrowie i udał się na letni wypoczynek do Castelgandolfo. Na pierwszą cotygodniową audiencję Margarito zabrał ze sobą świętą z nadzieją, iż będzie mógł ją zademonstrować. Papież pojawił się na wewnętrznym dziedzińcu, na balkonie położonym tak nisko, że Margarito mógł ujrzeć jego starannie wypolerowane paznokcie i nawet zdołał poczuć lekką woń lawendy. Wbrew oczekiwaniom Margarita nie zszedł jednak do turystów, którzy przybyli tu z całego świata, by zobaczyć go na własne oczy, a jedynie wygłosił to samo przemówienie w sześciu językach, by na koniec udzielić powszechnego błogosławieństwa.

Gdy odwlekanu nie było już widać końca, Margarito

postanowił przejąć sprawę w swoje ręce i osobiście zaniósł do Sekretariatu Stanu niemal siedemdziesięciostronicowe własnoręczne pismo, na które nie otrzymał odpowiedzi. Był na to przygotowany, bo urzędnik, który je

przyjmował, rygorystycznie wypełniając wszystkie przewidziane formalności, ledwie zdobył się na oficjalny rzut

oka na zmarłą dziewczynkę, a znajdujący się w pobliżu

urzędnicy przyglądali się jej obojętnie. Jeden z nich opowiedział mu, że w zeszłym roku otrzymali z różnych stron

świata ponad osiemset listów z wnioskiem o uznanie za święte nietkniętych zwłok. Margarito poprosił na ostatek,

by potwierdzono, że ciało nic nie waży. Urzędnik potwierdził, ale nie chciał tego uznać.

- Mamy widocznie do czynienia z przypadkiem zbiorowej halucynacji - stwierdził.

W wolnych chwilach, choć rzadko je miewał, i podczas

nudnych letnich niedziel Margarito nie wychodził ze swego pokoju, pożerając wszystkie książki, które, jak mniemał, mogły być mu przydatne dla sprawy. Pod koniec

każdego miesiąca z własnej inicjatywy spisywał swym przesadnie cyzelowanym piśmem wykwalifikowanego pisarza gminnego drobiazgową listę wydatków, w celu przedłożenia stosownych i dokładnych rachunków tym

wszystkim, którzy złożyli się na jego wyjazd. Po niespełna roku znał już plątaninę wszystkich ulic i zaułków Rzymu, jakby się tam urodził, mówił prostym włoskim, ograniczonym do równie znikomej liczby słów, co i jego andyjski hiszpański, a na procesach kanonizacyjnych znał się jak mało kto. Ale znacznie więcej czasu musiało upłynąć, żeby pozbył się swego pogrzebowego garnituru, kamizelki i kapelusza magistrackiego urzędnika, które w ówczesnym Rzymie charakterystyczne były dla co poniektórych sekretnych stowarzyszeń o niezbyt uczciwych celach. Wychodził bardzo wcześnie z kufrem ze świętą i wracał nierzadko późno w nocy, wykończony i smutny, ale zawsze z tłącą się jeszcze iskierką, która dodawała mu sił na dzień następny.

- Święci żyją swoim własnym czasem - mawiał.

Przebywałem wówczas w Rzymie po raz pierwszy, studiując w Eksperymentalnym Centrum Filmowym, i przeżyłem

jego drogę cierniową z niezapomnianą intensywnością.

Pensjonat, w którym mieszkaliśmy, w rzeczywistości był

nowoczesnym i położonym nieopodal Villa Borghese apartamentem, którego właścicielka zajmowała dwa pokoje,

wynajmując pozostałe cztery zagranicznym studentom. Nazywaliśmy ją Piękną Marią; w pełni swej jesieni była kobietą atrakcyjną, z temperamentem, nieodmiennie hołdującą

świętej zasadzie, że we własnym pokoju każdy jest udziałnym władcą. W gruncie rzeczy osobą, na której barkach

spoczywał ciężar życia powszedniego, była jej starsza siostra, ciotka Antonieta, bezskrzydły anioł, która pracowała

dla niej na godziny w ciągu dnia, łażąc po całym mieszkaniu z wiadrem i ryżową szczotką, by szorować i polerować

do granic niemożliwości marmurowe podłogi. To ona nauczyła nas jeść śpiewające ptaszki, łowione przez Bartolina,

jej męża, bardziej z nawyku, pozostałego z czasów wojny,

niż z potrzeby, i to właśnie ona przygarnęła w końcu Margarita do siebie, kiedy okazało się, że nie stać go na ceny

Pięknej Marii.

Margarito ze swymi przyzwyczajeniami i sposobem bycia gorzej już trafić nie mógł, zamieszkując w tym pandemonium. Co chwila czyhała na nas jakaś niespodzianka, i to od samego świtu, kiedy budził nas

przeraźliwy

ryk Iwa z ogrodu zoologicznego Villa Borghese. Tenor Ribero Silva wywalczył sobie przywilej, na mocy którego

rzymianie nie obrażali się o jego poranne próby. Wstawał

o szóstej, brał leczniczą kąpiel w lodowatej wodzie, przyczesywał diaboliczną brodę i brwi Mefistofelesa i dopiero

wtedy, gdy czuł się już gotów, w szlafroku w szkocką kratę, w szaliku z chińskiego jedwabiu i skropiony ulubioną

wodą kolońską, oddawał się duszą i ciałem ćwiczeniom

wokalnym. Otwierał okno na oścież, nawet zimą, gdy na

niebie jeszcze świeciły gwiazdy, i zaczynał rozgrzewkę od

progresywnego frazowania wielkich arii miłosnych, by

dojść do ich odśpiewania pełnym głosem. Najbardziej

oczekiwano owej chwili, kiedy dochodził do górnego "c",

a Iw z Villa Borghese odpowiadał mu rykiem, od którego drżała ziemia.

- Jesteś wcielonym świętym Markiem, figlio mio - wykrzykiwała ciotka Antonieta niepomiernie zadziwiona.

- Tylko on potrafił rozmawiać z lwami.

Pewnego ranka to nie lew odpowiedział tenorowi. Ribero Silva zaintonował miłosny duet z Otella: Gianetta notte densa s'estingue ogni damor. Nagle, z głębi dziedzińca, odezwał się w odpowiedzi przepiękny sopran. Tenor nie przerwał i obydwaj głosy odśpiewały cały utwór, ku zadowoleniu wszystkich okolicznych mieszkańców, którzy pootwierali okna, by pobłogosławić swoje mieszkania owym strumieniem nieodparcie pięknej miłości. Tenor omal nie zemdleł, kiedy dowiedział się, że jego niewidzialną Desdemoną była ni mniej, ni więcej tylko wielka Maria Caniglia.

Wydaje mi się, że właśnie ów epizod rozwiązał ostatnie wątpliwości Margarita Duarte i dostarczył ostatecznego argumentu na rzecz włączenia się w życie pensjonatu. Odtąd

siadał z nami do wspólnego stołu zamiast przycupywać, jak na początku, w kuchni, gdzie ciotka Antonietta niemal codziennie częstowała go swą mistrzowską potrawą ze śpiewających ptaszków. Piękna Maria czytała nam po obiedzie gazety, żebyśmy osłuchali się z włoską wymową, ku naszej powszechnej radości uzupełniając dziennikarskie informacje własnym, dowcipnym komentarzem. Kiedyś opowiedziała, nawiązując do świętej, że w Palermo jest ogromne muzeum z nietkniętymi ciałami mężczyzn, kobiet i dzieci, a nawet kilku biskupów, wykopanych z cmentarza ojców kapucynów. Wiadomość zaniepokoiła Margarita do tego stopnia, że nie zaznał spokoju, dopóki nie

pojechaliśmy do Palermo. Wystarczyło mu jednak przejść się po przygnębiających korytarzach z wystawionymi mumiami pozbawionymi wszelkiego majestatu i przelotnie

im się przyjrzeć, by pokrzepiająco zawyrokować:

- To nie ten sam przypadek - stwierdził. - Po tych natychmiast widać, że umarli.

Po obiedzie Rzym zapadał w sierpniową śpiączkę. Słońce nieruchomiało na środku nieba, a w ciszy o drugiej po południu rozlegał się wyłącznie szum wody, naturalny odgłos

Rzymu. Ale mniej więcej o siódmej wieczorem okna otwierały się gwałtownie, by wpuścić świeże, już poruszające się

powietrze, na ulice zaś wylegały radosne tłumy tylko i wyłącznie po to, żeby cieszyć się życiem pośród petard motorów, okrzyków sprzedawców arbuźów i miłosnych piosenek wśród kwiatów kawiarnianych ogródków.

Tenor i ja nie przesypialiśmy sjęsty. Dosiadaliśmy jego skutera, on za kierownicą, ja na siodełku, i zawoziliśmy lody i czekoladki letnim kurewkom, które przechadzały się w cieniu wiekowych wawrzynów Villa Borghese, szukając klientów wśród snujących się w pełnym słońcu niewyspanych turystów. Były piękne, biedne i czułe jak większość Włosek w tamtym czasie i ubierały się w niebieskie

organdy, w różowawe popeliny, zielone lny i osłaniały się przed słońcem parasolkami podziurawionymi przez deszcze niedawnej wojny. Spotykanie się z nimi było prawdziwą frajdą, bo nic sobie nie robiąc ze świętych zasad uprawianego zawodu, odpuszczały lekką rączką dobrego klienta, żeby skoczyć z nami do pobliskiego barku na kawę i pogaduchy czy na przejażdżkę dorożką po alejkach parkowych lub litować się nad losem zdezonizowanych królów i ich tragicznych kochanek, jeżdżących o zmierzchu na galoppatoio. Nierzadko służyliśmy im za tłumaczy

w targach z którymś z zabłąkanych jankesów.

Ale nie dla nich zaciągnęliśmy Margarita Duarte do Villa Borghese, tylko po to, żeby pokazać mu lwa. Zwierzę, które żyło samopas na pustynnej wysepce otoczonej głęboką fosą,



ujrząwszy nas podchodzących do brzegu, zaczęło ryczeć jak opętane, zadziwiając tym nawet swego dozorcę. Zewsząd zbiegli się odwiedzający ogród ciekawscy. Tenor usiłował naprowadzić lwa na trop swojej osoby, przypominając mu się górnym "c" z wczesnych godzin porannych, ale lew nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wydawało się, że ryczy na całą trójkę, bez specjalnego wyróżniania kogokolwiek z nas, ale dozorca natychmiast się zorientował, że zwierzę ryczy na Margarita. I tak rzeczywiście było: gdzie się Margarito nie ruszył, tam ruszał i lew, Margarito zniknął mu z oczu,

lew przestawał ryczeć. Dozorca, zarazem doktor filologii klasycznej uniwersytetu w Sienie, uznał, że Margarito widocznie przebywał tego dnia wśród innych lwów i przesiąkł

ich zapachem. Żadne inne wytłumaczenie poza tym, zresztą zupełnie błędnym, nie przychodziło mu do głowy.

- W każdym razie - powiedział - to nie jest ryk wojenny, ale ryk współczucia.

Ale na tenorze Ribero Silva największe wrażenie zrobiło nie nadprzyrodzone zjawisko, lecz poruszenie Margarita, kiedy zatrzymali się, żeby porozmawiać z dziewczynami z parku. Napomknął o tym przy stole i wszyscy

zgodnie uznaliśmy, choć jedni z szelmowskim przymrużeniem oka, inni zaś kierowani współczuciem, że spełnimy dobry uczynek, jeżeli pomożemy Margaritowi znaleźć

jakieś pocieszenie w jego samotności. Rozczulona naszą wrażliwością Piękna Maria przycisnęła dłonie upstrzone tanimi pierścionkami do swego biustu biblijnej matrony.

- Z miłosierdzia bym to zrobiła - powiedziała - gdyby nie to, że jakoś nigdy nie mogłam z mężczyznami, którzy noszą kamizelki.

I tak oto tenor przejechał się o drugiej po południu

przez Villa Borghese i zabrał na siodełko skutera panienkę, która wydawała mu się najodpowiedniejsza, by zapewnić Margaritowi Duarte godzinę miłego towarzystwa.

Zaprowadził ją do swego pokoju, kazał jej się rozebrać,

wykąpał ją w pachnącym mydle, wytarł ręcznikiem, wyperfumował ulubioną wodą kolońską i obsypał swym talkiem kamforowym po goleniu. Wreszcie zapłacił jej za czas, który już jej zabrał i za godzinę więcej, i dokładnie wytłumaczył, co ma zrobić.

Naga piękność przeszła na palcach, niczym sen popołudniowy, przez tonący w półmroku dom i z czułością zapukała dwa razy do drzwi mieszczącego się w głębi korytarza

pokoju. Margarito Duarte, boso i bez koszuli, uchylił drzwi.

- Buona sera giovanotto - przywitała się, swiergocąc i dygając jak pensjonarka. - Mi manda il tenore.

Margarito przyjął zaskakujący dar z imponującą godnością. Otworzył całkowicie drzwi, by wpuścić ją do środka, ona zaś natychmiast ułożyła się na łóżku, podczas gdy

on naprędce wkładał koszulę i buty, żeby przyjąć ją z należnym szacunkiem. Następnie usiadł przy niej na krześle

i nawiązał rozmowę. Zaskoczona dziewczyna powiedziała,

żeby się pospieszył, bo mają dla siebie tylko godzinę. On jakby nie zrozumiał.

Dziewczyna opowiedziała później, że i tak spędziłaby

z nim tyle godzin, ile by tylko chciał, nie biorąc za to ani

grosza, bo nie ma na świecie lepiej wychowanego mężczyzny. Tymczasem, nie wiedząc co ma robić, rozejrzała się po

pokoju i spostrzegła na kominku drewniany futerał. Zapytała, czy to saksofon. Zamiast odpowiedzieć, Margarito

rozchylił nieco żaluzję, by wpuścić odrobinę światła, przyniósł futerał do łóżka i otworzył wieko. Dziewczyna

usiłowała coś powiedzieć, ale szczęka jej opadła. Czy jak później powiedziała: Mi si geló U culo. Uciekła przerażona, ale pomyliła kierunki na korytarzu i wpadła na ciotkę Antonietę, która szła do mojego pokoju wymienić żarówkę. Obie przeraziły się tak bardzo, że dziewczyna dopiero późno w nocy odważyła się opuścić pokój tenora. Ciotka Antonieta nigdy się nie dowiedziała, co właściwie zaszło. Wpadła do mojego pokoju tak roztrzęsiona, że nie była w stanie wkręcić żarówki. Zapytałem, czy coś się jej stało. "W tym domu straszy - odparła. - I to na dodatek w biały dzień". I z ogromną sugestywnością opowiedziała, że podczas wojny jakiś oficer niemiecki poderżnął gardło swojej kochance w pokoju zajmowanym obecnie przez tenora. Wielokrotnie, podczas wykonywania swych codziennych prac, ciotka Antonieta widziała widmo pięknej zamordowanej, krążące po korytarzach.

- A przed chwilą widziałam ją, jak biegła nagusieńka przez korytarz - powiedziała. - Wykapana nieboszczka. Jesienią miasto wróciło do swego normalnego rytmu. Z pierwszymi podmuchami wiatrów zniknęły letnie, pełne kwiatów ogródki kawiarniane, tenor i ja znów zaczęliśmy zaglądać do starej knajpki na Trastevere, gdzie zazwyczaj jadaliliśmy kolacje z uczniami hrabiego Carlo Calcagniego i z niektórymi moimi kolegami ze szkoły filmowej. Spośród tych ostatnich najczęściej zachodził Lakis, inteligentny i sympatyczny Grek, którego jedyną wadą były usypiające przemowy o niesprawiedliwości społecznej. Na szczęście tenorom i sopranistkom niemal zawsze udawało się go uciszyć fragmentami oper odśpiewywanymi na cały głos, co nikomu jednak nie zawadzało, nawet po północy. Wprost przeciwnie, niektórzy zapóźnieni przechodnie przyłączali się do chóru, w sąsiednich zaś budynkach otwierały się okna, żeby nagrodzić koncert oklaskami.

Podczas jednego z takich śpiewanych wieczorów Margarito dołączył do nas, cichutko, na palcach, żeby nam nie przeszkadzać. Taszczył ze sobą sosnowy kufer, którego nie zdążył odnieść do pensjonatu po zademonstrowaniu jego zawartości znanemu ze znacznych wpływów w Świętej Kongregacji do Spraw Obrządku proboszczowi ze Świętego Jana na Lateranie. Kątem oka zdołałem spostrzec, że postawił kufer pod odsuniętym na bok stołem i usiadł, czekając, aż skończymy śpiewać. Jak zwykle około północy, gdy knajpka z wolna pustoszała, połączyliśmy kilka stolików, by mogli przy nich zasiąść wspólnie i ci, co śpiewali, i ci, co rozprawiali o kinie, i przyjaciele nas wszystkich. A wśród nich również Margarito Duarte, znany już w tym gronie jako milczący i smutny Kolumbijczyk, o którym nikt nic nie wiedział. Zaintrygowany Lakis zapytał go, czy gra na wiolonczeli. Zamarłem, usłyszawszy ten ewidentny i trudny do zatuszowania nietakt. Równie zmieszany tenor też nie potrafił załagodzić kłopotliwej sytuacji. Jedynym, który normalnie odebrał pytanie, był Margarito.

- To nie jest wiolonczela - powiedział. - To święta.

Położył skrzynię na stole, otworzył kłódkę i uniósł wieko. Fala osłupienia wstrząsnęła restauracją. Inni klienci, kelnerzy, a na ostatek obsługa kuchenna w pokrzwawionych fartuchach, zebrali się oniemiała, by podziwiać cud.

Niektórzy przeżegnali się. Jedna z kucharek uklękła, złożyła dłonie ogarnięta gorączkowym drżeniem i zaczęła modlić się bezgłośnie.

Gdy już opadło początkowe poruszenie, wdaliśmy się we wrzaskliwą dyskusję na temat niedostatku świętości w naszych czasach. Lakis, oczywiście, był najradykalniejszy. Jedynym wnioskiem z całej dyskusji był jego

pomysł, by zrobić krytyczny film na temat świętej.

- Jestem przekonany - powiedział - że stary Cesare nie pozwoliłby zmarnować takiego tematu.

Myślał o Cesare Zavattinim, naszym mistrzu od pomysłów filmowych i scenariuszy, jednym z wielkich w historii kina i jedynym, który utrzymywał z nami bezpośrednie kontakty poza szkołą. Usiłował nauczyć nas nie tylko

zawodu, ale i odmiennego sposobu patrzenia na życie. To

była maszyna do wymyślania scenariuszy. Kipiał pomysłami, które przychodziły mu do głowy niemal wbrew jego

woli. I to w takim tempie, że zawsze potrzebował kogoś, kto pomagałby mu je chwycić w locie, gdy głośno o nich myślał. Tyle że po ich spisaniu mijał mu cały zapal.

"Szkoda, że trzeba je będzie sfilmować", mawiał. Sądził

bowiem, że na ekranie stracą dużo ze swej pierwotnej

magii. Zapisywał pomysły na fiszkach, które układał według tematów i przypinał do ścian, i miał ich już tyle, że

obwieszona była nimi cała sypialnia.

W następną sobotę poszliśmy z Margarito Duarte odwiedzić Zavattiniego. Był tak chciwy życia, że czekał już na nas w drzwiach swego domu przy ulicy Angela Merici,

rozgorączkowany pomysłem, o którym zdążyliśmy mu

napomknąć przez telefon. Wbrew cechującej go grzeczności nawet się z nami nie przywitał, tylko z miejsca poprowadził Margarita do przygotowanego już stołu i sam otworzył kufer. Wówczas zdarzyło się coś, czego w ogóle nie

braliśmy pod uwagę. Zamiast oszaleć, jak można się było

spodziewać, uległ swoistemu paraliżowi umysłowemu.

- Ammazza! - jęknął przerażony.

Przez dwie, trzy minuty przyglądał się świętej w milczeniu, po czym sam przymknął wieko i nic nie mówiąc, odprowadził Margarita do drzwi niczym dziecko, które

stawia swoje pierwsze kroki. Pożegnał się z nim, poklepując go po plecach. "Dziękuję, synu, bardzo dziękuję

- powiedział. - I niech Bóg cię wspiera w twojej walce".

Zamknąwszy drzwi, odwrócił się do nas i ogłosił swój werdykt.

- To się nie nadaje na film - stwierdził. - Nikt by w to

nie uwierzył.

Ta zaskakująca lekcja przez całą powrotną drogę tramwajem nie dawała nam spokoju. Jeśli sam Zavattini

mówi, że się nie nadaje, to nie ma co sobie głowy zawracać:

nie nadaje się i już. Piękna Maria czekała na nas jednak

z pilną wiadomością, że mamy stawić się u Zavattiniego

jeszcze tego wieczoru, ale bez Margarita.

Trafiliśmy na jeden z jego błyskotliwych momentów.

Lakis przyprowadził jeszcze dwóch czy trzech kolegów ze

szkoły, ale Zavattini, otwierając drzwi, zdawał się ich

w ogóle nie dostrzegać.

- Mam! - krzyknął. - To będzie bomba, pod warunkiem, że Margarito uczyni cud i dziewczynka zmartwychwstanie.

- W filmie czy w życiu? - zapytałem.

Zbagatelizował pytanie. "Nie wygłupiaj się - powiedział. Ale natychmiast dostrześliśmy w jego oczach błysk

pomysłu nie do odrzucenia. - No, chyba że potrafi ją

wskrzesać naprawdę", rzekł i całkiem poważnie dodał:

- Powinien spróbować.

Ale była to jedynie chwilowa pokusa przed podjęciem

właściwego wątku. Zaczął chodzić po mieszkaniu jak

szczęśliwy wariat, wymachując rękami i wrzaskliwie opowiadając film. Słuchaliśmy go oniemiały, ulegając

wrażeniu, że widzimy obrazy jak połyskujące ptaki, które pierzchały całymi stadami i fruwały oszalałe po

całym domu.

- Pewnej nocy - mówił - kiedy zmarło już ze dwudziestu papieży, którzy go nie przyjęli, Margarito wraca do domu, sterany i stary, otwiera kufer, głaszcze zmarłą dziewczynkę po policzku i mówi do niej z największą na świecie czułością: "Przez miłość twego ojca, córeczko: wstań i idź".

Przypatrzył się nam i dokończył z triumfalnym gestem:

- I dziewczynka wstaje!

Czekał na jakąś reakcję z naszej strony. Ale byliśmy tak zaskoczeni, że zabrakło nam słów. Prócz Lakisa, Greka, który uniósł palec, jak w szkole, żeby poprosić o głos.

- Mój problem polega na tym, że nie wierzę w to - powiedział i widząc nasze zdziwienie, zwrócił się bezpośrednio

do Zavattiniego: - Przepraszam, mistrzu, ale nie wierzę.

W tym momencie to Zavattini osłupiał.

- A dlaczego?

- A bo ja wiem - odparł strapiony Lakis. - Bo tak nie może być.

- Ammazza! - wrzasnął wówczas mistrz tak donośnie, że pewnie słycać go było w całej dzielnicy. - Najbardziej wkurwia mnie u stalinistów właśnie to, że nie wierzą w rzeczywistość.

Przez następne piętnaście lat, jak sam mi opowiedział,

Margarito nosił świętą do Castelgandolfo, na wszelki wypadek, gdyby nadarzyła się okazja pokazania jej.

Podczas

jednej z audiencji dla około dwustu pielgrzymów z Ameryki Łacińskiej, ze wszystkich stron popychany i trącany

łokciami, zdołał opowiedzieć swoją historię zyczliwemu

Janowi XXIII. Ale nie mógł pokazać mu dziewczynki, bo

w ramach środków ostrożności przed zamachem musiał

ją zostawić przy wejściu obok tobołków innych pielgrzymów. Papież wysłuchał go z największą uwagą, na jaką

mógł sobie pośród tłumów pozwolić, i poklepał po policzku gestem otuchy.

- Bravo, figlio mio - powiedział mu. - Bóg wynagrodzi twoją wytrwałość.

Mimo to naprawdę poczuł się blisko spełnienia swoich

marzeń podczas krótkotrwałego pontyfikatu uśmiechniętego Albino Lucianiego. Jeden z krewnych Margarita,

będąc pod wrażeniem jego historii, przyrzekł mu swoje

wstawiennictwo. Nikt nie przywiązywał do tego większej

wagi. Ale w dwa dni później, podczas obiadu, ktoś zapukał do drzwi pensjonatu z pilną i krótką wiadomością dla

Margarita: nie powinien ruszać się z Rzymu, bo przed

czwartkiem zostanie wezwany przez Watykan na prywatną audiencję.

Nigdy nie zostało wyjaśnione, czy był to żart. Margarito

uważał, że nie, i czekał w stanie pełnej gotowości. Nie wychodził z domu. Kiedy musiał korzystać z łazienki,

ogłaszał to wszem i wobec: "Idę do łazienki". Piękna Maria,

wciąż tryskająca humorem w brzasku młodej jeszcze starości, wybuchała swym śmiechem wolnej kobiety.

- Wiemy, wiemy, Margarito - krzyczała - to na wypadek, gdyby cię papież wezwał.

Następnego tygodnia, na dwa dni przed zapowiedzianym telefonem, Margarito omal nie zemdlał, ujrawszy w gazecie wsuniętej pod drzwi tytuł: Morto il Papa.

Przez ułamek sekundy łudził się, że to przestarzała gazeta, którą przyniesiono przez pomyłkę, bo niełatwo było

uwierzyć, by papież umierali co miesiąc. Ale tak rzeczywiście było: uśmiechnięty Albino Luciani, wybrany trzydzieści trzy dni wcześniej, zmarł nad ranem w swoim łóżku.

Znalazłem się ponownie w Rzymie dwadzieścia dwa lata później i gdyby nie przypadkowe spotkanie, być

może  
nie pomyślałbym nawet o poznanym kiedyś Margaricie  
Duarte. Byłem zbyt przygnębiony zniszczeniami dokonanyimi przez czas, żeby o kimkolwiek myśleć.  
Bezustannie  
siąpiła nedorzeczna mżawka jak ciepławy rosół, diamentowe światło z innych czasów zmętniało, a miejsca,  
moje  
miejsca, którymi karmiłem melancholijne wspomnienia,  
były całkowicie odmienione i obce. Budynek pensjonatu  
stał nietknięty, ale nikt w nim nigdy nie słyszał o Pięknej  
Marii. Nikt nie odpowiadał pod sześcioma numerami telefonów, które tenor Ribero Silva przesyłał mi przez te  
wszystkie lata. Podczas obiadu z nowymi ludźmi kina  
wspomniałem mojego mistrza i nagle cisza zatrzepotała  
nad stołem, dopóki ktoś nie odważył się wreszcie odezwać:

- Zavattini? Mal sentito.

I tak było: nikt o nim nie słyszał. Drzewa Villa Borghese stargał deszcz, galoppatoio smutnych księżniczek  
zostało zżarte przez bezkwietne zarośla, a miejsce niegdysiejszych piękności zajęli atletyczni hermafrodyty  
przebrani za hiszpańskie kokietki. Jedynym żyjącym egzemplarzem fauny na wymarcu był stary, chorujący  
na  
świerzb i zakatarzony lew na swojej wysepce otoczonej  
opadającymi wodami. Nikt nie śpiewał i nie umierał z miłości w plastikowych knajpkach na placu  
Hiszpańskim.

Bo Rzym naszych nostalgii był już kolejnym antycznym  
Rzymem wewnątrz antycznego Rzymu Cezarów. Nagle  
na jednej z uliczek Trastevere stanąłem jak wryty, gdy  
doszedł mnie głos, który równie dobrze mógł dochodzić  
z zaświatów:

- Cześć, poeto!

To był on, stary i zmęczony. Zmarło pięciu papieży,  
Wieczne Miasto zdradzało pierwsze oznaki upadku, a on  
wciąż czekał. "Naczekałem się już tyle, że pewnie już mi  
niewiele brakuje - powiedział, żegnając się po prawie  
czterech godzinach wspomnień. - To już tylko kwestia  
miesiący". Odszedł środkiem ulicy, powłócząc nogami,  
w swych wojskowych butach, w spłowiałej czapce starego  
rzymianina, nie zważając na kałuże po deszczu, w których światło zaczynało już butwieć. I nie miałem już  
najmniejszych wątpliwości, o ile je kiedykolwiek miałem, że  
to właśnie on jest świętym. Nie uświadamiając sobie tego, poświęcając wszystko dla nietkniętego rozkładem  
ciała swojej córki, już od dwudziestu dwóch lat walczył za  
życia o słuszną sprawę własnej kanonizacji.

Sierpień 1981

Samolot śpiącej królowny

Była piękna, wiotka, o delikatnej skórze barwy świeżo  
upieczonego chleba, o migdałowych oczach i gładkich,  
czarnych, opadających na plecy włosach, i otaczała ją aura zamierzchłej przeszłości, która mogła być rodem  
tak

z Indonezji, jak i z Andów. Ubrana była z subtelnym smakiem: kurtka z rysia, lekka kwiecista bluzka z  
naturalnego jedwabiu, spodnie z surowego lnu i płaskie pantofle  
w kolorze bugenwilli. "W życiu nie widziałem piękniejszej kobiety", pomyślałem, ujrawszy, jak idzie,  
stawiając  
ciche, długie kroki lwicy, podczas gdy ja stałem na paryskim lotnisku Charles de Gaulle w kolejce do odprawy  
na  
samolot do Nowego Jorku. Było to zjawisko nadprzyrodzone i krótkotrwałe, bo dziewczyna natychmiast  
zniknęła w tłumie wypełniającym halę.

Była dziewiąta rano. Śnieg padał nieustannie od ubiegłej nocy i jazda po mieście była trudniejsza niż

zazwyczaj,

jeszcze gorsza na autostradzie, na której poboczach stały ciężarówki i próbujące wydostać się z zasp samochody.

Za to w hali portu lotniczego życie nadal tętniło wiosną.

Stałem w kolejce do odprawy za wiekową Holenderką,

która przez niemal godzinę wyklócała się o wagę swych

jedenastu walizek. Zaczynałem już mieć tego dosyć, kiedy mignęło owo przelotne zjawisko, na którego widok

zaparło mi dech w piersiach, i to tak, że nawet nie wiedziałem, czym skończyła się kłótnia o bagaż, i dopiero

hostessa sprowadziła mnie na ziemię, strofując za gapiostwo. Chcąc ją udobruchać, zapytałem, czy wierzy w

miłość od pierwszego wejrzenia. "Jasne, że wierzę - odpowiedziała. - Inne są niemożliwe". Wpatrzona przez

cały

czas w komputerowy monitor zapytała, jakie miejsce wolę: dla palących czy dla niepalących.

- Wszystko mi jedno - odpowiedziałem szczerze - byle

nie obok tych jedenastu walizek.

W podzięce przybrała swój profesjonalny uśmiech i nie

odrywając wzroku od fosforyzującego ekranu, oznajmiła:

- Proszę wybrać jeden z następujących numerów: trzy,

cztery lub siedem.

- Cztery.

W jej uśmiechu rozbłysła iskierka triumfu.

- Piętnaście lat tu pracuję - stwierdziła - i pan pierwszy nie wybrał siódemki.

Zaznaczyła numer miejsca na karcie pokładowej i oddała mi ją z resztą dokumentów, patrząc na mnie po raz

pierwszy swymi oczami koloru winogron, które przez czas

jakiś, dopóki nie ujrzałem ponownie pięknej królowny, były

dla mnie pokrępiającą namiastką. I dopiero wtedy poinformowała mnie, że lotnisko właśnie zamknięto, a

wszystkie

loty wstrzymano.

- Na jak długo?

- Bóg raczy wiedzieć - odpowiedziała z uśmiechem.

- W radiu powiedziano rano, że będzie to największa śnieżycyca w tym roku.

Pomyliła się: była to śnieżycyca stulecia. Ale w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy wiosna była tak

rzeczywista, że nawet w wazonach kwitły najprawdziwsze róże,

a i pobrzmiwająca jak z puszki muzyka stała się tak

wzniosła i kojąca, jak chcieli tego jej twórcy. Nagle przyszło mi na myśl, że jest to odpowiednie schronienie dla

królowny, zacząłem więc jej szukać w innych salach, zaskoczony własną śmiałością. Niestety, wśród

pasażerów

dominowali mężczyźni z tego świata, którzy czytali gazety po angielsku, podczas gdy ich żony myślały o

innych

mężczyznach, przypatrując się przez panoramiczne szyby

martwym samolotom w śniegu, lodowym budowlom, rozległym polom Roissy spustoszone przez lwy. Po

dwunastej nigdzie już nie było wolnego miejsca, a upał stał

się tak nieznośny, że uciekłem, by zaczerpnąć świeżego

powietrza.

Na zewnątrz działy się przejmujące sceny. Pasażerowie

ze wszystkich stron świata wypełniali poczekalnie do

ostatniego miejsca, zalegali duszne korytarze, nawet

schody, koczując na podłodze ze swymi zwierzętami,

dziećmi i bagażami. Połączenia z miastem również zostały przerwane, a pałac z przezroczystego plastiku

wyglądał

teraz jak ogromna kosmiczna kapsuła miotana przez burzę. Nie mogłem powstrzymać się od myśli, że gdzieś,

pośród tych potulnych hord, przebywa również piękna królowna, i to marzenie dodało mi sił do czekania.

Do obiadu zdążyliśmy w pełni nabrać świadomości rozbitków. Niekończące się tłumy ciągnęły do siedmiu

restauracji, kawiarni, przepelnionych barów i po niespełna

trzech godzinach trzeba było je wszystkie zamknąć, bo

nie zostało już nic do jedzenia ani do picia. Dzieci, a przez chwilę wydawało się, że są tu wszystkie dzieci z całego świata, rozplakały się jednocześnie i nad tłumem zaczęła unosić się woń stada. Nastął czas instynktów. Jedynym pożywieniem, jakie udało mi się wywalczyć w napierającym tłumie, były dwa ostatnie kubki lodów śmietankowych ze sklepu dla dzieci. Jadłem je powoli przy barze, podczas gdy kelnerzy ustawiali na stołach zwalniane przez klientów krzesła, a ja gapiłem się na swoje własne odbicie w głębi lustra, z ostatnim kartonowym kubkiem i z ostatnią plastikową łyżeczką, i marzyłem o pięknej królownie.

Odlot samolotu do Nowego Jorku, przewidziany na jedenastą, nastąpił dopiero o ósmej wieczorem. Kiedy udało mi

się wreszcie dostać na pokład, pasażerowie pierwszej klasy siedzieli już w swoich fotelach i stewardesa zaprowadziła mnie na moje miejsce. Dech mi zapało. Na sąsiednim siedzeniu, przy okienku, królowna obejmowała w posiadanie swoje terytorium z wprawą wytrawnych podróżników.

"Gdybym kiedykolwiek o tym napisał, nikt by mi nie uwierzył", pomyślałem. Ledwie zdołałem wydukać półgębkiem jakieś słowa powitania, które puściła mimo uszu.

Rozlokowała się, jakby zamierzała tu mieszkać wiele lat, układając wszystko według ustalonego porządku i na sobie właściwym miejscu, dopóki cała jej przestrzeń nie została zagospodarowana równie praktycznie jak idealny dom, gdzie wszystko jest w zasięgu ręki. W trakcie wykonywania przez nią owych czynności steward przyniósł

nam powitalnego szampana. Już miałem jej podać kieliszek, ale zdążyłem powstrzymać się w ostatniej chwili. Chciała tylko szklankę wody, poza tym poprosiła stewarda, najpierw w niezrozumiałej francuszczyźnie, następnie w nieco przystępniejszym angielskim, by pod żadnym pozorem nie budzono jej podczas trwania całego

lotu. W jej niskim i obojętnym głosie pobrzmiwał jakiś

orientalny smutek. Kiedy przyniesiono jej wodę, postawiła na kolanach neseser z miedzianymi obiciami na rogach, takimi jakie miały kufry naszych babć, otworzyła go i z puzderka pełnego różnokolorowych pastylek wyjęła dwie złote tabletki. Wszystkie jej ruchy były przemyślane i oszczędne,

jakby od dnia narodzin nie istniało dla niej nic nieprzewidzianego. Na koniec zasłoniła okienko, rozłożyła maksymalnie fotel, nie zdejmując pantofli okryła się kocem do pasa, nałożyła na oczy maseczkę do spania, a potem, odwracając się do mnie plecami, ułożyła się na fotelu bokiem i zasnęła kamiennym snem, nie wydając ani jednego westchnienia, nie poruszywszy się ani razu przez

osiem trwających całą wieczność godzin (nie licząc dwunastu minut) lotu do Nowego Jorku. Intensywna była to podróż. Zawsze wierzyłem, że w naturze nie ma nic piękniejszego od pięknej kobiety, nie mogłem więc ani przez chwilę wyzwolić się spod uroku owej baśniowej istoty śpiącej u mego boku. Steward zniknął natychmiast po starcie i zastąpiła go kartezyjska stewardesa, która usiłowała zbudzić królownę, by wręczyć jej kosmetyczkę i słuchawki do słuchania muzyki. Powtórzyłem jej życzenie królowny przekazane stewardowi, ale stewardesa uparła się, że z ust samej zainteresowanej musi usłyszeć, że ta nie życzy sobie również kolacji. Musiał interweniować główny steward, co i tak nie

ustrzegło mnie przed reprimendą ze strony stewardesy, wzburzonej tym, że piękna królowna nie powiesiła sobie na

szyi kartonika z napisem, żeby jej nie budzić.

Zjadłem kolację w osamotnieniu, bezgłośnie mówiąc

do siebie to wszystko, co powiedziałbym jej, gdyby nie spała. Sen królowy był tak mocny, że w pewnej chwili ogarnął mnie niepokój, czy zażyte przez nią proszki nie były tabletkami nasennymi, ale śmiertelną trucizną. Przed każdym łykiem unosiłem kieliszek i wznosiłem toast:

- Twoje zdrowie, królowo.

Po kolacji wygaszono światła, wyświetlono film dla nikogo i oboje zostaliśmy sami w półmroku świata.

Śnieżyca

stulecia była już za nami, nad Atlantykiem rozpościerała się ogromna i przejrzysta noc, a samolot wydawał się tkwić nieruchomo wśród gwiazd. Wówczas przyjrzałem jej się dokładnie i tak wpatrywałem się w nią przez kilka godzin, ale jedynymi oznakami życia, jakie zdołałem w niej dostrzec, były cienie snów przesuwające się po jej czole jak chmury po wodzie. Na szyi miała łańcuszek tak delikatny, iż ledwo dostrzegalny na złotej skórze, nie przekłute, cudowne uszy, różowe paznokcie świadczące o dobrym zdrowiu i obrączkę na lewej dłoni. Biorąc pod uwagę, że nie wyglądała na osobę, która miałaby ukończone dwadzieścia lat, pocieszyłem się myślą, że nie jest to obrączka ślubna, lecz wspomnienie po jakimś przelotnym narzeczeństwie. "Wiedzieć, że śpisz tak pewna i bezpieczna, wierny nurt opuszczenia, czysta linia, tak blisko moich ramion spętanych", powtórzyłem sobie, niesiony grzbietem pieniej fali szampana, mistrzowski sonet Gerarda Diego. Następnie rozłożyłem fotel do wysokości jej

fotela i leżeliśmy o wiele bliżej siebie niż w małżeńskim łóżu. Jej oddech spowijała ta sama aura, co i głos, skóra zaś wydawała delikatną woń, która nie mogła być niczym innym jak tylko zapachem jej własnej urody. To było niewiarygodne: wiosną ubiegłego roku przeczytałem przepiękną powieść Yasunari Kawabaty o starcach z mieszczańskiego Kioto, którzy płacili ogromne pieniądze tylko

za możliwość przyglądania się przez całą noc najpiękniejszym, nagim i oszołomionym narkotykami dziewczętom,

leżąc obok nich, w tym samym łóżku, i konając z miłości.

Nie mogli dziewcząt ani obudzić, ani dotknąć, i nawet tego nie próbowali, bo istota rozkoszy polegała wyłącznie na przypatrywaniu się, jak śpią. Tej nocy, czuwając nad snem królowy, nie tylko pojąłem owo starcze wyrafinowanie, ale i samemu go w pełni doświadczyłem.

"Nikt by nie uwierzył - powiedziałem sobie, unosząc się szampańską pychą. - Ja, właśnie ja, w roli japońskiego staruszka". Zdaje się, że spałem parę godzin, pokonany przez musujący trunek i nieme błyski filmu, i obudziłem się z pękającą głową. Poszedłem do łazienki. Dwa

rzędy dalej spało babsko od jedenastu walizek, obrzydliwie rozwalone na fotelu. Wyglądała jak trup porzucony

na polu bitwy. Na podłodze, w samym środku przejścia,

leżały jej okulary do czytania obok naszyjnika z kolorowych paciorków i przez chwilę delektowałem się nikczemną radością, że ich nie podniosłem.

Gdy pozbyłem się nadmiaru szampana, zaskoczyło

mnie własne odbicie w lustrze, brzydkie i podłe, i zdziwiłem się straszliwymi skutkami spustoszeń miłosnych.

Samolot nagle zaczął gwałtownie opadać, pilot wyrównał

maszynę, na ile tylko mógł, i kontynuował lot kangurowymi skokami. Zapaliły się napisy nakazujące zajęcie miejsc. Natychmiast ruszyłem z nadzieją, że co jak co, ale

boskie turbulencje są w stanie obudzić królowę i przerażenie każe jej schronić się w mych ramionach.

Spiesząc

się, omal nie zdeptałem okularów Holenderki, a uczyniłbym to z radością. Ale zawróciłem, podniosłem je i



położyłem na jej brzuchu pełen niespodziewanej wdzięczności za to, że nie wybrała przede mną miejsca numer cztery.

Sen królowny był nie do pokonania. Kiedy lot zaczął przebiegać już nieco spokojniej, musiałem powstrzymać się, żeby nią nie potrząsnąć pod byle pretekstem, bo w ostatniej godzinie podróży pragnąłem jedynie ujrzeć ją, choćby i wściekłą, ale przebudzoną, byle odzyskać wolność i, być może, młodość. Ale nie byłem w stanie tego zrobić. "Cholera jasna - skląłem samego siebie z bezbrzeżną pogardą. - Dlaczego nie urodziłem się pod znakiem Byka!". Obudziła się sama, bez niczyjej pomocy,

w tej samej chwili, w której zapaliły się napisy informujące o lądowaniu, i była tak piękna i pełna życia, jakby spała wśród róż. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że pasażerowie zajmujący sąsiednie fotele nie mówią sobie

"dzień dobry" po przebudzeniu - jak stare małżeństwa. Królowna też nic nie powiedziała. Zdjęła maseczkę, otworzyła promienne oczy, wyprostowała fotel, odrzuciła koc,

potrząsnęła włosami, które ułożyły się pod własnym ciężarem, ponownie postawiła neseser na kolanach i przystąpiła do szybkiego i dyskretnego makijażu, co w zupełności jej wystarczyło, by aż do chwili otwarcia luku ani

razu nie spojrzeć w moją stronę. Wówczas założyła kurtkę z rysia i niemal przeszła po mnie, przepraszając konwencjonalnie w najczystszej hiszpańszczyźnie obu Ameryk,

i odeszła bez słowa pożegnania, nawet bez słowa podziękowania za to wszystko, co uczyniłem dla naszej szczęśliwej nocy, i zniknęła aż po dziś dzień w nowojorskiej Amazonii.

| Czerwiec 1982  
Śnię na zamówienie  
O dziewiątej rano, gdy jedliśmy śniadanie na tarasie hawańskiego hotelu "Riviera", ogromna fala, uderzywszy z potworną siłą, uniosła w rozświetlone powietrze szereg przejeżdżających nadmorskim bulwarem lub parku-

jących na chodniku samochodów, wbijając jeden z nich w skrzydło hotelu. Huk podobny eksplozji dynamitu rozbił w proch witraż w holu i wywołał panikę, która ogarnęła dwadzieścia pięter hotelu. Licznie zgromadzonych w poczekalni turystów uniosło razem z meblami, a niektórzy z nich zostali ranieni odłamkami szkła.

Uderzenie było niesamowite, bo hotel oddzielony jest od morza szeroką dwukierunkową aleją, fala musiała więc nad nią przelecieć i miała jeszcze dość siły, żeby doszczętnie rozbić witraż.

Radośni ochotnicy kubańscy z pomocą strażaków w niecałe sześć godzin usunęli zniszczenia, zamknęli drzwi od strony morza, uruchomili inne wejście i wszystko wróciło do normy. Rano nikt się nie zajął samochodem

wbitym w ścianę, zakładając z góry, że to jeden z tych, które parkowały na chodniku. Kiedy jednak dźwig wydobył go z wyrwy, we wraku odkryto zwłoki kobiety, przypięte pasami do siedzenia kierowcy. Uderzenie było tak

silne, że zmiażdżyło jej wszystkie kości. Twarz miała zniekształconą, poszarpane buty, ubranie w strzępach, a na palcu złoty pierścionek w kształcie węża z oczyma ze szmaragdów. Policja ustaliła, że była to gospodyni w rezydencji nowo mianowanego ambasadora Portugalii.

Istotnie, przybyła do Hawany z ambasadorem i jego żoną piętnaście dni wcześniej i tego dnia rano wyjechała na targ nowym samochodem. Kiedy czytałem w gazetach informacje o wypadku, jej nazwisko nic mi nie powiedziało,

ale zaintrygował mnie ów pierścionek w kształcie węża ze

szmaragdowymi oczami. Nie mogłem ustalić, na którym palcu go nosiła.

A była to zasadnicza dla mnie informacja, bo żywiłem obawę, że ofiarą mogła być niezapomniana kobieta, której prawdziwego nazwiska nigdy nie poznałem, a która nosiła identyczny pierścionek na palcu wskazującym prawej dłoni, co w tamtych czasach było czymś jeszcze bardziej osobliwym. Poznałem ją trzydzieści cztery lata wcześniej w Wiedniu, gdy w knajpie latynoamerykańskich studentów jadłem kiełbaski z gotowanymi ziemniakami, popijając beczkowym piwem. Przybyłem owego dnia rano z Rzymu i wciąż pamiętam wrażenie, jakie zrobił na mnie jej wspaniały biust sopranistki, wyleniałe lisie ogony na kołnierzu palta i ów egipski pierścionek w kształcie węża.

Wnosząc z jej rudymenarnej hiszpańszczyzny, jaką mówiła, nie zaczerpując powietrza i z chropawym akcentem, pomyślałem, że w tej długiej drewnianej sali gospody jest jedyną Austriaczką. Ale nie, urodziła się w Kolumbii, a wyjechała do Austrii w okresie międzywojennym jako bardzo młoda dziewczyna, by studiować tu muzykę i śpiew. Teraz miała mniej więcej trzydzieści lat, i to źle znoszonych, bo chyba nigdy nie grzeszyła urodą i zaczęła się przedwcześnie starzeć. Była za to przeuroczym człowiekiem. I zarazem osobą wzbudzającą największy lęk. Wiedeń był jeszcze dawnym cesarskim miastem, które dzięki swemu położeniu między dwoma wrogimi światami powstałymi po drugiej wojnie światowej stało się rajem dla czarnego rynku i światowego szpiegostwa. Nie mógłbym sobie wyobrazić lepszego miejsca dla mojej rodaczki

- emigrantki, która nie przestała stołować się w studenckiej tawernie na rogu tylko przez wierność swojemu pochodzeniu, miała bowiem dość środków, by kupić ją całą za gotówkę, razem ze wszystkimi stołownikami. Nigdy nie podała swego prawdziwego nazwiska, zawsze znaliśmy ją pod germańskim łamańcem, jaki dla niej wymyślili latynoscycy studenci w Wiedniu: Frau Frida. Ledwie mi ją przedstawiono, a ja już pozwoliłem sobie na szczęśliwą impertynencję, pytając, jak udało jej się zapuścić korzenie w świecie tak odmiennym i tak odległym od jej wietrznych skał Quindi'o, ona zaś odpowiedziała jakby nigdy nic:

- Śnię na zamówienie.

Był to rzeczywiście jej jedyny zawód. Urodziła się jako trzecie dziecko w wielodzietnej, bo liczącej jedenaścioro potomstwa, rodzinie zamożnego sklepikarza w starym Caldas i od czasu, gdy nauczyła się mówić, zaprowadziła w domu miły zwyczaj opowiadania sobie snów na czczo, przed śniadaniem, a więc w porze, kiedy w najczystszej formie zachowują swoje wróżbiarskie właściwości. Gdy miała siedem lat, przyśniło jej się, że jeden z braci został porwany przez potok. Matka z czystych przesądów religijnych zakazała synowi jego ulubionej zabawy, czyli kąpieli w górskim strumieniu. Ale Frau Frida posiadała już własny system przepowiedni.

- Ten sen wcale nie znaczy - powiedziała - że się utopi, ale że nie powinien jeść słodczy.

Już sama interpretacja snu wydawała się nikczemnością wobec pięcioletniego brzdąca, który nie wyobrażał sobie życia bez swoich niedzielnych łakoci. Matka, całkowicie już pewna wróżbiarskich umiejętności córki, kazała surowo przestrzegać ostrzeżenia. Ale dzieciak, korzystając z chwili jej nieuwagi, dorwał się po kryjomu do landrynki, zakrztusił się i już nie udało się go uratować.

Frau Frida nie przypuszczała, że może zawodowo wykorzystała swoje umiejętności, dopóki życie w czasie srogich wiedeńskich zim nie przyłożyło jej noża do gardła. Wtedy to, szukając pracy, zapukała do drzwi pierwszego domu, w którym z przyjemnością by zamieszkała, a na pytanie, co potrafi robić, odpowiedziała zgodnie z prawdą: "Śnić". Wystarczyło jej złożyć pani domu kilka słów wyjaśnienia, żeby ją przyjęto za skromne co prawda, bo ledwie wystarczające na drobne wydatki wynagrodzenie, ale i za przyzwoity pokój i trzy posiłki dziennie. A przede wszystkim śniadanie, kiedy to cała rodzina siadała do stołu, by poznać najbliższą przyszłość każdego z jej członków: ojca, wytwornego rentiera; matki, kobiety wesołej i namiętnej wielbicielki romantycznej muzyki kameralnej; i dwojga dzieciaków, z których jedno miało jedenaście, a drugie dziewięć lat. Wszyscy byli religijni, a tym samym podatni na archaiczne przesady, przyjęli więc Frau Fridę z zachwytem, wymagając od niej jedynie codziennego odczytywania losów rodziny na podstawie snów.

Dobrze sobie z tym radziła, szczególnie w okresie wojny, kiedy rzeczywistość była o wiele bardziej ponura od sennych koszmarów. Tylko ona potrafiła powiedzieć podczas śniadania, co kto powinien robić danego dnia i jak to powinien robić, do tego stopnia, iż jej przepowiednie urosły z czasem do rangi jedyne autorytetu w domu. Jej władza nad rodziną stała się absolutna: najcichszego bodaj westchnienia nie można było wydać bez jej przyzwolenia. Właśnie w czasie mojego pobytu w Wiedniu zmarł pan domu, który zachował się z dużą elegancją, zapisując jej część swych rentierskich dochodów, pod jednym wszak warunkiem: że nadal będzie śnić dla rodziny aż do końca jej snów.

W oczekiwaniu na pieniądze, które nigdy nie nadeszły, spędziłem w Wiedniu ponad miesiąc, dzieląc niedostatki studentów. Nieprzewidziane i szczodre wizyty Frau Fridy w tawernie przynosiły świąteczną odmianę w naszym ubogim jadłospisie. Podczas jednego z owych wieczorów, w pełnej euforii piwnej, nachyliła się i z przekonaniem, które nakazywało bezzwłoczne działanie, szepnęła mi do ucha:

- Przyszłam tylko po to, żeby ci powiedzieć, że w nocy mi się śniłeś - powiedziała mi. - Musisz natychmiast wyjechać i przez następnych pięć lat nie wolno ci wracać do Wiednia.

Jej pewność była tak prawdziwa, że tej samej nocy wsadziła mnie do ostatniego pociągu do Rzymu. Ja ze swej strony do tego stopnia uległem jej sugestiom, że od tamtej pory uważam się za jedyną osobę ocalałą z katastrofy, której nie dane mi było przeżyć. Do tej pory nie wróciłem do Wiednia.

Przed katastrofą w Hawanie spotkałem Frau Fridę w Barcelonie, w okolicznościach tak nieoczekiwanych i przypadkowych, iż rzecz cała wydała mi się bardzo tajemnicza. Zdarzyło się to w dniu, kiedy Pablo Neruda stanął na hiszpańskiej ziemi po raz pierwszy od wojny domowej, korzystając z krótkiego postoju statku, którym wypłynął w spokojny rejs do Valparaiso. Spędził z nami całe przedpołudnie, polując po antykwariatach na grubego zwierzka, i w "Porterze" kupił jakąś starą i poszarzałą, pozbawioną okładek książkę, za którą zapłacił kwotę równoważną pewnie jego dwumiesięcznej pensji konsula w Rangunie. Poruszał się między ludźmi jak kulawy słoń,

okazując dziecięcą ciekawość wobec wewnętrznych mechanizmów każdej rzeczy, bo świat wydawał mu się ogromną zabawką wprawianą w ruch pociągnięciem sznurka, dzięki czemu wymyślano życie.

Nie znałem nikogo, kto by bardziej odpowiadał naszemu wizerunkowi renesansowego papieża: obżartucha i konesera. Nawet wbrew własnej woli to on zawsze pełnił rolę gospodarza przy stole. Matilde, jego żona, zakładała mu śliniak, który bardziej pasował do zakładu fryzjerskiego niż do sali restauracyjnej, ale był to jedyny sposób zapobiegający błotnej kąpeli w sosach. Ów dzień w "Carvalleiras" był typowy. Neruda zjadł trzy całe langusty,

ćwiartując je z maestrią godną chirurga, nieustannie zarazem pożerając wzrokiem zawartość talerzy pozostałych współbiesiadników, kosztując po trochu wszystkiego

z każdego talerza i tak się tym delectując, iż łakomstwo natychmiast się udzielało: małże z Galicji, pąkle z Morza

Kantabryjskiego, wielkie krewetki z Alicante, espartenyas z Costa Brava. Podczas jedzenia, jak Francuzi, mówił

jedynie o innych kulinarnych delicjach, a szczególnie

o prehistorycznych owocach morza z Chile, które zachowywał w sercu. Nagle przerwał jedzenie, nastawił swoje

homarze czułki i powiedział mi cichutko:

- Ktoś za mną stoi i nie spuszcza ze mnie oka.

Spojrzałem mu przez ramię i rzeczywiście. Za jego plecami, trzy stoliki dalej, kobieta w staromodnym, filcowym kapeluszu i fioletowym szaliku powoli przeżuwała

z oczami śmiało utkwionymi w Nerudzie. Natychmiast ją rozpoznałem. Postarzała się, przytyła, ale to była ona, z wężowym pierścionkiem na wskazującym palcu.

Płynęła z Neapolu tym samym statkiem co państwo

Neruda, ale nie spotkali się na pokładzie. Zaprosiliśmy ją

do naszego stołu na kawę i chcąc zadziwić poetę, nakłoniłem ją, by opowiedziała o swoich snach. Nie wyraził najmniejszego zainteresowania tematem, już na początku zastrzegł się bowiem, że nie wierzy w żadne przepowiednie na podstawie snów.

- Tylko poezja jest jasnowidząca - powiedział.

Po obiedzie, w czasie nieodzownego spaceru po Ramblas, specjalnie zostałem z tyłu z Frau Fridą, by poza zasięgiem niepowołanych uszu odświeżyć wspólne wspomnienia. Opowiedziała mi, że sprzedała swoje austriackie

posiadłości i zamieszkała w Porto, w Portugalii, w domu

będącym według jej opisu fałszywym zamkiem na wzgórzu, z którego widać było cały ocean aż po Amerykę. Choć

nawet o tym nie wspomniała, z jej słów jasno wynikało,

że od snu do snu w końcu przejęła całą fortunę swych

nieocenionych pryncypałów z Wiednia. Nie zdziwiło mnie

to jednak, bo zawsze sądziłem, że jej sny są tylko cwany sposobem na życie. I powiedziałem jej to.

Zaniosła się swym zaraźliwym śmiechem. "Jesteś jak zawsze bezczelny", odrzekła mi. I nie powiedziała nic więcej, bo reszta grupy zatrzymała się, by poczekać, aż Neruda dogada się w chilijskim żargonie z papugami z Rambli Ptaków. Kiedy wróciliśmy do rozmowy, Frau Frida zmieniła temat.

- A tak przy okazji - powiedziała. - Możesz już wrócić do Wiednia.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że od naszego poznania minęło już trzynaście lat.

- Nawet gdyby twoje sny były nieprawdziwe, nigdy tam nie wrócę - odparłem. - Na wszelki wypadek.

O trzeciej pożegnaliśmy się z nią, by odprowadzić Nerudę na jego świętą sjęstę. Przespał ją w naszym domu po przeróżnych, uroczystych przygotowaniach, które w pewnym stopniu przypominały japoński rytuał parzenia herbaty. Trzeba było otworzyć jedne okna, a inne zamknąć, by uzyskać odpowiednią temperaturę, właściwy rodzaj światła z właściwego kierunku i absolutną ciszę.

Neruda zasnął natychmiast i obudził się po dziesięciu minutach, jak to robią dzieci, w najmniej przez nas spodziewanym momencie. Pojawił się w pokoju wypoczęty, z monogramem z poduszki odgniecionym na policzku.

- Śniła mi się ta kobieta, co śni - powiedział.

Matilde chciała, żeby jej opowiedział sen.

- Śniło mi się, że się jej śniłem - powiedział.

- To z Borgesa - stwierdziłem.

Popatrzył na mnie rozczarowany.

- Już to napisał?

- Nawet jeśli nie napisał, to kiedyś napisze - odpowiedziałem mu. - To będzie jeden z jego labiryntów.

Natychmiast po wejściu na pokład, o szóstej po południu, Neruda pożegnał się z nami, usiadł przy odosobnionym stoliku i zaczął pisać potoczyste strofy wiecznym piórem z zielonym atramentem, którym zwykle rysował kwiaty, ryby i ptaki na dedykacjach do swoich książek.

Po pierwszym sygnale syren okrętowych ruszyliśmy na poszukiwanie Frau Fridy i kiedy już zamierzaliśmy odejść bez pożegnania, odnaleźliśmy ją wreszcie na pokładzie turystycznym.

- Śnił mi się poeta - powiedziała nam.

Poprosiłem, zdziwiony, by opowiedziała mi sen.

- Śniło mi się, że mu się śnię - powiedziała, a zdumienie na mojej twarzy zmyliło ją. - Co chcesz? Czasem, wśród tylu snów, zapłacze się taki, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistym życiem.

Nigdy jej więcej nie spotkałem ani nie zastanawiałem

się nad jej losem do czasu, gdy dotarła do mnie informacja o pierścionku w kształcie węża, należącym do kobiety,

która zginęła w katastrofie przy hotelu "RMera". Nie oparłem się więc pokusie, by kilka miesięcy później nie zadać

paru pytań ambasadorowi Portugalii, którego przypadkowo spotkałem na jakimś przyjęciu dyplomatycznym.

Ambasador opowiedział mi o niej z ogromnym entuzjazmem

i wielkim podziwem. "Nawet pan sobie nie wyobraża, jaka

to była niezwykła kobieta - powiedział mi. - Nie oparłby

się pan pokusie, żeby nie napisać o niej opowiadania".

I kontynuował w tym tonie, przytaczając zaskakujące

szczegóły, ale nie naprowadzając mnie na najmniejszy

choćby ślad, po którym mógłbym dojść do ostatecznych

wniosków.

- No dobrze - zapytałem wreszcie - ale co ona konkretnie robiła?

- Nic - odpowiedział z pewnym rozczarowaniem. - Śniła.

Marzec 1980

"Chciałam tylko skorzystać z telefonu"

Jadąc wieczorem do Barcelony wynajętym samochodem w trakcie jednej z tych typowych, wiosennych ulew,

Maria de la Luz Cervantes miała awarię na pustkowiu

Monegros. Ta ładna, poważna, dwudziestosiemioletnia

Meksykanka cieszyła się przed paroma laty pewnym rozgłosem jako aktorka estradowa. Była żoną występującego

na imprezach rodzinnych prestidigitatora, z którym owego dnia miała się spotkać po odwiedzeniu swych

krewnych w Saragossie. Po godzinie rozpaczliwych prób zatrzymania przejeżdżających szybko w strugach deszczu

samochodów i ciężarówek ulitował się wreszcie nad nią kierowca rozpadającego się autokaru. Uprowadził ją jednak, że nie jedzie zbyt daleko.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Maria. - Potrzebuję tylko telefonu.

Było to zgodne z prawdą, a potrzebowała telefonu, by zawiadomić męża, że nie dojedzie przed siódmą wieczorem. W pensjonarskim paltociku i w plażowych pantofelkach w środku kwietnia wyglądała jak przemoczony wróbelek i była tak skołowana niespodziewaną awarią, że

zapomniała zabrać ze sobą kluczyki do samochodu. Siedząca obok kierowcy kobieta o wyglądzie sierżanta, ale miła w obejściu, podała jej ręcznik i koc, i zrobiła miejsce obok siebie. Maria wytarła się naprędce, usiadła i owinąwszy się kocem, chciała zapalić papierosa, ale zapalki były mokre. Sąsiadka podała Marii ogień, prosząc zarazem o poczęstowanie jej jednym z niewielu już zresztą suchych papierosów. Dopiero gdy zapaliły, Maria uległa pokusie, by dać się ponieść złości, a jej głos zagłuszał szum ulewy i klekotanie autokaru. Kobieta uciszyła ją, przyłożywszy palec do ust.

- Obudzisz je - szepnęła.

Maria spojrzała przez ramię i zobaczyła, że miejsca w autokarze zajęte były przez kobiety w nieokreślonym wieku i przeróżnego pochodzenia, które spały przykryte identycznymi jak jej pled kocami. Ich spokój tak dalece udzielił się Marii, że skuliła się na siedzeniu i poddała szumowi deszczu. Kiedy się obudziła, była już późna noc, a ulewa przemieniła się w lodowatą wilgoć. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak długo spała i gdzie się znajduje.

Sąsiadka zaczęła się czujnie rozglądać.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Maria.

- Już jesteśmy na miejscu - odpowiedziała kobieta.

Autokar wjeżdżał na wybrukowany dziedziniec olbrzymiego i ponurego budynku, który wyglądał jak stary klasztor w lesie gigantycznych drzew. Ledwie widoczne w nikłym świetle jedynej oświetlającej dziedziniec latarni pasażerki nie ruszały się z miejsc, dopóki kobieta o wyglądzie sierżanta nie kazała im wsiąść, wydając komendy krótkie i proste, jak dla przedszkolaków.

Wszystkie okazały się kobietami leciwymi i poruszały się w półmroku dziedzińca tak niemrawo, iż wyglądały jak senne widziadła. Maria, która ostatnia opuściła autokar, pomyślała, że to zakonnice. Ale natychmiast odrzuciła tę myśl,

ujrzawszy grupę jednakowo ubranych kobiet, które przejmowały starszki przy drzwiach autobusu, okrywszy im

kocami głowy, by nie zmokły, i lekko poklepując po plecach, w milczeniu ponaglały je, by ustawiały się gęsiego.

Zegnając się z sąsiadką, Maria chciała oddać koc, ale ta odparła, żeby okryła sobie głowę, bo zmoknie przechodząc przez dziedziniec, a koc może oddać w portierni.

- Jest tam telefon? - zapytała Maria.

- Oczywiście - odpowiedziała kobieta. - Tam pani dokładnie powiedzą.

Poprosiła o jeszcze jednego papierosa, Maria oddała jej całą przemoczoną paczkę. "Po drodze wyschną", dodała.

Kobieta, stojąc już na stopniach autobusu, pomachała jej na pożegnanie i niemal krzycząc, zawołała: "Powodzenia". Autobus ruszył, nie dając jej czasu na nic więcej.

Maria ruszyła biegiem ku wejściu do budynku. Jedna ze strażniczek spróbowała ją zatrzymać energicznym klepieniem po plecach, nie widząc jednak żadnej reakcji, natychmiast wrzasnęła: "Stać mi tu!". Maria wyrzwała spod koca i napotkała lodowate oczy i groźnie wysunięty palec nakazujący jej powrót do szeregu. Posłusznie zawróciła.

Znalazszy się już w sieni budynku oddzieliła się od grupy i zapytała portiera, gdzie jest telefon. Jedna ze strażniczek,

poklepując ją po plecach, zawróciła ją do szeregu, przemawiając do niej łagodnie:

- Tędy, ślicznotko, tędy, tam jest telefon.

Maria podążyła wraz z innymi kobietami mrocznym

korytarzem, by po jakimś czasie dotrzeć do zbiorowej sypialni, gdzie strażniczki odebrały im koce i zaczęły przydzielać łóżka. Wyróżniająca się spośród innych strażniczek kobieta, która Marii wydała się bardziej ludzka

i wyższa stopniem, przeszła wzdłuż szeregu, porównując nazwiska z listy z tymi wypisanymi na kartonikach, które nowo przybyłe miały przyszyte do kaftanów. Stanąwszy przy Marii zdziwiła się, że ta nie posiada identyfikatora.

- Ja chciałam tylko skorzystać z telefonu - odpowiedziała Maria.

Zaczęła, jak mogła najszybciej, wyjaśniać, że jej samochód miał awarię. Mąż, który jest iluzjonistą występującym na domowych przyjęciach, czeka na nią w Barcelonie,

bo do północy muszą zrealizować trzy zlecenia i chciałyby

go uprzedzić, że nie zdąży przyjechać, żeby mu towarzyszyć. Zbliża się siódma. On powinien wyjść z domu za dziesięć minut, a ona obawia się, że przez jej spóźnienie będzie musiał wszystko odwołać. Strażniczka wydawała się słuchać z uwagą.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

Maria, odetchnąwszy z ulgą, podała jej swoje imię i nazwisko, ale kobieta nie znalazła jej w spisie, mimo iż przejrzała listę kilkakrotnie. Zaniepokojona spytała o to inną strażniczkę, ta zaś, nie wiedząc co odpowiedzieć, wzruszyła ramionami.

- Bo ja chciałabym tylko skorzystać z telefonu - powiedziała Maria.

- Dobrze, dobrze, kochanie - odpowiedziała przełożona strażniczek, prowadząc ją w stronę łóżka z troskliwością zbyt przesadną, by mogła być prawdziwa - jeśli będziesz

grzeczna, to będziesz mogła porozmawiać sobie przez telefon z kim tylko zechcesz, ale nie teraz. Jutro.

Wówczas dotarło do umysłu Marii coś, co pozwoliło jej zrozumieć, dlaczego kobiety z autobusu wloką się, jakby

chodziły po dnie akwarium. Były odurzone środkami

uspokajającymi, a ten mroczny pałac o grubych, kamiennych murach i lodowatych schodach był w rzeczywistości

zakładem dla psychicznie chorych kobiet. Wybiegła zatrwożona z sypialni, ale tuż przed bramą olbrzymia strażniczka w kombinezonie mechanika samochodowego złapała ją, jednym ruchem przewróciła i mistrzowskim

chwytym unieruchomiła na podłodze. Maria spojrzała na nią z ukosa zmartwiała z przerażenia.

- Na miłość boską - jęknęła. - Przysięgam na moją zmarłą matkę, że chciałam tylko skorzystać z telefonu.

Ale starczyło jej spojrzeć w twarz pogromczyni, żeby

zrozumieć, że nie ma co błagać tej furiatki w kombinezonie, którą ze względu na niezwykłą siłę nazywano Herkulina. Jej specjalnością były trudne przypadki, a dwie

pacjentki nawet zmarły, zaduszone przez nią rękami jak łapy niedźwiedzia polarnego wytresowanego w sztuce

bezwiednego zabijania. Pierwszy wypadek uznano za nieumyślne spowodowanie śmierci. Drugi wypadek nie był

już taki oczywisty, Herkulina została więc upomniana

i ostrzeżona, że następnym razem wszystko zostanie dokładnie sprawdzone. Wersja obiegowa głosiła, że owa zbłąkana owieczka pochodząca z rodu szczyłającego się

wielkim nazwiskiem, miała za sobą dość mętną karierę,

pełną dziwnych, nieszczęśliwych wypadków w wielu hiszpańskich zakładach dla obłąkanych.

Tej pierwszej nocy trzeba było Marii dać zastrzyk ze

środkiem nasennym. Kiedy obudziła się przed świtem

spragniona papierosa, przywiązana była do prętów łóżka za nadgarstki i kostki. Na jej krzyki nikt się nie zjawił. Rano, a więc w tym samym czasie, gdy mąż nie mógł jej w żaden sposób odnaleźć w Barcelonie, trzeba było Marię przenieść do ambulatorium, natknięto się bowiem na nią, jak leżała bez zmysłów w trzęsawisku własnych nieszczęść.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim odzyskała przytomność. Ale świat był już wówczas spokojną zatoczką miłości, a przy łóżku Marii stał potężny starzec o niedźwiedzich ruchach i kojącym uśmiechu, który dwoma mistrzowskimi fortelami przywrócił jej chęć do życia. Był to dyrektor sanatorium.

Maria poprosiła go o papierosa, zanim przystąpiła do wyjaśnień, nawet się z nim nie witając. Podał jej już zapalonego i podarował jej prawie pełną paczkę. Maria nie mogła powstrzymać łez.

- Tak, tak, póki możesz, płacz, ile dusza zapagnie  
- powiedział jej lekarz uspokajającym głosem. - Nie ma lepszego lekarstwa od łez.

Bez najmniejszych oporów Maria dała upust swoim żalom jak nigdy w nużących chwilach po byle jakiej miłości

z przygodnymi kochankami. Lekarz wysłuchał jej, głaszcząc po włosach, poprawiając poduszkę, żeby się jej lepiej

oddychało, prowadząc przez labirynt jej własnej niepewności z mądrością i łagodnością, o jakich nigdy nawet

marzyć by nie śmiała. Po raz pierwszy w życiu zdarzył się jej cud zrozumienia przez mężczyznę, który słuchał jej całą duszą, nie licząc w zamian na przespanie się z nią. Po długiej godzinie, wypłakawszy wszystkie łzy, odważyła się poprosić, by pozwolił jej na telefoniczną rozmowę z mężem.

Lekarz wstał w całym majestacie swej szlachetności i rangi. "Jeszcze nie, królowo - odparł, poklepując ją po policzku z czułością, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała.

- Wszystko we właściwym czasie". Stojąc już w drzwiach przesłał jej biskupie błogosławieństwo i zniknął na zawsze.  
- Zaufaj mi - powiedział.

Tego samego popołudnia Maria została zarejestrowana w zakładzie pod kolejnym numerem, z ogólnikowo brzmiącymi uwagami odnośnie do jej tajemniczego przybycia

i wątpliwościami co do jej tożsamości. Na marginesie dopisana została ręką dyrektora adnotacja: nadpobudliwa.

Zgodnie z przewidywaniami Marii mąż ostatecznie udał się na występy sam, opuszczając skromne mieszkanie w dzielnicy Horta z półgodzinnym opóźnieniem.

W ciągu ich niemal dwuletniego, wolnego i harmonijnego związku po raz pierwszy zdarzyło jej się nie wrócić o umówionej porze, uznał więc, że przyczyną opóźnienia stały się katastrofalne ulewy, które pod koniec tygodnia dotknęły całą okolicę. Przed wyjściem przyczepił do drzwi kartkę z rozkładem swoich występów tej nocy.

Na pierwszym kinderbalu, gdzie wszystkie dzieciaki przebrane były za kangury, zrezygnował ze swego popisowego numeru z niewidzialnymi rybkami, bo nie mógł go

wykonać bez pomocy Marii. Drugie zlecenie pochodziło od dziewięćdziesięcioletniej, unieruchomionej w wózku inwalidzkim staruszki, która chlubiła się tym, że każde z jej ostatnich trzydziestu urodzin uświetniały występy innego iluzjonisty. Był tak zdenerwowany spóźnieniem



Marii, że nie był w stanie skupić się nawet przy najprostszych sztuczkach. Trzecim występem, jak każdej nocy, był program estradowy w kawiarni na Ramblas, gdzie odbębnił swoje numery dla grupy francuskich turystów, którzy nie mogli uwierzyć własnym oczom, bo i tak za nic nie chcieli wierzyć w magię. Po każdym występie dzwonił do domu, nie łudząc się zbyt, że Maria podniesie słuchawkę. Gdy dzwonił po raz trzeci, nie mógł już powstrzymać dręczących go obaw, że stało się coś złego. Wracając do domu w furgonetce przystosowanej do występów na świeżym powietrzu, zauważył przepych wiosny w palmach na Paseo de Gracia i wstrząsnęła nim ponura myśl o tym, jak mogłoby wyglądać miasto bez Marii. Stracił resztki nadziei, kiedy zobaczył własną kartkę wciąż wiszącą na drzwiach. Był tak rozdrażniony, że zapomniał nakarmić kota. Dopiero teraz, w trakcie pisania, uświadomiłem sobie, że nigdy nie wiedziałem, jak się nazywa naprawdę, bo w Barcelonie znaleźmy go pod jego artystycznym pseudonimem: Saturno Mag. Dziwny miał charakter i cierpiał na nieuleczalny brak towarzyskiej oglądy, co swoim taktem i wdziękiem nadrabiała Maria. To ona prowadziła go za rękę przez ten świat wielkich tajemnic, gdzie nikomu do głowy by nie przyszło dzwonić po północy po wszystkich znajomych i pytać o swoją żonę. A Saturno tak właśnie zrobił - i to po paru zaledwie dniach pobytu w Barcelonie - i pragnął o tym jak najszybciej zapomnieć. Tej nocy wolał więc ograniczyć się do rozmowy z Saragossą, gdzie wyrwana ze snu babina odpowiedziała mu z absolutnym spokojem, że Maria wyjechała po obiedzie. Dopiero o świcie zdołał zasnąć, i to na niecałą godzinę. W grząskim śnie zobaczył Marię w postrzępionej i poplamionej krwią sukni ślubnej. Obudził się przerażony pewnością, że znów go rzuciła, tym razem już na zawsze, zostawiając go samego w ogromnym świecie bez niej. W ciągu ostatnich pięciu lat porzuciła go trzykrotnie, za każdym razem dla innego mężczyzny, wliczając w to samego Saturna. Opuściła go w stolicy Meksyku, gdy po sześciu miesiącach znajomości, nieprzytomni ze szczęścia, przeżywali szaloną miłość w pokoiku na osiedlu Anzures. Zniknęła z domu rano, po wyjątkowo nieprzyzwoitej nocy. Zostawiła wszystko, co do niej należało, nawet ślubną obrączkę z poprzedniego małżeństwa i list, w którym wyznawała, że nie jest w stanie znieść udręki tej zwariowanej miłości. Saturno pomyślał, że wróciła do pierwszego męża, szkolnego kolegi, za którego, nie mając jeszcze szesnastu lat, wyszła za mąż w tajemnicy przed rodziną i którego rzuciła dla innego mężczyzny po dwóch przeżytych bez miłości latach. Ale nie, wróciła do rodziców i tam też udał się Saturno, by odzyskać ją za wszelką cenę. Błagał Marię, nie stawiając żadnych warunków, przyrzekał więcej, niż mógł dać, ale natrafił na mur nieodwołalnej decyzji. "Jest miłość krótka i miłość długa - powiedziała mu i na koniec oznajmiła bezlitośnie: - Ta miłość była krótka". Uległ wobec takiej bezwzględności. A mimo to, gdy wrócił o świcie we Wszystkich Świętych do osieroconego przez niemal rok zapomnienia pokoju, ujrzał śpiącą na sofie Marię w wianku z białych kwiatów pomarańczy i w długim, tiulowym trenie dziewiczej panny młodej. Wyznała mu prawdę. Kolejny narzeczony, bezdzietny wdowiec, dostatnio żyjący i absolutnie zdecydowany na ponowne złączenie się świętym węzłem małżeńskim na zawsze, zostawił ją w ślubnej sukni i czekającą na niego

przed ołtarzem. Rodzice Marii postanowili jednak, mimo wszystko, wesele wyprawić. Jak zabawa, to zabawa. Tańczyła do upadłego, śpiewała z mańachis, piła bez umiaru, by o północy, w ponurym stanie spóźnionych wyrzutów sumienia ruszyć do Saturna.

Nie było go w domu, ale klucze leżały tam gdzie zawsze, w doniczce stojącej na korytarzu. Tym razem to Maria poddała się, nie stawiając żadnych warunków.

"A teraz na jak długo?", zapytał. Odpowiedziała mu słowami z wiersza Viniciusa de Moraes: "Miłość jest wieczna, dopóki trwa". Dwa lata później wciąż była wieczna.

Wyglądało na to, że Maria wydorosłała. Zrezygnowała z marzeń o karierze aktorskiej i całkowicie poświęciła się Saturnowi, tak w pracy, jak i w łóżku. Pod koniec ubiegłego roku, wracając z kongresu iluzjonistów w Perpignan,

zajechali do Barcelony. Tak im się tu spodobało, że zostali przez osiem następnych miesięcy, a i powodziło im się na tyle dobrze, że w bardzo katalońskiej dzielnicy Horta kupili mieszkanie, hałaśliwe i bez dozorczy, za to tak duże, że pomieściłoby jeszcze piątkę dzieciaków. To była pełnia szczęścia, aż do owego piątku, kiedy Maria wynajęła samochód i pojechała do Saragossy odwiedzić krewnych, przyrzekłszy wrócić w poniedziałek o siódmej wieczorem. Do następnego czwartku rano nie dała jeszcze znaku życia.

W poniedziałek następnego tygodnia towarzystwo ubezpieczeniowe zadzwoniło do domu w sprawie wynajętego

samochoду, pytając zarazem o Marię. "Nic o niej nie wiem - powiedział Saturno. - Szukajcie jej w Saragossie". Odłożył słuchawkę. Po tygodniu zjawił się w domu policjant

z drogówki z informacją, że odnaleziono wrak samochodu na bocznej drodze nieopodal Kadyksu, dziewięćset kilometrów od miejsca, w którym pozostawiła go Maria.

Funkcjonariusz chciał dowiedzieć się, czy Maria wie coś więcej o kradzieży. Saturno karmił kota i ledwo rzucił okiem na policjanta, by powiedzieć mu bez ogródek, żeby nie tracili niepotrzebnie czasu, bo jego żona uciekła z domu, a on nie wie z kim i dokąd. Mówił z takim przekonaniem, że policjant poczuł się nieswojo i przeprosił za najście. Sprawę

uznano za zamkniętą.

Podejrzenie, że Maria może ponownie z kimś odejść, zrodziło się w duszy Saturna podczas świąt wielkanocnych, które spędzali w Cadaques, zaproszeni przez Rosę

Regas na przejażdżkę jachtem. Siedzieli w zatłoczonym, obskurnym barze "Maritim", uczęszczanym przez gauche divine u schyłku frankizmu, zajmując żelazne krzesła wokół żelaznego stolika, przy którym mieściło się ledwie sześć osób, a ich było ze dwadzieścioro. Po wypaleniu drugiej w tym dniu paczki papierosów Marii skończyły się zapalki. Szczupłe, pokryte samczym owłosieniem ramię z bransoletką z rzymskiego brązu przebiło się przez

tłum przy stoliku i podało jej ogień. Podziękowała, nie patrząc nawet komu, ale Saturno Mag zobaczył. Był to kościsty, bladej jak śmierć gołowąs, z długim, piekielnie czarnym końskim ogonem sięgającym mu do pasa. Choć szyby ledwie wytrzymały napór wiosennej tramontany, on ubrany był w rodzaj wyjściowej piżamy z surowej bawełny, na nogach zaś miał zwykle wiejskie łapcie.

Spotkali go ponownie dopiero pod koniec jesieni w jednym z barów La Barcelonety specjalizującym się w owocach morza. Był w tym samym perkalowym stroju, z długim warkoczem zamiast końskiego ogona.

Pozdrowił ich

jak starych przyjaciół, a z czułości, z jaką pocałował Marię, i z czułości, z jaką odwzajemniła pocałunek, Saturno

natychmiast wysnuł podejrzenie, że pewnie spotykają się po kryjomu. W parę dni później natknął się przypadkiem na nieznaną sobie imię i numer telefonu, zapisane przez Marię w domowym notesiku, i okrutny przebłysk zazdrości objawił mu, kogo dotyczą. Towarzyskie walory nieproszonego gościa ostatecznie dobiły Saturna: dwadzieścia dwa lata, jedynek z bogatej rodziny, dekorator witryn najmodniejszych sklepów cieszący się dość prawdopodobną sławą biseksa i zasłużonym prestiżem etatowego pocieszyciela mężatek. Ale nerwy puściły Saturnowi dopiero owej nocy, kiedy Maria nie wróciła do domu.

Wówczas

zaczął wydzwaniać do chłopaka codziennie, najpierw co dwie, trzy godziny, od szóstej rano do świtu dnia następnego, a później zawsze, gdy tylko miał telefon pod ręką.

To, że nikt nie odbierał, jedynie powiększało jego mękę.

Czwartego dnia telefon odebrała Andaluzyjka, która przychodziła sprzątać mieszkanie. "Panicza nie ma", odpowiedziała z niepewnością, co jeszcze bardziej wzmogło

szaleństwo Saturna. Nie mógł oprzeć się pokusie, żeby zapytać, czy przypadkiem nie zastał panienki Marii.

- Tutaj nie mieszka żadna Maria - odpowiedziała mu kobieta. - Panicz jest kawalerem.

- To wiem - odparł. - Nie mieszka, ale czasami przychodzi, prawda?

Sprzątaczką nie wytrzymała.

- A kto, kurwa, mówi?

Saturno odłożył słuchawkę. Przeczącą odpowiedź kobiety odebrał jako kolejne potwierdzenie czegoś, co przestało już być dla niego wyłącznie podejrzeniem, przeradzając się w piekącą pewność. Stracił panowanie nad

sobą. Przez kolejne dni wydzwaniał do wszystkich znajomych w Barcelonie w porządku alfabetycznym. Nikt nie

był w stanie udzielić mu choćby najbardziej skąpej informacji, każda rozmowa telefoniczna pogłębiała jednak jego cierpienie, tym bardziej że obłądana zazdrość Saturna

stała się słynna pomiędzy zatwardziałymi nocnymi markami z gauche divine, którzy odpowiadali mu głupimi żartami, żeby cierpiał jeszcze bardziej. Dopiero wtedy

zrozumiał, jak bardzo jest osamotniony w tym pięknym,

lunatycznym i nieprzeniknionym mieście, gdzie nigdy

nie zazna szczęścia. Rano, gdy nakarmił już kota, zacisnął serce jak mógł najmocniej, żeby nie umrzeć, i

postanowił ostatecznie zapomnieć o Marii.

Mimo upływu dwóch miesięcy Maria nie była w stanie

przyzwyczaić się do szpitalnego życia. Wegetowała, dziobiąc

ledwie więzienną strawę z misek przytwierdzonych łańcuchami do stołów zbitych z desek, tępo gapiąc się na litografię generała Francisco Franco, wiszącą na honorowym miejscu ponurego średniowiecznego refektarza.

Początkowo

opierała się klasztornemu porządkowi dnia z jego idiotyczną rutyną jutrzni, psalmów i innych religijnych zajęć, które

zajmowały większą część czasu. Odmawiała gry w piłkę na

boisku i pracy w warsztacie przy produkcji sztucznych

kwiatów, wytwarzanych z obłądaną gorliwością przez grupę

pensjonariuszek. Ale począwszy od trzeciego tygodnia zaczęła powoli przyzwyczajać się do życia w odosobnieniu.

Ostatecznie, jak twierdzili lekarze, na początku wszystkie

pacjentki zachowywały się identycznie, by wcześniej czy później włączać się do życia społeczności.

Problem braku papierosów, rozwiązywany w pierwszych dniach przez jedną ze strażniczek, odprzedającą je po niebotycznych cenach, zaczął znowu doskwierać Marii, gdy skończyły jej się te i tak niewielkie pieniądze, jakie miała przy sobie. Później musiała się zadowolić skrętami z papieru gazetowego i niedopałków wyciąganych ze śmietnika przez niektóre pacjentki, palenie przeistoczyło się bowiem dla Marii w taką samą obsesję, jak telefon. Tych kilka peset, które później zarobiła, robiąc sztuczne kwiaty, przyniosło tylko chwilową ulgę.

Najcięższa do zniesienia była nocna samotność. Wiele pacjentek leżało w mroku z otwartymi oczami, jak Maria, nie mając odwagi zrobić czegokolwiek, bo strażniczka z nocnej zmiany również czuwała przy drzwiach zamkniętych na łańcuch i kłódkę. Pewnej nocy jednak dręczona niepokojem Maria spytała szeptem na tyle głośnym, by usłyszała ją kobieta z sąsiedniego łóżka:

- Gdzie jesteśmy?

Poważny i przytomny głos sąsiadki odparł:

- W piekielnych otchłaniach.

- Mówią, że to ziemia Maurów - dodał, niosąc się po całej sali, odległy głos. - I chyba tak jest, bo latem, gdy świeci księżyc, słychać jak psy szczekają na morze.

Rozległ się chrzęst ogniów łańcucha niczym zgrzyt spuszczonej kotwicy galeonu i otworzyły się drzwi.

Strażniczka, jedyna, wydawało się, żywa istota w ciszy, jaka nagle

zapadła, zaczęła przechadzać się wzdłuż sypialni. Maria skuliła się przerażona i tylko ona wiedziała dlaczego.

Już w pierwszym tygodniu pobytu Marii w zakładzie nocna strażniczka zaproponowała jej bezceremonialnie, żeby przespała się z nią w pokoju dla straży. Z początku propozycja miała ton konkretnej, handlowej oferty: miłosne usługi za papierosy, czekoladki, za cokolwiek.

"Będziesz miała wszystko - mówiła jej, drżąc. - Będziesz tu królową". Wobec odmowy Marii strażniczka zmieniła metodę. Podrzucała jej miłosne liściki pod poduszkę, do kieszonek fartucha, w najmniej oczekiwane miejsca. Były to rozdzierające prośby zdolne wzruszyć kamień. Od ponad miesiąca wydawało się, że już pogodziła się z porażką, kiedy nastąpiło owo zajście w sypialni.

Gdy strażniczka upewniła się, że wszystkie pacjentki śpią, podeszła do łóżka Marii i zaczęła szeptem wyznawać jej na ucho najprzeróżniejsze czułe świństwa, obcałowując jej twarz, napiętą z przerażenia szyję, zeszywniałe ramiona, omdlałe nogi. Wreszcie, być może przekonana, że

paraliż Marii wynika nie ze strachu, lecz z przyzwolenia, odważyła się posunąć jeszcze dalej. W tej samej chwili Maria uderzyła ją na odlew tak mocno, że strażniczkę aż cisnęło na sąsiednie łóżko. Podniosła się, wściekła, pośród wrzasków przerażonych kobiet.

- Ty kurewski pomiole - wrzasnęła. - Będziemy razem gnić w tym chlewie, dopóki nie oszalejesz z miłości do mnie.

Lato nadeszło znienacka w pierwszą niedzielę czerwca i administracja zakładu zmuszona była podjąć nadzwyczajne środki zaradcze, bo duszące się z gorąca pacjentki

zaczęły podczas mszy zdzierać z siebie zakonne habity z etaminy. Maria z rozbawieniem przyglądała się widowisku, jakie tworzyły nagie kobiety, za którymi strażniczki

goniły po nawach jak ślepe babki. Usiłując uchronić się od padających w rozgardiaszu ciosów na osłep, nie wiadomo jak znalazła się sama w pustym gabinecie, w

którym nieustannie rozbrzmiewał błagalny dzwonek telefonu. Maria podniosła machinalnie słuchawkę i usłyszała odległy i chichotliwy głos zabawiający się w zegarynkę:

- Godzina czterdziesta piąta dziewięćdziesiąt dwie minuty i sto siedem sekund.
- Głupi gnojek - powiedziała Maria.

Rozbawiona, odłożyła słuchawkę. Już miała wyjść z pokoju, kiedy uświadomiła sobie, że przepuszcza niepowtarzalną okazję. Wykręciła sześć cyfr, tak spieszenie i w takim napięciu, że nawet nie była pewna, czy rzeczywiście jest to numer jej własnego telefonu. Serce podeszło jej do gardła, usłyszała znajomy sygnał o smutnym i chciwym tonie, jeden, drugi, trzeci, i wreszcie usłyszała głos mężczyzny swego życia w pustym bez niej domu.

- Tak?

Musiała odczekać chwilę, żeby przełknąć zbitą w gardle kulę łez.

- Króliczku, kochanie - westchnęła.

Łzy okazały się silniejsze od niej: po drugiej stronie na chwilę zaległa grobowa cisza i rozogniony zazdrością głos bryzgnął:

- Ty kurwo!

I natychmiast trzasnęła słuchawką. Tej nocy, w ataku szału, Maria zerwała wiszący w refektarzu portret generalissimusa Franco, z całej siły cisnęła nim w oszklone drzwi do ogrodu i padła zakrwawiona. Starczyło jej jeszcze wściekłości, żeby rzucić się z pięściami na strażników na próżno próbujących ją obezwładnić, dopóki nie ujrzała stojącej w drzwiach i przyglądającej się jej ze skrzyżowanymi ramionami Herkulinie. Poddawała się. Mimo to zaciągnięto Marię do pawilonu furiatów i unieruchomiono strumieniem lodowatej wody i wstrzykniętą w nogi terpentyną. Skutecznie unieruchomiona wywołanym w ten sposób stanem zapalnym Maria zrozumiała, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której nie mogłaby zrobić, byleby tylko uciec z tego piekła. Tydzień później, z powrotem przeniesiona do zbiorowej sypialni, wstała, przeszła na palcach przez salę i zapukała do celi nocnej strażniczki. Przekazanie wiadomości mężowi było ceną, jaką Maria kazała zapłacić sobie z góry. Strażniczka przystała na to, ale pod warunkiem, że umowa zostanie zachowana w absolutnej tajemnicy. I bezlitośnie wycelowała w nią palcem.

- Jeśli kiedykolwiek się wyda, zginiesz.

I tak oto Saturno Mag przybył w następną sobotę do zakładu dla obłąkanych w cyrkowej furgonetce specjalnie wyszykowanej dla uczczenia powrotu Marii. Dyrektor osobiście przyjął go w swoim wysprzątanym i sterylnym jak okręt wojenny gabinecie i z ogromną życzliwością poinformował go o stanie zdrowia małżonki. Nikt nie wiedział, jak, skąd i kiedy tu się pojawiła, pierwszą bowiem informacją o jej hospitalizacji była karta chorobowa, której treść sam podyktował po przeprowadzeniu badania. Próba wyjaśnienia podjęta tego samego dnia nie dała żadnego rezultatu. Niezależnie od wszystkiego, dyrektora najbardziej intrygowało, jak Saturno dowiedział się o miejscu pobytu żony. Saturno nie wydał strażniczki.

- Towarzystwo ubezpieczeniowe przekazało mi informację - powiedział.

Dyrektor przytaknął usatysfakcjonowany. "Nie wiem, jak towarzystwa ubezpieczeniowe to robią, że wiedzą

o wszystkim", powiedział. Przejrzał szybko dokumenty, które miał na swoim biurku ascety i stwierdził:

- Jediną rzeczą nie podlegającą dyskusji jest poważny stan zdrowia pańskiej małżonki.

Gotów był udzielić mu zezwolenia na odwiedzin z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności pod warunkiem, że Saturno Mag przyrzeknie mu, iż dla dobra małżonki zastosuje się do jego zaleceń, a w szczególności do tych wszystkich, które odnoszą się do sposobu jej traktowania w celu uniknięcia nawrotu coraz częstszych i coraz bardziej niebezpiecznych napadów furii.

- To dziwne - powiedział Saturno. - Zawsze była dość wybuchowa, ale potrafiła panować nad sobą.

Lekarz przybrał wyraz twarzy mędrca. "Istnieją zaburzenia, które przez wiele lat pozostają utajone, by pewnego dnia nagle wybuchnąć z całą siłą - powiedział.

- W każdym razie żona miała ogromne szczęście, że trafiła tutaj, bo jesteśmy specjalistami w przypadkach wymagających twardej ręki". Na koniec ostrzegł przed dziwną, telefoniczną obsesją Marii.

- Niech pan jej się w niczym nie sprzeciwi - powiedział.

- Może pan być spokojny, doktorze - odpowiedział Saturno nieco rozweselony. - To moja specjalność.

Sala odwiedzin, skrzyżowanie więzienia i konfesjonału, była dawną klasztorną rozmównicą. Ukazaniu się Saturna nie towarzyszył taki wybuch radości, jakiego oboje mogli się spodziewać. Maria czekała na środku sali przy stoliku z wazonikiem bez kwiatów i dwoma krzesłami obok. Rzuciło się w oczy, że jest już przyszykowana do opuszczenia zakładu, ubrana w swój żaloszny paltocik koloru truskawkowego i w obrzydliwych pantoflach, w które litościwie ją

obuto. W kącie, prawie niewidoczna, stała Herkulina ze skrzyżowanymi rękoma. Maria nie poruszyła się na widok wchodzącego męża, a na jej twarzy, z wyraźnymi jeszcze śladami po rozbiciu drzwi do ogrodu, nie pojawiła się najmniejsza oznaka wzruszenia. Pocałowali się machinalnie.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Cieszę się, że w końcu przyjechałeś, króliczku - powiedziała. - Ja tu umierałam.

Nie mieli czasu, żeby usiąść. Tonąc we łzach Maria opowiedziała mu o wszystkich nieszczęściach, okrucieństwie

strażniczek, podłym jedzeniu, ciągnących się bez końca nocach, kiedy ze strachu nie mogła nawet zmrużyć oka.

- Sama nie wiem, ile dni, miesięcy czy lat już tu jestem, ale wiem, że każdy dzień jest gorszy od poprzedniego

- powiedziała i westchnęła z głębi serca. - Wydaje mi się, że nigdy już nie będę taka jak przedtem.

- To już wszystko za tobą - powiedział, głaszcząc ją opuszkami palców po świeżych bliznach na twarzy. - Teraz będę przychodzić w każdą sobotę. A nawet częściej,

jeśli mi dyrektor pozwoli. Zobaczysz, wszystko się dobrze skończy.

Spojrzała mu głęboko w oczy przerażonym wzrokiem.

Saturno odwołał się do swych salonowych sztuczek. Przybierając sztubacki ton wielkich kłamstw, przekazał jej osłodzoną wersję diagnozy dyrektora zakładu. "Jednym słowem - stwierdził na zakończenie - potrzeba ci tylko paru dni, żebyś mogła całkowicie dojść do zdrowia".

Maria pojęła wreszcie całą prawdę.

- Na miłość boską, króliczku! - powiedziała ogłupiała.

- Nie mów mi, że ty też wierzysz, że jestem wariatką!

- Skąd ci to przyszło do głowy! - powiedział, usiłując

się zaśmiać. - Po prostu dla wszystkich będzie lepiej, jak zostaniesz tu jeszcze przez jakiś czas. Oczywiście w lepszych warunkach.

- Przecież mówiłam ci, że ja tu tylko chciałam skorzystać z telefonu - powiedziała Maria.

Nie wiedział, jak zareagować wobec oznak obsesji,

przed którą go ostrzegano. Zerknął na Herkulinę. Strażniczka wykorzystała jego spojrzenie, by pukając w zegarek dać mu do zrozumienia, że czas na odwiedzinę do-

biegł już końca. Maria przechwyciła wymianę spojrzeń,

odwróciła się i ujrzała Herkulinę gotową do nieuniknionego ataku. Wówczas rzuciła się mężowi na szyję, wrzesz-

cząc jak prawdziwa wariatka. Okazując całą miłość, na

jaką go było stać, oderwał ją od siebie i zostawił na łasce

Herkuliny, która zaatakowała ją od tyłu. Nie dając Marii

czasu na obronę wykręciła jej rękę, chwyciła za szyję

i krzyknęła do Saturna Maga.

- Wynoś się pan!

i Saturno uciekł przerażony.

W następną sobotę, gdy wrócił do równowagi po swej

pierwszej wizycie, przyjechał jednak ponownie do zakładu z kotem ubranym tak jak on sam: w

czerwono-żółty

trykot wielkiego Leotarda, w cylinder i w pelerynę, tak

obszerną jakby miała służyć do latania. Wjechał w swej

odpustowej furgonetce na dziedziniec klasztoru i tam wystąpił z cudownym, prawie trzygodzinnym

przedstawieniem, które pacjentki oglądały z balkonów, krzycząc

i klaszcząc w najmniej stosownych momentach. Wyległy

wszystkie, prócz Marii, która nie tylko odmówiła spotkania się z mężem, ale nawet oglądania go z balkonu.

Saturno poczuł się zraniony do żywego.

- To typowa reakcja - pocieszył go dyrektor. - Przejdzie jej.

Ale nigdy jej nie przeszło. Po wielokrotnych próbach

widzenia się z Marią, Saturno zrobił, co było w ludzkiej

mocy, żeby przynajmniej odbierała jego listy, ale na próżno. Czterokrotnie odsyłała mu bez słowa nieotwarte listy.

Saturno przestał nalegać, choć nadal zostawiał w portierni zakładu kolejne paczki papierosów, nie mając

żadnej

pewności, czy trafiają do Marii, aż wreszcie, pokonany

przez samo życie, poddał się ostatecznie.

I tyle o nim słyszano, poza tym, że ponownie ożenił się

i wrócił do swego kraju. Przed wyjazdem z Barcelony zostawił wygłodniałego kota przelotnej narzeczonej,

która

zobowiązała się również zawozić Marii papierosy. Ale i ta

dziewczyna zniknęła. Rosa Regas pamięta, że owszem,

spotkała ją w domu towarowym "El Corte Ingles" ze dwanaście lat temu, z ogoloną głową i w pomarańczowej

szacie

jakiejś wschodniej sekty i jakby tego było mało, w bardzo

zaawansowanej ciąży. Dziewczyna opowiedziała Rosie, że

przez jakiś czas, kiedy tylko mogła, zawoziła Marii papierosy, przy okazji pomagając jej załatwiać rozmaite

bieżące

sprawy, do czasu, kiedy pojechawszy któregoś dnia, zasta-

ła jedynie ruiny szpitala, wyburzonego jako ponura pamiątka tamtych niewdzięcznych lat. Kiedy widziała się

z nią po raz ostatni, Maria, która się nieco roztyła, zrobiła

na niej wrażenie osoby przy zdrowych zmysłach i zadowolonej z klasztornej spokoju. Tego samego dnia

dziewczyna odwoziła Marii kota, bo już skończyły jej się pieniądze,

które Saturno zostawił na jego karmienie.

Kwiecień 1978

Strachy sierpniowe

Choć do Arezzo przybyliśmy tuż przed południem, to ponad dwie godziny straciliśmy, usiłując odnaleźć renesansowy zamek, który wenezuelski pisarz Miguel Otero Silva kupił w tym idyllicznym zakątku Toskanii. Była rozpalona, gwarna niedziela początków sierpnia i niełatwo było na tłocznych od turystów ulicach trafić na osobę, która by cokolwiek wiedziała. Po wielu daremnych próbach wróciliśmy do samochodu, wydostaliśmy się z miasta nieoznakowaną, obsadzoną cyprysami drogą i dopiero napotkana tam stara gęsiarka powiedziała nam, jak jechać do zamku. Żegnając się z nami, zapytała, czy będziemy tam spać, a my odpowiedzieliśmy jej, zgodnie z prawdą, że zamierzamy tylko zjeść obiad.

- Całe szczęście - powiedziała - bo tam straszy.

Ani ja, ani żona nie należymy do tych, którzy wierzą w duchy, i to w biały dzień, skwitowaliśmy więc uśmiechem pobłażania jej wiarę w zabobony. Ale obaj nasi synowie, i ten dziewięcio- i ten siedmioletni, uradowali się niepomiernie na samą myśl, że będą mieli okazję spotkać się z najprawdziwszym duchem.

Miguel Otero Silva, nie dość, że pisarz przedni, to jeszcze cudowny gospodarz i smakosz nad smakosze, czekał na nas z wiekopomną ucztą. Przybywszy później, niż zapowiadaliśmy, nie zdążyliśmy już zwiedzić zamkowych wnętrz przed obiadem, ale sama budowla na pierwszy rzut oka nie miała w sobie nic przerażającego, a najmniejszy choćby niepokój natychmiast zniknął wobec niezwykłego widoku rozciągającego się na całe miasto z ukwieconego tarasu, na którym podano obiad.

Niewiarygodne, że to wzgórze, pokryte wdrapującymi się nań domami, w których mogło się pomieścić zaledwie dziewięćdziesiąt tysięcy osób, wydało tylu nieśmiertelnych geniuszy. Jednak Miguel Otero Silva skonstatował z charakterystycznym dlań poczuciem humoru, że najwybitniejszą postacią Arezzo nie była żadna z owych licznych sław.

- Największym - zawyrokował - był Ludovico.

Ot, tak, zwyczajnie, po imieniu: Ludovico, hojny mecenas sztuk i możny pan wojny, który wzniósł był ów zamek swego nieszczęścia i o którym Miguel rozprawiał podczas całego obiadu. Mówił o jego ogromnej władzy, o jego trudnej miłości i straszliwej śmierci. Opowiedział nam, jak w porywie sercowego oblędu zasztyletował swą damę w łożu, gdzie chwilę przedtem się kochali, a następnie poszczuł na siebie swoje własne krwiożercze psy, które rozszarpały go na strzępy. Zapewnił nas z całą powagą, że z nastaniem północy duch Ludovica krąży w zamkowych ciemnościach, usiłując odnaleźć ukojenie w swym czyścicu miłości.

Zamek był rzeczywiście ogromny i ponury. Ale w blasku dnia, przy pełnym żołądku i z radością w sercu, opowieść Miguela nie mogła być niczym innym jak kolejnym z jego wielu żartów, jakimi zwykł zabawiać gości. Osiemdziesiąt dwa pokoje, które po sjeście zwiedziliśmy bez najmniejszego strachu, zaznały pod rządami swych kolejnych właścicieli wszelkiego rodzaju przeróbek. Miguel całkowicie odrestaurował parter, ponadto kazał zbudować sobie nowoczesną sypialnię z marmurową podłogą, saunę, siłownię, jak również gęsto obsadzony kwiatami taras, na którym zjedliśmy obiad. Pierwsze i najbardziej używane w ubiegłych wiekach piętro było ciągiem pozbawionych jakiegokolwiek charakteru pomieszczeń, z meblami z przeróżnych epok, wstawionymi, jak popadło. Ale na ostatnim piętrze zachował się w stanie nietkniętym pokój, do którego czas nawet nie zajrzał. Była to sypialnia Ludovica. Przeżyliśmy magiczną chwilę. Ujrzelśmy oto łożo z kotarami pokrytymi haftami ze złotych nici i zdobioną cudowną pasmanterią kapę, jeszcze sztywną od zakrzepłej



krwi kochanki złożonej w ofierze. I ujrzelśmy kominek ze zlodowaciałym popiołem, z ostatnią szczapą obróconą w kamień, szafę z bronią gotową w każdej chwili do strzału i obraz olejny w złotych ramach, portret zamyślonego

kawalera pędzla jednego z tych mistrzów florenckich, którzy nie mieli tyle szczęścia, by ich sława przetrwała próbę czasu. Największe wrażenie wywarł na mnie jednak unoszący się w całej sypialni zastygły i zupełnie niepojęty zapach świeżo zerwanych truskawek.

Letnie dni w Toskanii są długie i ślamazarne, a słońce nad horyzontem do dziewiątej wieczór nie rusza się z miejsca. Kiedy skończyliśmy zwiedzać zamek, było już po piątej, ale Miguel uparł się, że koniecznie musimy obejrzeć freski Piero della Francesca w kościele Świętego Franciszka; później była kawa, niezgorzej przegadana w cieniu pergoli na placu, kiedy zaś wróciliśmy po bagaże, stół był już nakryty. Nie mieliśmy więc innego wyjścia

jak zostać na kolacji.

Podczas gdy my ucztowaliśmy pod niebem całym w różach i w fioletach, na którym świeciła jedna tylko gwiazda, chłopcy zapalili w kuchni pochodnie i ruszyli na podbój ciemności górnych pięt. Do naszych uszu zaczął

dochodzić tętent mustangów galopujących po schodach, zawodzenie drzwi, radosne wrzaski nawołujące Ludovica w mrocznych pokojach. To właśnie chłopcom wpadł do głowy kiepski pomysł, żebyśmy zostali na noc. Miguel Otero Silva poparł ich, zachwycony, a nam nie starczyło odwagi cywilnej, żeby się temu sprzeciwić.

Wbrew moim obawom wszystkim nam spało się wyśmienicie, zarówno mnie z żoną w sypialni na parterze, jak i naszym synom w sąsiednim pokoju. Oba pomieszczenia zostały całkowicie odnowione i nie miały w sobie nic z mrocznego nastroju komnat zamkowych. Usiłując zasnąć, policzyłem dwanaście bezsennych uderzeń stojącego w salonie zegara i przypomniałem sobie złowieszczą

przestrozę starej gęsiarki. Byliśmy jednak tak zmęczeni, że natychmiast zasnęliśmy długim, mocnym snem i dopiero po siódmej zbudziło mnie wspaniałe słońce prześwitujące przez bluszcz obrastający okna. Obok mnie żona nadal płynęła przez spokojne morze niewinnych.

"Bzdura! - pomyślałem sobie - że też w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze może wierzyć w duchy". I w tej samej chwili struchlałem, poczuwszy zapach świeżo zerwanych truskawek, i ujrzałem kominek z wystygłym popiołem, i ostatnią szczapę obróconą w kamień i portret smutnego kawalera, który patrzył na nas ze złotych ram swym spojrzeniem sprzed trzech wieków. Bo znajdowaliśmy się

nie w sypialni na parterze, gdzie położyliśmy się spać wieczorem, ale w książęcej alkowie, pod baldachimem, osłonięci

zakurzonymi kotarami, w pościeli zbryzganej ciepłą jeszcze krwią, w przeklętym łóżu Ludovica.

Październik 1980

Maria dos Prazeres

Pracownik zakładu pogrzebowego stawił się tak punktualnie, że zaskoczył Marię dos Prazeres jeszcze w szlafroku,

z głową nastroszoną drucianymi wałkami, i czasu starczyło jej ledwie na wpięcie za ucho czerwonej róży, żeby nie wyglądać równie parszywie, jak się czuła. Ten żaloszny stan sprawił jej jeszcze większą przykrość, gdy otworzyła drzwi i zamiast ponurego notariusza, wbrew swym wyobrażeniom o tym, jak powinien wyglądać kancelista śmierci, zobaczyła nieśmiałego młodzieńca w kraciastej marynarce

i krawacie w kolorowe ptaki. Nie miał palta pomimo kapryśnej barcelońskiej wiosny i jej zacinających deszczy dających się niemal zawsze bardziej we znaki niż zima. Maria dos Prazeres, która niemało mężczyzn wpuściła w swoje progi o najdziwniejszych porach, poczuła się zawstydzona jak nigdy. Choć właśnie skończyła siedemdziesiąt sześć lat i była przekonana, że umrze przed Bożym Narodzeniem, w pierwszym odruchu już chciała zamykać drzwi i prosić akwizytora pogrzebów o odrobinę cierpliwości, żeby mogła przyodziać się odpowiednio i przyjąć go stosownie do jego rangi. Szybko jednak pomyślała, że biedak może zmarznąć w ciemnej sieni, wpuściła go więc do środka.

- Proszę mi wybaczyć, że wyglądam jak straszdyłło

- powiedziała - ale od ponad pięćdziesięciu lat mieszkam w Katalonii i po raz pierwszy ktoś przychodzi o umówionej godzinie.

Mówiła po katalońsku doskonale, z nieco przestarzałą poprawnością, choć dawało się jeszcze uchwycić melodię jej ojczystego, dawno zapomnianego, języka portugalskiego. Mimo swego wieku i nawet w tych drucianych wałkach nadal była szczupłą, pełną życia Mulatką, o sztywnych włosach, żółtych i drapieżnych oczach, która już dawno przestała litować się nad mężczyznami. Przedstawiciel firmy, oślepiiony jeszcze jaskrawym światłem

dnia, wytarł jedynie buty o jutową wycieraczkę i słowem się nie odezwawszy, z szacunkiem pocałował Marię dos Prazeres w dłoń.

- Zachowujesz się jak mężczyźni z czasów mojej młodości - powiedziała Maria dos Prazeres, wybuchnąwszy gromkim śmiechem. - Siadaj.

Choć dopiero terminował w tym fachu, na tyle był już z nim obeznany, by nie oczekiwać o ósmej rano tak radosnego przyjęcia, tym bardziej przez zatraconą staruchę, która na pierwszy rzut oka wydała mu się kolejną zwariowaną uciekinierką z jednego z krajów latynoskich. Zamarł więc tuż za progiem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, podczas gdy Maria dos Prazeres rozsuwała ciężkie, pluszowe kotary. Przyćmiony blask kwietnia

ledwie rozjaśnił zadbane aż do przesady wnętrze salonu, wyglądającego raczej na witrynę sklepu z antykami.

Znajdowały się w nim wyłącznie przedmioty codziennego użytku, nagromadzone ze stosownym umiarem i rozmieszczone z tak wyrafinowanym smakiem, iż trudno byłoby znaleźć mieszkanie lepiej urządzone nawet w tak starym i tajemnym mieście jak Barcelona.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Pomyliłem drzwi.

- Daj Boże - powiedziała - ale śmierć się nie myli.

Młody człowiek rozłożył na stole w jadalni plan, wielostronicowy niczym mapa nawigacyjna, z zaznaczonymi na

kolorowo parcelami, z mnóstwem krzyżyków i cyferek na każdej barwnej plamie. Maria dos Prazeres zrozumiała, że jest to dokładny plan ogromnego cmentarza Montjuich

i z zadawnionym przerażeniem przypomniała sobie cmentarz w Manaus w strugach październikowych deszczy,

gdzie tapiry taplały się wśród bezimiennych mogił i wystawnych grobowców z florenetyńskimi witrażami, w których spoczywali poszukiwacze fortun. Dawno temu Amazonka o świecie wystąpiła z brzegów, przeistaczając się

w cuchnące trzęsawisko, a mała Maria dos Prazeres, wyjrawszy rano na patio, zobaczyła unoszące się na powierzchni błota roztrzaskane trumny ze szczątkami tkanin i wystającymi przez szpary włosami zmarłych.

Właśnie to

wspomnienie sprawiło, że na miejsce swego wiecznego spoczynku wybrała wzgórze Montjuich, a nie pobliski i dobrze jej znany cmentarzyk Świętego Gerwazego.

- Chcę mieć takie miejsce, do którego nigdy nie dotrze woda - powiedziała.

- Proszę, to właśnie tu - powiedział sprzedawca, wskazując miejsce na planie rozkładaną wskazówką, którą nosił w kieszeni jak wieczne pióro. - Nie ma morza, które mogłoby aż tak wezbrać.

Zaczęła rozglądać się po barwnej szachownicy, dopóki nie odnalazła miejsca tuż przy głównej bramie, gdzie znajdowały się obok siebie trzy identyczne i bezimienne groby, w których leżeli Buenaventura Durruti i dwaj inni przywódcy anarchistyczni polegli w czasie wojny domowej. Co noc ktoś pisał ich nazwiska na białych nagrobkach. Ołówkiem, farbą, węglem, kredką do brwi lub lakierem do paznokci, w pełnym brzmieniu i w odpowiednim

porządku. I każdego ranka dozorca zmywali je, żeby nikt nie wiedział, kto jest kim pod niemymi marmurami.

Maria dos Prazeres uczestniczyła w pogrzebie Durrutiego, w najsmutniejszym i najbardziej burzliwym pogrzebie, jaki kiedykolwiek miał miejsce w Barcelonie, i chciała spocząć w pobliżu jego grobu. Ale na rozległym, lecz przeludnionym cmentarzu było to niemożliwe. Musiała więc

dostosować się do istniejących możliwości. "Pod warunkiem - powiedziała - że nie wpakujecie mnie do jednej z tych szuflad w murze na pięć lat, gdzie człowiek leży jak w skrzynce pocztowej". Następnie przypomniawszy sobie nagle o najważniejszym, stwierdziła:

1- I przede wszystkim musicie mnie pogrzebać na leżąco.

W odpowiedzi na hałaśliwą promocję ratalnej przedsprzedaży grobów zaczęła krążyć pogłoska, że pragnąc zaoszczędzić na ziemi, zmarłych chowano w pionowo ustawianych trumnach. Sprzedawca wyjaśnił z dokładnością

wyuczonego na pamięć i wielokrotnie powtarzanego przemówienia, że pogłoska ta jest ohydny oszczerstwem

tradycyjnych zakładów pogrzebowych, wymyśloną w celu zdyskredytowania nowości w postaci ratalnej przedsprzedaży grobów. W trakcie składania przezeń wyjaśnień rozległy się trzy cichutkie puknięcia do drzwi. Nieco zdezorientowany sprzedawca przerwał swój wywód, ale Maria

dos Prazeres dała mu znak, by kontynuował.

- Proszę sobie nie przeszkadzać - powiedziała ściszym głosem. - To Noi.

Sprzedawca podjął przerwany wątek, a Maria dos Prazeres uznała wyjaśnienia za zadowalające. Zanim jednak otworzyła drzwi, chciała raz, a dobrze wyłuszczyć myśl, dojrzewającą w jej sercu przez wiele lat w każdym najdrobniejszym szczególe od owej legendarnej powodzi w Manaus.

- Chcę powiedzieć - wyznała - że szukam takiego miejsca, gdzie będę leżała pod ziemią, nienarażona na powodzie, i jeśli można, żeby latem padał na mnie cień drzew, no i w miejscu, z którego nie wyciągną mnie po jakimś czasie, żeby wyrzucić na śmietnik.

Otworzyła drzwi i wpuściła przemoczonego i wyglądającego jak siedem nieszczęść pudelka, który zupełnie nie

pasował do reszty mieszkania. Wracał z porannego spaceru po najbliższej okolicy i po wejściu wpadł w szal radości.

Wskoczył na stół, szczekając jak opętany, i omal nie zniszczył planu cmentarza upapranymi błotem łapami. Jedno

spojrzenie pani wystarczyło, żeby go przystopować.

- Noi! - powiedziała, nie podnosząc głosu. - Baixa d'aci!

Zwierzę skuliło się, spojrzęło na nią zaleknione i dwie

błyszczące łzy spłynęły mu po pysku. Maria dos Prazeres odwróciła się ku sprzedawcy i dostrzegła jego zaskoczenie.

- Collons! - krzyknął. - On płacze!

- Jest podniecony tym, że zastaje kogoś w domu o tej

porze - usprawiedliwiła psa, ścisząc głos, Maria dos

Prazeres. - Zazwyczaj wchodzi do domu ostrożniej niż ludzie. Nie licząc ciebie, jak zdążyłam się przekonać.

- Ale on się, kurwa, popłakał! - powtórzył sprzedawca

i spostrzegłszy natychmiast swój nietakt, zaczerwienił się

i przeprosił. - Proszę wybaczyć, ale czegoś takiego nawet

w kinie nie widziałem.

- Wszystkie psy są w stanie to zrobić, wystarczy je nauczyć - odpowiedziała. - Problem w tym, że właściciele

stają na głowie, żeby nauczyć je rzeczy, od których te zwierzaki cierpią, jak jeść z talerza czy załatwiać swoje

potrzeby o tej samej godzinie i w tym samym miejscu. Nie uczą

za to rzeczy naturalnych, które one lubią, jak śmiać się czy

płakać. Na czym to stanęliśmy?

Do uzgodnienia pozostało już niewiele. Maria dos Prazeres musiała przystać również na lato bez drzew, bo

jedyne

miejsca z cieniem zarezerwowane były na cmentarzu dla

reżimowych dygnitarzy. Za to szczegółowe warunki umowy były już mniej istotne, bo interesował ją przede

wszystkim rabat za opłatę z góry i w gotówce.

Dopiero po zakończeniu wszystkich formalności i chowając już papiery do teczki, sprzedawca rozejrzał się

przytomniej po mieszkaniu i nie bez emocji poczuł, jak

ulega jego magicznemu urokowi. Przyjrzał się ponownie

Marii dos Prazeres, jakby właśnie ją zobaczył.

- Czy mogę zadać pani niedyskretne pytanie? - zapytał.

Odprowadziła go do drzwi.

- Oczywiście - odparła - o ile nie będzie to pytanie

o mój wiek.

- Mam taką manię, że lubię zgadywać zawód ludzi po

przedmiotach, jakie znajdują się w ich mieszkaniach,

i prawdę mówiąc, w pani przypadku nie jestem w stanie

utrafić - wyznał. - Co pani robi?

Maria dos Prazeres odpowiedziała mu, dusząc się ze

śmiechu:

- Jestem kurwą, synu. A co? Już tego po mnie nie

widać?

Sprzedawca zaczerwienił się.

- Bardzo mi przykro.

- To mnie powinno być przykro - powiedziała, przytrzymując go, żeby nie rąbnął się o drzwi. - Ostrożnie! Nie

rozwal sobie łba, zanim mnie przyzwolicie nie pochowasz.

Po zamknięciu drzwi natychmiast wzięła pieska na ręce

i zaczęła go tulić, przyłączając się swym pięknym afrykańskim głosem do dziecięcych chórków, które w tej

samej

chwili rozległy się w pobliskim przedszkolu. Przed trzema

miesiącami doznała w snach objawienia, że umrze, i od tej

pory jeszcze bardziej poczuła się przywiązana do tego jedyne stworzenia towarzyszącego jej w samotności.

Tak

szczegółowo przewidziała pośmiertny podział swoich dóbr

i los własnego ciała, że nawet teraz mogłaby już umrzeć, nie

sprawiając nikomu kłopotu. Z własnej woli wycofała się

z zawodu, odłożywszy fortunę zbieraną grosz do grosza

latami, ale bez specjalnych wyrzeczeń, i na miejsce swej

ostatniej przystani wybrała stare i zacne miasteczko Gracia,

wchłonięte już przez ekspansywną Barcelonę. Kupiła zrujnowaną antresolę, w której zawsze unosił się zapach

wędzonych śledzi, a w ścianach zżartych przez saletrę zachowały się ślady strzałów po jakichś epizodycznych walkach. Nie było dozorczy, a wilgotnym i ciemnym schodom brakowało niektórych stopni, choć wszystkie mieszkania były zajęte. Maria dos Prazeres wyremontowała łazienkę i kuchnię, obiała ściany tkaninami w radosnych kolorach, wstawiła ozdobne szyby i zawiesiła w oknach pluszowe zasłony. Na koniec sprowadziła wytworne meble, ozdoby, zastawę i kufry jedwabi i brokatów, które faszyci rabowali z rezydencji opuszczonych przez republikanów w chaosie klęski, a ona skupywała powoli, przez wiele lat, po okazyjnych cenach i na tajnych wyprzedażach. Z przeszłości łączyła ją jedynie przyjaźń z hrabią de Cardona, nadal odwiedzającym Marię dos Prazeres w każdy ostatni piątek miesiąca, żeby zjeść z nią kolację, a potem, na deser, kochać się ospałą miłością. Ale nawet i tę przyjaźń z czasów młodości zachowywali w sekrecie, do tego stopnia, że hrabia zostawiał swój samochód z herbowymi znakami w odległości bardziej niż ostrożnej i przemykał się do jej mieszkania zacienionymi uliczkami w trosce o reputację Marii dos Prazeres i swoją własną. Maria dos Prazeres nie знаła w kamienicy nikogo poza młodym małżeństwem z dziewięcioletnią córką, które niedawno wprowadziło się do mieszkania naprzeciwko. I choć wydawało jej się to aż nieprawdopodobne, naprawdę nigdy nikogo więcej na schodach nie spotkała. Niemniej rozporządzenie spadkiem uprzytomniło jej, że mocniej, niż sądziła, wrosła w tę wspólnotę twardych Katalończyków z krwi i kości, których duma narodowa opierała się na skromnej przyzwoitości. Nawet najbliższe drobiazgi rozdzieliła pomiędzy osoby najbliższe jej sercu, a tak się złożyło, że były to zarazem osoby, które najbliżej niej mieszkały. I choć w końcu nie była całkiem przekonana, czy wobec wszystkich postąpiła równie sprawiedliwie, za to jednego była pewna: że nie zapomniiała o nikim, kto sobie na jej pamięć zasługiwał. Do sporządzenia swej ostatniej woli przygotowała się tak skrupulatnie, że notariusz z ulicy del Arbol, szcycący się tym, że wszystko już w życiu widział, własnym uszom nie wierzył, gdy zaczęła jego kancelistom dyktować z pamięci drobiazgowy spis swoich dóbr, podając w średniowiecznej katalońszczyźnie właściwą nazwę każdego przedmiotu i kompletną listę spadkobierców, z wyszczególnieniem ich zawodów i adresów, i określając miejsce, jakie zajmują w jej sercu. Po wizycie sprzedawcy pogrzebów dołączyła do rzeszy niedzielnych gości cmentarza. Tak samo jak jej sąsiedzi z przyległych grobów zasadziła wzdłuż obrzeży kwiaty na każdą porę roku, murawę świeżo wzeszłej trawy podlewała i strzygła sekatorkiem, dopóki nie upodobniła się do klombów przed ratuszem i tak się przywiązała do tego miejsca, iż w końcu sama nie była w stanie pojąć, jak z początku mogło jej się wydawać przygnębiające. Podczas pierwszej wizyty serce zabiło jej mocniej na widok trzech bezimiennych grobów przy bramie, ale nawet się nie zatrzymała, żeby rzucić na nie okiem, bo nieopodal przechadzał się rozglądający się bacznie strażnik. Ale trzeciej niedzieli wykorzystwała chwilę jego nieuwagi, żeby spełnić jedno ze swych największych marzeń,

i szminką do ust napisała na pierwszym nagrobku splukanym deszczem: Durruti. Od tamtej pory, w miarę możliwości, robiła to zawsze, na jednym grobie, na dwóch lub na wszystkich trzech, bez najmniejszego wahania i zawsze z sercem drżącym od nostalgii.

W jedną z ostatnich niedziel września była świadkiem pierwszego pogrzebu na wzgórzu. Trzy tygodnie później, w lodowato wietrzne popołudnie, pogrzebano w sąsiednim grobie młodą mężatkę. Pod koniec roku siedem kwater było już zajętych, ale krótkotrwała zima minęła Marii dos Prazeres spokojnie. Nie nękały jej żadne przypadłości i w miarę jak robiło się coraz cieplej, a przez otwarte okna wlewały się coraz gwarnejsze odgłosy życia, czuła, że z każdą chwilą przybywa jej odwagi, by przetrwać zagadki własnych snów. Wróciwszy z gór, gdzie zawsze spędzał porę największych upałów, hrabia de Cardona stwierdził, że wygląda jeszcze bardziej atrakcyjnie niż podczas jej zaskakującej młodości w wieku pięćdziesięciu wiosen. Po wielu nieudanych próbach Marii dos Prazeres udało się wreszcie doprowadzić do tego, że Noi zaczął rozpoznawać jej grób na rozległym wzgórzu pełnym identycznych

mogił. Następnie uparła się, że nauczy go płakać nad pustym grobem, by później mógł już z przyzwyczajenia oplakiwać jej śmierć. Wielokrotnie przeszła z nim całą drogę z domu na cmentarz, cierpliwie pokazując wszystkie punkty orientacyjne, które miały mu pomóc w zapamiętaniu trasy autobusu z Ramblas, aż uznała, że pies jest już na tyle wytresowany, iż może go puścić samego.

Gdy nadszedł czas próby generalnej, w niedzielę, o trzeciej po południu, zdjęła mu wiosenny kaftanik, po części dlatego, że lato było tuż tuż, a po części, żeby nie zwracał na siebie uwagi, i pozostawiła go jego własnemu losowi. Widziała, jak rusza ocienioną stroną ulicy i oddala się truchcikiem, ze ściśniętym i smutnym zadeczkciem pod trzęsącym się ogonkiem, i z trudem się powstrzymywała, by nie popłakać nad sobą i nad nim, i nad tyloma tak gorzkimi latami wspólnych marzeń, dopóki nie zniknął jej z oczu, skręciwszy w stronę morza na rogu ulicy

Mayor. Piętnaście minut później na pobliskim placu Lessepsa wsiadła do autobusu jadącego na Ramblas i wypatrując psa przez okna, w końcu dojrzała go pośród czeredy niedzielnej dzieciarni, jak daleki i poważny czeka na zmianę świateł przy przejściu dla pieszych na Paseo de Gracia. "Mój Boże - westchnęła. - Jaki on samotny!".

Niemal dwie godziny musiała czekać na niego w ostrym słońcu na Montjuich. Pozdrowiła wielu zbolątych z mniej pamiętnych niedziel, choć ledwie ich rozpoznała, upłynęło bowiem tyle czasu od ich pierwszego spotkania, że ani żałoby już nie nosili, ani nie płakali, a kwiaty kładli na grobach, nie myśląc o swoich zmarłych. Nieco później, kiedy wszyscy odeszli, usłyszała posępne wycie, które spłoszyło mewy, i zobaczyła na bezkresnym morzu biały transatlantyk z banderą Brazylii, i z całej duszy zapragnęła, żeby przywiózł jej list od kogoś, kto gotów był życie

za nią oddać w więzieniu w Pernambuco. Tuż po piątej, dwanaście minut przed czasem, na wzgórzu pojawił się Noi, zaśliniony ze zmęczenia i z gorąca, ale z triumfującą miną zadowolonego z siebie dziecka. W tej samej chwili Marię dos Prazeres opuścił strach, że nikt na tym świecie nie zapłacze nad jej grobem.

To właśnie następnej jesieni zaczęła dostrzegać złowróżbne znaki, których nie była w stanie rozszyfrować, co

przepęłniało jej serce jeszcze większą trwogą. Znowu zaczęła chodzić na kawę pod złociste akacje na placu del Reloj, przywdziewając palto z kołnierzem z lisów i kapelusz ozdobiony sztucznymi kwiatami, tak bardzo stary, że ponownie był w modzie. Zdwoiła czujność. Usiłując dociec przyczyn swego lęku, wsłuchiwała się w paplaninę ptaszniczek na Ramblas, w szepty mężczyzn, których rozmowy przy stoiskach z książkami, po raz pierwszy od wielu lat, nie dotyczyły piłki nożnej, w głębokie milczenie inwalidów wojennych, rzucających gołębiom okruchy chleba, i wszędzie odnalazła nieomylnie znaki śmierci. Na Boże Narodzenie wśród akacji zapłonęły kolorowe światełka, balkony zaniosły się muzyką i głosami radości, tłumy turystów całkowicie obojętnych na nasz los zawładnęły kawiarniami pod gołym niebem, ale nawet w tej świątecznej wesołości dawało się odczuć to samo tłumione napięcie, które poprzedzało czasy, kiedy ulicą zawładnęli anarchiści. Maria dos Prazeres, dobrze pamiętająca tę epokę wielkich namiętności, nie potrafiła opanować niepokoju i po raz pierwszy szpony przerażenia wyrwały ją ze snu. Pewnej nocy agenci bezpieczeństwa zastrzelili na wprost jej okien studenta wypisującego pędzlem na murze: Niech, żyje wolna Katalonia! "Mój Boże - rzekła z niedowierzaniem - to tak jakby wszystko umierało ze mną!". Podobnego niepokoju zaznawała jedynie w dzieciństwie, w Manaus, tuż przed świtem, gdy milkły nagle nieprzeliczone odgłosy nocy, wody wstrzymywały swój bieg, czas wahał się, a puszcza amazońska zapadała w bezdenną ciszę, równą tylko ciszy śmierci. I w takim właśnie stanie obezwładniającego napięcia zastał ją hrabia de Cardona, przybywszy, jak zwykle, w ostatni piątek kwietnia na kolację. Wizyty przeistoczyły się w rytuał. Hrabia przychodził regularnie pomiędzy siódmą a dziewiątą wieczorem z butelką katalońskiego szampana zawiniętą dla niepoznaki w popołudniówkę i z pudełkiem nadzieiwanych trufli. Maria dos Prazeres przygotowywała mu zapiekane caneloni i kurczaka w sosie własnym - ulubione dania Katalończyków z wyższych sfer w starych dobrych czasach - i paterę świeżych owoców. Podczas gdy Maria dos Prazeres szykowała kolację, hrabia słuchał wybranych arii z włoskich oper w archiwalnych nagraniach, sącząc z kieliszka porto, którego starczało mu akurat do końca płyty. Po długiej i porządnie przegadanej kolacji odruchowo szli do łóżka, gdzie kochali się nieruchawą miłością, po której oboje odczuwali jedynie gorzkość katastrofy. Przed wyjściem, jak zwykle spłoszony późną porą, hrabia wsuwał dwadzieścia pięć peset pod popielniczkę w sypialni. Tyle brała Maria dos Prazeres, kiedy ją poznał w hoteliku na Paralelo, i była to jedyna rzecz, której nie zżarła patyna czasu. Żadne z nich nie zadało sobie nigdy pytania, na czym polega ich przyjaźń. Maria dos Prazeres zawdzięczała hrabiemu parę drobnych przysług. Udzielał jej trafnych porad, jak powinna obracać swoimi oszczędnościami, nauczył ją rozpoznawać rzeczywistą wartość jej skarbów i co robić, żeby nie wyszło na jaw, że są kradzione. Ale przede wszystkim to właśnie on wskazał jej drogę ku godziwej starości w dzielnicy Gracia, kiedy w burdelu, gdzie spędziła całe życie, uznali ją za zbyt sfatygowaną jak na współczesne gusta i zamierzali ulokować w domu pokątnych emerytek, które za pięć peset uczyły dzieci sztuki kochania. Opowiedziała kiedyś hrabiemu, że jak miała

czternaście lat, matka sprzedała ją w porcie Manaus, a pierwszy oficer tureckiego statku po bezlitosnym wykorzystywaniu jej podczas całej podróży przez Atlantyk zostawił ją później bez pieniędzy, bez znajomości języka, bezimienną w trzęsawisku światła na Paralelo. Oboje w pełni zdawali sobie sprawę, że łączy ich tak niewiele, iż czują się najbardziej samotni, będąc razem, a mimo to żadne z nich nie odważyło się zniszczyć uroków przyzwyczajenia. Trzeba im było narodowego wstrząsu, by oboje

jednocześnie zrozumieli, jak bardzo i z jak ogromną czułością nienawidzili się przez tyle lat.

Był to istny pożar. Hrabia de Cardona słuchał miłosego duetu z Cyganerii, wykonywanego przez Licie Albanese i Beniamina Gigli, kiedy do jego uszu dotarły przypadkowe strzępy wiadomości z radia, którego Maria dos Prazeres słuchała w kuchni. Podszedł na palcach i również zaczął nasłuchiwać. Generał Francisco Franco, po wsze

czasy dyktator Hiszpanii, osobiście przyjmuje na siebie odpowiedzialność za decyzję stanowiącą o ostatecznym losie

trzech separatystów baskijskich, których właśnie skazano na śmierć. Hrabia odetchnął z ulgą.

- To znaczy, że na pewno ich rozstrzelają - powiedział

- bo Wódz jest sprawiedliwym człowiekiem.

Maria dos Prazeres utkwiała w hrabiego swe płonące

oczy królewskiej kobry i zobaczyła jego beznamiętne źrenice za szklami w złotej oprawce, zęby drapieznika,

bezszańskie ręce zwierzęcia przyzwyczajonego do wilgoci

i ciemności. Takiego, jakim był.

- No to módl się do Boga, żeby było inaczej - powiedziała - bo jeśli rozstrzelają choćby jednego, to ja ci wsypię truciznę do zupy.

Hrabia przestraszył się.

- A to dlaczego?

- Bo ja też jestem sprawiedliwą kurwą.

Hrabia de Cardona nie pojawił się już więcej, a Maria

dos Prazeres nabrała pewności, że właśnie dobiega końca

ostatni etap jej życia. Do niedawna jeszcze ogarniało ją

święte oburzenie, że ustępują jej miejsca w autobusie, że

próbują jej pomóc przy przechodzeniu przez ulicę, że biorą ją pod rękę przy wchodzeniu po schodach, w końcu

jednak nie tylko się z tym pogodziła, ale nawet zaczęła

się tego domagać jak obmierzłej konieczności. Wtedy zamówiła nagrobek jak dla anarchisty, bez imienia,

nazwiska, bez dat, a udając się na spoczynek nie zamykała już

drzwi na zasuwę, żeby Noi mógł swobodnie wyjść i powiadomić o jej śmierci, gdyby umarła podczas snu.

Pewnej niedzieli, wracając z cementarza, spotkała na podeście schodów dziewczynkę z sąsiedniego mieszkania.

Przeszła się z nią kilka przecnic, z babciną prostodusznością opowiadając jej po trosze o wszystkim, i nie uszło

jej uwagi, że dziewczynka bawi się z Noiem jak ze starym

przyjacielem. Na Diamentowym placu, tak jak sobie zaplanowała, zaprosiła ją na lody.

- Lubisz psy? - zapytała.

- Uwielbiam - odpowiedziała dziewczynka.

- Maria dos Prazeres złożyła jej wówczas propozycję,

z którą nosiła się od bardzo dawna.

- Gdyby coś mi się przydarzyło, zaopiekujesz się

Noiem - powiedziała jej - ale pod warunkiem, że pozostawisz mu wolne niedziele, nie przejmując się niczym.

On będzie wiedział, co robić.

Dziewczynka była wniebowzięta. Maria dos Prazeres ze

swej strony powróciła do domu uskrzydłona radością, że

jednak udało jej się dożyć snu, który dojrzewiał w jej sercu przez wiele lat. Ów sen jednak się nie spełnił. I to



nie

przez mordęgę starości, i nie przez opieszałość śmierci.

I nawet nie była to jej własna decyzja. To życie podjęło ją

za nią w listopadowe, lodowate popołudnie, gdy opuszczała cmentarz i raptownie rozpętała się gwałtowna burza.

Po dopisaniu nazwisk na trzech nagrobkach schodziła ku

dworcowi autobusowemu i przemokła już w pierwszych

strugach deszczu. Ledwie zdążyła schronić się w jednej

z bram całkowicie wyludnionej i jakby nie z tego miasta

dzielnicy, ze zrujnowanymi składami, z dymiącymi fabrykami i ogromnymi ciężarówkami przejeżdżającymi

z łomotem potęgującym huk burzy. Usiłując ogrzać przemoczonego psa własnym ciałem, Maria dos Prazeres

bezzradnie patrzyła na mijające ją zatłoczone autobusy, patrzyła na mijające ją puste, ale ze złamaną

chorągiewką

taksówki i nikt nie zwracał uwagi na jej rozpaczliwe gesty rozbitka. Nagle, gdy niemożliwy wydawał się

nawet

cud, luksusowa limuzyna o barwie ciemnej stali przejechała niemal bezgłośnie przez zalaną ulicę, gwałtownie

zahamowała przed skrzyżowaniem, po czym cofnęła się

na wstecznym biegu do miejsca, w którym stała Maria

dos Prazeres. Jak za magicznym zaklęciem szyby opuściły się, a kierowca zaoferował, że ją podwiezie.

- Jadę bardzo daleko - wyznała szczerze Maria dos

Prazeres. - Ale byłabym bardzo wdzięczna, gdyby przynajmniej trochę mnie pan podwiózł.

- Ale gdzie pani jedzie? - zapytał.

- Na Gracia - odpowiedziała.

Drzwi same się otworzyły.

- Jadę w tamtym kierunku - odpowiedział kierowca.

- Proszę wsiadać.

Ledwie zajęła miejsce w aptecznym chłodzie samochodu, deszcz natychmiast przeistoczył się w kłopot

wydumany, miasto nabrało odmiennych barw i Maria dos Prazeres

poczuła, że przebywa w innym, szczęśliwym świecie, gdzie

wszystko było z góry załatwione. Kierowca torował sobie

drogę poprzez uliczny zamęt z wprawą czarnoksiężnika.

Marię dos Prazeres ogarnęło onieśmienie nie tylko z powodu własnego ubóstwa, ale i ze względu na

biednego

czworonoga śpiącego na jej kolanach.

- To prawdziwy transatlantyk - powiedziała, bo czuła,

że musi powiedzieć coś mądrego. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałam, nawet w snach.

- Prawdę mówiąc, jedyną jego wadą jest to, że nie należy do mnie - odpowiedział z trudem po katalońsku, a

po

małej przerwie dodał po kastylijsku: - Nawet za zarobki

całego życia nie mógłbym go sobie kupić.

- Wyobrażam sobie - westchnęła.

Przyjrzała się ukradkiem jego twarzy oświetlonej zielonymi światelkami tablicy rozdzielczej i zobaczyła, że to

jeszcze prawie chłopiec, o kręconych, krótkich włosach

i profilu rzymskiego posągu. Pomyślała, że nie jest piękny, ale pełen swoistego uroku, że dobrze mu w taniej

i mocno już znoszonej, skórzanej kurtce i że jego matka

musi czuć się wyjątkowo szczęśliwa, kiedy słyszy, jak wraca do domu. I tylko jego spracowane ręce

wskazywały, że

rzeczywiście nie jest właścicielem samochodu.

Przez resztę drogi nie zamienili już ani słowa, ale

i Maria dos Prazeres poczuła, że jest poddawana ukradkowym oględzinom, i po raz któryś z rzędu zrobiło jej

się

przykro, że ciągle żyje mimo swego wieku. Poczuła się

brzydka i godna litości w okrywającej włosy byle szmacie,

którą naprędce narzuciła, kiedy zaczęło padać, i w nędznym paletku, którego wymiana nawet nie przyszła jej

do

głowy zaprzątniętej myślami o śmierci.

Kiedy dotarli do dzielnicy Gracia, przestało Już padać,

nastała noc i na ulicach paliły się światła. Maria dos Prazeres poprosiła kierowcę, by zostawił ją na najbliższym

rogu, ale on uparł się, że podwiezie ją pod samą bramę,

i nie tylko tak zrobił, ale nawet zaparkował na chodniku,

żeby mogła wysiąść, nie mocząc nóg. Puściła psa i spróbowała wyjść z samochodu na tyle godnie, na ile pozwalało

jej własne ciało, i kiedy odwróciła się, żeby podziękować,

napotkała męskie spojrzenie, od którego zapało jej dech

w piersiach. Wytrzymała je przez chwilę, nie bardzo rozumiejąc, kto, czego i od kogo oczekuje, i wówczas on zapytał stanowczym głosem:

- Mam wejść?

Maria dos Prazeres poczuła się upokorzona.

- Jestem panu bardzo wdzięczna za podwiezienie - powiedziała - ale nie pozwolę kpić z siebie.

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym kpić z kogokolwiek - powiedział po kastylijsku z powagą nie znoszącą sprzeciwu. - A tym bardziej z takiej kobiety jak pani.

Maria dos Prazeres poznała wielu mężczyzn takich jak

on, uratowała przed samobójstwem wielu innych, bezczelniejszych od niego, ale nigdy w swoim długim życiu nie

odczuwała takiego strachu przed powzięciem decyzji.

I znów usłyszała, jak bez najmniejszego wahania powtarza:

- Mam wejść?

Oddaliła się, nie zamykając drzwiczek, i odpowiedziała

mu po kastylijsku, żeby mieć pewność, że zostanie zrozumiana.

- Niech pan robi, co się panu podoba.

Weszła do klatki skąpo oświetlonej przez ukośnie padający z ulicy odblask i zaczęła pokonywać pierwszą partię

schodów na miękkich nogach, półżywa z przerażenia,

które dotąd wydawało jej się możliwe tylko w chwili

śmierci. Kiedy zatrzymała się przy drzwiach antresoli,

drżącymi rękami szukając gorączkowo kluczy w kieszeni,

usłyszała kolejno dwa trzaśnięcia samochodowych drzwiczek. Noi, który ją wyprzedził, chciał już szczekać.

"Siedź

cicho", rozkazała mu konającym szeptem. Wnet usłyszała

pierwsze kroki na obluzowanych stopniach schodów

i przestraszyła się, że zaraz pęknie jej serce. W okamgnieniu raz jeszcze, dokładnie zagłębiła się w proroczy sen,

który w ciągu ostatnich trzech lat całkowicie odmienił jej

życie, i zrozumiała swój błąd w jego odczytaniu.

"Mój Boże - powiedziała sobie z niedowierzaniem.

- A więc to nie była śmierć!".

Wreszcie natrafiła na zamek, słysząc w ciemnościach

coraz bliższe kroki, słysząc coraz wyraźniejszy oddech

kogoś, kto nadchodził w ciemnościach równie przerażony

jak ona, i wtedy zrozumiała, że warto było czekać tyle,

tyle lat i tak wiele w ciemnościach przecierpieć, by tylko

przeżyć tę jedną chwilę.

Maj 1979

Siedemnatstu zatrutych Anglików

Pierwszą rzeczą, jaką pani Prudencia Linero zauważyła

po przyplłynięciu do Neapolu, było to, że w porcie unosi

się taki sam zapach jak w Riohacha. Oczywiście nie powiedziała o tym nikomu, bo i tak nikt by tego nie

zrozumiał na wiekowym transatlantyku pełnym Włochów

z Buenos Aires, odwiedzających swą ojczyznę po raz pierwszy od zakończenia wojny, ale mimo wszystko poczuła się rażniej, mniej samotna i przy swoich siedemdziesięciu dwóch latach i po osiemnastu dniach wzburzonego morza, już nie aż tak bardzo oddalona od swoich bliskich i swego domu.

Już o świcie dostrzeżono światła lądu. Pasażerowie wstali wcześniej niż zazwyczaj i wylegli na pokład odświeżeni ubrani i pełni skrywanymi obaw przed niepewnością zejścia na ląd, toteż ta ostatnia niedziela na statku wyglądała na jedyną prawdziwą podczas całej podróży. Pani Prudencia Linero była jedną z niewielu osób uczestniczących w mszy. W odróżnieniu od poprzednich dni, kiedy chodziła po statku w lekkiej żałobie, ostatniego dnia podróży przywdziała burą, prostą suknię z surowego lnu przepasaną sznurem świętego Franciszka i obuła sandały z surowej skóry, które wyłącznie dlatego, że były zbyt nowe, nie wyglądały na pielgrzymie. To była przedterminowa spłata: przyrzekła Bogu, że będzie nosić ten długi habit aż do śmierci, jeśli uczyni jej łaskę i pozwoli dotrzeć do Rzymu, by ujrzeć papieża, a teraz uznała, że modlitwy jej już zostały wysłuchane. Po mszy zapaliła świecę Duchowi Świętemu za odwagę, jaką ją natchnął, żeby mogła przetrwać karaibskie sztormy, i odmówiła modlitwę za każde z dziewięciorga dzieci i czternaściorga wnuków w tej właśnie chwili śniących w wietrzną noc o babci. Kiedy po śniadaniu wyszła na pokład, statek żył już innym życiem. Wszystkie bagaże zostały złożone w sali dancingowej wśród przeróżnych pamiątek z podróży, zakupionych przez Włochów na antylskich targowiskach magii, a na kontuarze kantyny stała metalowa, ozdobna klatka z małpką z Paramaribo. Był promienny poranek pierwszych dni sierpnia. Typowa niedziela dla tych powojennych lat, kiedy światło stawało się powszednim objawieniem, a ogromny statek, posapując chorowicie, sunął z wolna przez przejrzyste wody. Ponura forteca książąt Anjou ledwie zaczynała wyłaniać się na horyzoncie, ale pasażerom wypatrującym lądu zdawało się, że już rozpoznają swoje rodzinne strony, i choć niezbyt pewni, czy rzeczywiście cokolwiek dostrzegają, pokazywali je sobie, wydając okrzyki radości w swoich południowych dialektach.

Pani Prudencia Linero, która w czasie podróży zawarła tyle zażyłych przyjaźni i opiekowała się dziećmi, gdy ich rodzice ruszali w tany, i nawet pierwszemu oficerowi przyszyła guzik do galowego munduru, nagle spostrzegła, że wszyscy ci ludzie w jednej chwili stali się obcy i dalecy. Towarzyskie usposobienie i ludzkie ciepło, dzięki którym udało jej się przeżyć pierwsze nostalgiczne w senności tropiku, zniknęły bez śladu. Dozgonne miłości rozkwitłe na pełnym morzu kończyły się u wejścia do portu. Pani Prudencia Linero, nie obznajomiona z kapryśnym charakterem Włochów, pomyślała, że przyczyna zła tkwi nie w sercach innych, lecz w jej własnym sercu, bo w powracających do kraju tłumach była jedyną samotną pasażerką. Pewnie takie są wszystkie podróże, pomyślała, przyglądając się szczątkom tylu obumarłych światów na dnie, i po raz pierwszy w życiu poczuła, jak gorzko jest być obcym. Nagle przestraszyła ją stojąca obok niej prześliczna dziewczyna, krzycząc z przerażenia.

- Mamma mia! - wrzasnęła wskazując na dno. - Patrzcie tam!

Były to zwłoki topielca. Pani Prudencia Linero zobaczyła, że tuż pod powierzchnią wody unosi się na plecach ciało starszego już i łysego mężczyzny z dziwnym wyrazem wrodzonej wyniosłości na twarzy, a jego otwarte

i wesołe oczy miały ten sam kolor co niebo o świcie. Ubrany był w nienaganny strój wizytowy z brokatową kamizelką, na nogach miał lakierki, a w butonierce świeżą gardenię. W prawej dłoni trzymał pakuneczek wytwornie

owinięty w ozdobny papier, a sine jak stal palce zaciskały się na kokardzie wstążki, jedynej rzeczy, jakiej mógł się uchwycić w chwili śmierci.

- Pewnie wypadł za burtę - powiedział jeden z oficerów. - Na tych wodach latem zdarza się to bardzo często. Było to chwilowe zajście, bo już wpływali na wody zatoki i inne, mniej ponure sprawy, zaprzętnęły uwagę pasażerów. Ale pani Prudencia Linero wciąż myślała o topielcu, tym biednym topielcu i jego fraku falującym w kilwaterze statku.

Gdy transatlantyk znalazł się w zatoce, wypłynął mu na spotkanie mocno zdezelowany holownik, by przeprowadzić go między dziesiątkami wraków okrętów zatopionych w czasie wojny. W miarę jak statek przebijał się poprzez zardzewiałe szczątki, coraz większy kożuch oleju pokrywał wodę, a skwar zaczynał dokuczać bardziej niż upał w Riohacha o drugiej po południu. Po przeciwległej stronie przesmyku, rozświetlone słońcem godziny jedenastej, objawiło się nagle całe miasto fantastycznych pałaców i starych kolorowych domków stłoczonych na wzgórzach. Z dna zmaconych wód uniósł się wówczas fetor nie do wytrzymania, który pani Prudencia Linero rozpoznała jako smród krabów gnijących na patio jej domu.

Podczas manewru podejścia pasażerowie rozpoznawali swoich bliskich radośnie wymachujących rękami w tłumie na nabrzeżu. Większość oczekujących stanowiły jesienne, olśniewająco piersiaste matrony, duszące się w żałobnych strojach, w towarzystwie najpiękniejszych i najliczniejszych na świecie dzieciaków i mężów, drobnych i skrzących, z nieśmiertelnego gatunku tych, co to sięgają po gazetę dopiero po przeczytaniu jej przez żonę i ubierają się w przepisowe garnitunki kancelistów mimo morderczego upału.

Pośród tej jarmarcznej wrzawy bardzo stary mężczyzna o beznadziejnie smutnym wyglądzie, w żebraczym płaszczu, wyciągał z obu kieszeni pełne garście małych piskląt.

W okamgnieniu wypełniły całe nabrzeże, wszędzie popiskując jak szalone, i wyłącznie dlatego, że były magicznymi stworzonkami, wiele z nich ciągle biegało mimo zadeptywania ich przez tłumy obojętne na cud. Magik położył

swój kapelusz na ziemi, ale nikt nie rzucił mu z pokładu choćby grosika miłosierdzia.

Zafascynowana cudownym widowiskiem odgrywanym jakby na jej cześć, bo tylko ona przyglądała mu się z wdzięcznością, pani Prudencia Linero nie zauważyła, kiedy przystawiono trap i ludzka lawina zalała statek z wraskiem i impetem pirackiego abordażu. Oszołomiona tak ogromną radością i zatęchłym fetorem cebuli bijącym od tyłu rodzin tłoczących się w letnim skwarze, potrącana przez ekipy tragarzy wyrywających sobie bagaże, poczuła, że grozi jej taka sama mało chwalebna śmierć, jaka spotkała pisklęta z portowego nabrzeża. Przywarowała wówczas na swoim drewnianym, okowanym mosiądzem kufrze i siedząc tak kamieniem, odmawiała w kółko modlitwy

chroniące przed wszelakimi niebezpieczeństwami i odpędzające pokusy czyhające na ziemi niewiernych. Tam natknął się na nią pierwszy oficer, już po przejściu nawałnicy, gdy w opustoszałym salonie nie było poza nią żywego ducha.

- O tej porze nikt nie powinien już tu przebywać - powiedział oficer dość grzecznie. - Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Mam tutaj czekać na konsula - powiedziała.

Nie inaczej. Dwa dni przed odpłynięciem statku najstarszy syn pani Prudencii Linero posłał do konsula w Neapolu i zarazem swego przyjaciela telegram, w którym prosił go, by czekał na nią w porcie i pomógł jej załatwić wszystkie formalności niezbędne dla jej dalszej podróży do Rzymu. Podał mu nazwę statku, godzinę przybycia, zaznaczając ponadto, że może ją rozpoznać po franciszkańskim habicie, który przywdzieje, schodząc na ląd. Tak stanowczo obstawała przy swoim, że w rezultacie oficer pozwolił jej zostać czas jakiś i czekać, mimo iż zbliżała się już pora posiłku dla załogi, na stołach ustawiono

krzesła do góry nogami i zmywano podłogi, wylewając na nie wiadra wody. Musieli wielokrotnie przesuwac kufer, żeby go nie zmoczyć, ale ona najspokojniej w świecie, nie przerywając swoich modlitw, szła za kufrem i znów siadała, dopóki nie została całkiem wyprowadzona stamtąd

i nie znalazła się razem ze swoim kufrem w pełnym słońcu między szalupami ratunkowymi. Właśnie tam, tuż przed drugą, ponownie natknął się na nią pierwszy oficer, jak złana potem w swym pątnicznym skafandrze odmawiała różaniec bez żadnej nadziei, bo była przerażona, smutna i ledwie powstrzymywała łzy.

- Nie ma co się dalej modlić - powiedział oficer, już nie tak grzeczny jak za pierwszym razem. - Nawet Bóg w sierpniu wyjeżdża na urlop.

Wy tłumaczył jej, że połowa Włoch w tym okresie wyleguje się na plaży, a szczególnie w niedziele. Możliwe, że konsul ze względu na charakter swej pracy nie przebywa na wakacjach, ale na pewno jego biuro aż do poniedziałku jest nieczynne. Najrozsądniej będzie udać się do hotelu, odpocząć przez tę noc, a następnego dnia zadzwonić do konsulatu, którego numer na pewno jest w książce telefonicznej. Chcąc nie chcąc, pani Prudencia Linero musiała przyznać mu rację, oficer pomógł jej więc załatwić wszystkie formalności imigracyjne i celne, pomógł również wymienić pieniądze i odprowadził do taksówki, wydając kierowcy dość mgliste polecenie, by zawiózł ją do przyzwoitego hotelu.

Mocno sfatygowana taksówka, która, sądząc po zachowanych śladach, kiedyś była karawanem, rzucając i podskakując jechała po opustoszałych ulicach. Pani Prudencia Linero przez chwilę pomyślała, że taksówkarz i ona są jedynymi żywymi istotami w mieście pełnym zjaw wiszących na drutach przeciągniętych nad ulicami, ale pomyślała zarazem, że człowiekowi, który tyle i z takim przejęciem gada, nie starczy czasu, żeby skrzywdzić biedną,

samotną kobietę, która ruszyła w niebezpieczną podróż przez ocean, by zobaczyć papieża.

Gdy opuścili labirynt ulic, znowu widać było morze. Taksówka, wciąż podskakując, przejechała wzdłuż rozpalonej i bezludnej plaży, przy której stało mnóstwo małych hotelików pomalowanych na intensywne kolory. Nie zatrzymała się przy żadnym z nich, lecz pojechała prosto pod najmniej okazały, usytuowany w parku z olbrzymimi palmami i zielonymi ławkami. Taksówkarz postawił kufer na ocienionym chodniku i dostrzegłszy wahanie pani

Prudencii Linero, zapewnił ją, że to najporządniejszy hotel w Neapolu.

Urodziwy i miły bagażowy zarzucił sobie kufer na plecy i zajął się nią. Zaprowadził do windy o metalowych prętach dobudowanej we wnęce schodów i zaczął śpiewać jedną z arii Pucciniego, pełnym głosem i z niepokojącą determinacją. Budynek był sędziwym gmachem o dziewięciu odrestaurowanych piętrach, a na każdym z nich był osobny hotel. Pani Prudencia Linero doznała nagle chwilowego snu na jawie, gdy uwięziona w klatce dla kur, nieznośnie wolno unoszącej się środkiem schodów z litych marmurów, zaskakiwała w mieszkaniach ludzi dręczonych najintymniejszymi wątpliwościami, w dziurawych gaciach, z palącą ich zgałą. Na trzecim piętrze

winda zatrzymała się, podskoczywszy nieco, a bagażowy natychmiast przestał śpiewać, otworzył drzwiczki z ruchomych rombów i w szarmanckim ukłonie dał pani Prudencii Linero do zrozumienia, że jest u siebie.

W hallu pełnym rzucających cień roślin w miedzianych donicach zobaczyła cherlawego młodzieńca stojącego za drewnianym kontuarem z inkrustacjami z barwnego szkła. Chłopiec natychmiast przypadł jej do gustu, bo miał takie same loczki cherubina jak jej najmłodszy

wnuk. Przypadła jej do gustu nazwa hotelu wygrawerowana dużymi literami na tablicy z brązu, przypadł jej do

gustu zapach karbolu, przypadły jej do gustu wiszące paprocie, cisza, złote lilie na tapecie pokrywającej ściany.

Wobec tego postąpiła krok przed windę i serce jej zmartwiało. W długim rzędzie ustawionych w poczekalni foteli

drzemała grupa angielskich turystów w krótkich spodenkach i plażowych sandałach. Było ich siedemnastu, siedzieli równo i tak symetrycznie, jakby byli jednym ciałem wielokrotnie odbitym w lustrzanej galerii. Pani Prudencia Linero ogarnęła ich wzrokiem, nie odróżniając

żadnego od pozostałych, i jedyną rzeczą, która wywarła

na niej wrażenie, był długi rząd zaróżowionych kolan, wyglądających jak świńskie ryje wiszące na rzeźniczych hakach. Zamiast wykonać następny krok, natychmiast cofnęła się, przerażona, do windy.

- Jedziemy na inne piętro - powiedziała.

- To jest jedyny hotel z restauracją, signora - powiedział bagażowy.

- Nie szkodzi - powiedziała.

Bagażowy przytaknął z rezygnacją, zamknął windę

i dośpiewując końcowy fragment arii, wjechał do hotelu

na piątym piętrze. Tam wszystko wyglądało mniej wykwintnie, a właścicielka była niestara jeszcze,

prostoduszną matroną mówiącą prostą hiszpańszczyzną i nikt

nie odsypiał sjesty na fotelach w hallu. Rzeczywiście nie

było tu jadalni, ale hotel miał umowę z pobliską restauracją, która obsługiwała jego klientów po specjalnych

cenach. Pani Prudencia Linero postanowiła więc, że tak, że

zostanie tu na jedną noc, ostatecznie przekonana tak elokwencją sympatycznej właścicielki, jak i ulgą, jaką

przyniósł jej brak jakiegokolwiek Anglika o zaróżowionych

kolanach śpiącego w hallu.

W sypialni żaluzje były spuszczone i mimo drugiej po

południu mrok zachował chłód i ciszę ustronnego zagajnika i znakomicie nadawał się do płaczu. Pani

Prudencia

Linero, ledwie została sama, zamknęła drzwi na obie zasuwki i po raz pierwszy od rana wysiusiała się

cieniutką

i mozołną strużką, co pozwoliło jej wreszcie przyjść do

siebie po podróży. Następnie zdjęła sandały i sznur i położyła się na boku od serca na łożu małżeńskim zbyt

szerokim i zbyt pustym dla niej samej i rozplynęła się w kolejnym strumieniu, tym razem dając wreszcie upust

długo powstrzymywanym łzom.

Nie dość, że w ogóle wyjechała z Riohacha po raz pierwszy, ale był to również jeden z jej rzadkich wypadów z domu, bo w ogóle nieczęsto go już opuszczała, gdy dzieci po

swych ożenkach odeszły od niej, a ona została sama z dwiema bosonogimi Indiankami, by opiekować się

pozbawionym czucia ciałem swego męża. Połowa życia upłynęła jej

w sypialni obok pogorzeliśka pozostałego z jedynego mężczyzny, jakiego kochała i który niemal trzydzieści

lat przeleżał w letargu na materacu z kozich skór w łożku swych

młodzieńczych miłości.

W październiku zeszłego roku chory otworzył oczy w nagłym przeblysku świadomości, rozpoznał

najbliższych i poprosił, żeby wezwali fotografa. Sprowadzili staruszka z parku z olbrzymim aparatem z

miechem, z czarnym rękawem

i talerzem z magnezją do zdjęć we wnętrzach. Chory osobiście kierował zdjęciami. "Jedno dla Prudencii, za

miłość

i szczęście, jakimi obdarzyła mnie w życiu", powiedział.

Udało im się za pierwszym błyskiem magnezji. "I jeszcze

dwa zdjęcia dla moich ukochanych córek, Prudencity i Natalii", powiedział. Zrobili następne dwa. "I dwa dla moich obu synów, rodzinnych wzorów czułości i rozsądku", powiedział. I tak po kolei, dopóki nie skończyły się klisze i fotograf nie musiał udać się do domu po brakujące materiały.

O czwartej po południu, kiedy w sypialni nie sposób już było wytrzymać od dymu z magnezji i gwaru krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy zjawili się, żeby otrzymać swoje zdjęcia, chory zaczął gwałtownie słabnąć i pożegnał się ze wszystkimi gestem dłoni, jakby znikał w dali, odpływie ze świata przy balustradzie statku.

Jego śmierć, wbrew oczekiwaniom wszystkich, nie przyniosła wdowie żadnej ulgi. Wprost przeciwnie, była tak przygnębiona, że dzieci zebrały się, żeby zapytać, jak można jej pomóc, a ona odpowiedziała, że jedyne, czego chce, to pojechać do Rzymu, żeby zobaczyć papieża.

- Pojadę sama i w habicie świętego Franciszka - uprzedziła ich. - Tak ślubowałam.

Jedyną miłą rzeczą, jaka jej została po tylu latach czuwania przy chorym, była przyjemność płakania. Na statku, gdzie musiała dzielić kajutę z dwiema klaryskami, które wysiadły w Marsylii, przesiadywała jak najdłużej w łazience, żeby popłakać sobie na osobności. Pokój w neapolitańskim hotelu był więc jedynym od chwili opuszczenia Riohacha odpowiednim miejscem, jakie znalazła, by napłakać się do woli. I płakałyby do następnego dnia, do odjazdu pociągu do Rzymu, gdyby o siódmej właścicielka nie zapukała do drzwi, by przestrzec ją, że jeśli się nie pośpieszy, zamkną restaurację i zostanie bez Kolacji.

Pracownik hotelu zaprowadził ją. Od morza powiała świeża bryza, na plaży została jeszcze garstka plażowiczów kąpiących się w promieniach bladego przedwieczornego słońca. Pani Prudencia Linero szła za pracownikiem hotelu stromymi i wąskimi uliczkami, które dopiero co budziły się z niedzielnej sjesty, i nagle znalazła się pod cienistą pergolą, gdzie ustawiono stoły pokryte obrusami w czerwoną kratkę, na nich zaś słoiki po marynatach przerobione na wazoniki z papierowymi Kwiatami. Jedynymi biesiadnikami o tak wczesnej porze byli sami pracownicy i ubożuchny ksiądz, który w kąciku jadł cebulę z chlebem. Wchodząc, poczuła na sobie wzrok wszystkich z powodu burego habitu, nie spieszyła się tym jednak, w pełni świadoma, że śmieszność jest częścią pokuty. Za to kelnerka wzbudziła w niej odrobinę litości, bo była śliczna i miała blond włosy, i mówiła, jakby śpiewała, a pani Prudencia Linero pomyślała, że widać nie najlepiej dzieje się we Włoszech po wojnie, jeśli taka dziewczyna musi usługiwać w knajpie. Ale poczuła się dobrze w ukwieconej altanie, a dochodzący z kuchni zapach liści laurowych pobudził jej apetyt tłumiony dotąd przez perypetie dnia. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie zbierało jej się na płacz.

A jednak jedzenie nie sprawiło jej przyjemności. Po części dlatego, że dogadanie się z jasnowłosą kelnerką sporo ją kosztowało, mimo że dziewczyna była sympatyczna i cierpliwa, a po części dlatego, że jedynym serwowanym tu mięsem były śpiewające ptaszki, takie same, jakie w Riohacha hodowano w mieszkaniach. Spożywający w kąciku swój posiłek ksiądz, który w rezultacie służył obu kobietom za tłumacza, usiłował ją przekonać, że wojenne niedogodności jeszcze się w Europie nie skończyły i że za cud niemal należy uznać, że do jedzenia są przynajmniej leśne ptaszki. Ale pani Prudencia Linero odmówiła ich skosztowania.

- Czułabym się - powiedziała - jakbym zjadła własne dziecko.

Musiała więc zadowolić się zupą z drobnym makaronem, potrawą z gotowanych cukinii z plasterkami zjełczałej słoniny i twardą jak kamień kromką chleba. Już jadła, gdy przysiadł się do niej ksiądz, błagając o okazanie miłosierdzia i zaproszenie na filiżankę kawy. Pochodził z Jugosławii, ale był misjonarzem w Boliwii i mówił trudno zrozumiałą, choć nader wyrazistą hiszpańszczyzną.

Pani Prudencii Linero wydał się prostakiem pozbawionym jakichkolwiek oznak wyrozumiałości, zauważyła, że

ma niegodziwe ręce, połamane i brudne paznokcie, i oddech tak mocno przesiąknięty cebulą, że wydawał się raczej trwałą cechą charakteru niż zwykłym odorem. Ale

niezależnie od wszystkiego był to sługa boży, a i spotkanie, tak daleko od domu, kogoś, z kim można było się porozumieć, należało do przyjemnych niespodzianek.

Rozmawiali powoli, obojętni wobec gęstniejącej wokół

nich wrzawy, w miarę jak sąsiednie stoliki zajmowali napływający wciąż goście. Pani Prudencia Linero miała już

wyrobiony sąd o Włoszech: nie podobały jej się. I nie dlatego, że mężczyźni zachowywali się trochę bezczelnie,

a to już było dużo, i nawet nie dlatego, że jedli ptaki, co

już było dużo za dużo, ale za paskudny nawyk zostawiania topielców na łasce prądów morskich.

Ksiądz, który oprócz kawy kazał sobie również podać

na jej koszt kieliszek grappy, usiłował wykazać powierzchowność jej osądu. Podczas wojny powołano nader skuteczną służbę, mającą na celu wyławianie, identyfikowanie i grzebanie w poświęconej ziemi

niewyobrażalnej

liczby topielców, pojawiających się każdego ranka na wodach zatoki neapolitańskiej.

- Wieki temu - podsumował ksiądz - Włosi uzmysłowili sobie, że życie mamy tylko jedno, i próbują przeżyć je,

jak tylko potrafią najlepiej. To uczyniło z nich ludzi wyrachowanych i niestałych, ale zarazem wyleczyło z okrucieństwa.

- Nawet statku nie zatrzymali - odpowiedziała.

- Informują o tym przez radio władze portowe - powiedział ksiądz. - O tej porze niewątpliwie został już wyłowiony i pogrzebany w imię Boże.

Ta dyskusja obojgu odmieniła humor. Pani Prudencia

Linero skończyła jeść i dopiero wówczas dostrzegła, że

wszystkie miejsca są zajęte. Przy sąsiednich stolikach

siedzieli, jedząc w milczeniu, półnaczy turyści, a wśród

nich kilka zakochanych par, które całowały się miast

jeść. Przy stolikach ustawionych w głębi, w pobliżu kontuaru, tłoczyli się mieszkańcy dzielnicy, grając w kości i pijąc bezbarwne wino. Pani Prudencia Linero zrozumiała, że istnieje tylko jeden powód, dla którego znajduje się

w tym niechcianym kraju.

- Myśli ksiądz, że bardzo trudno jest zobaczyć papieża? - zapytała.

Ksiądz odpowiedział, że latem nie ma nic łatwiejszego.

Papież spędza wakacje w Castelgandolfo i w środy po południu przyjmuje pielgrzymów z całego świata na audiencji publicznej. Wstęp jest bardzo tani: dwadzieścia lirów.

- A ile bierze za spowiedź? - spytała.

- Ojciec Święty nikogo nie spowiada - powiedział

ksiądz nieco oburzony - poza królami oczywiście.

- A czemuż to miałby odmówić biednej kobiecie, która przybywa z tak daleka - powiedziała.

- Nawet niektórzy królowie, będąc królami, umarli, nie doczekawszy się - powiedział ksiądz. - Proszę mi jednak

powiedzieć: straszny grzech musi mieć pani na sumieniu, skoro sama wybrała się w taką podróż tylko po to, żeby

wyspowiadać się Ojcu Świętemu.



Pani Prudencia Linero zastanawiała się przez chwilę i ksiądz po raz pierwszy zobaczył, jak się uśmiecha.

- Matko Przenajświętsza! - powiedziała. - Wystarczyłoby mi go zobaczyć. - I dodała, westchnąwszy z głębi duszy: - To największe marzenie mojego życia!

W rzeczywistości nadal była przestraszona i smutna

i pragnęła jedynie opuścić natychmiast nie tylko to miejsce, ale i w ogóle Włochy. Ksiądz pomyślał pewnie, że z tej

nawiedzanej baby większego pożytku już miał nie będzie,

życzył jej więc szczęścia i przeniósł się do innego stolika,

by błagać o okazanie mu miłosierdzia i następną kawę.

132

Kiedy pani Prudencia Linero wyszła z restauracji,

ujrzała zupełnie inne miasto. Zaskoczyło ją światło słoneczne o dziewiątej wieczorem i przeraził wrzaskliwy

tłum, który wyległ na ulice, poczuwszy świeżą bryzę. Nie

dawało się żyć w kanonadzie mnóstwa szalejących skuterów. Prowadzili je mężczyźni bez koszul, wioząc z

tyłu

swoje piękne, obejmujące ich w pasie kobiety i przemykając się to gwałtownym skokiem, to wężowym

ślizgiem

między wiszącymi świniami i straganami arbuzów.

Choć atmosfera była świąteczna, pani Prudencii Linero

wydawało się, że przeżywa katastrofę. Straciła orientację.

Nagle znalazła się na nieodpowiedniej ulicy z kobietami

siedzącymi melancholijnie na progach swych identycznych domów, których czerwone, migające światła

przyprawiły ją o dreszcze przerażenia. Przyzwoicie ubrany

mężczyzna, z ciężkim sygnetem ze złota i z diamentem

w krawacie, ruszył za nią, by towarzysząc jej krok w krok

przez parę przecznic, mówić coś do niej w pierw po włosku, a później po angielsku i francusku. Nie

otrzymawszy

żadnej odpowiedzi, pokazał jej pocztówkę ze sporej talii

widokówek wyciągniętych z kieszeni, a jej wystarczył

rzut oka, żeby poczuć, że idzie samym środkiem piekła.

Uciekła przerażona i dopiero, gdy u wylotu ulicy znów

odnalazła zmierzające morze z tym samym co i w porcie

Riohacha fetorem zgniłych skorupiaków, serce wróciło jej

na miejsce. Rozpoznała kolorowe hotele przy bezludnej

plaży, karawaniarskie taksówki, diament pierwszej gwiazdy na bezkresnym niebie. W głębi zatoki dostrzegła

osamotniony statek przy nabrzeżu, ten sam, którym przyплыnęła, ogromny, z oświetlonym pokładem, i zdała

sobie

sprawę, że nie ma on już nic wspólnego z jej życiem.

W tym właśnie miejscu skręciła w lewo, ale dalej nie mogła postąpić już ani kroku, bo natrafiła na tłum gapiów

powstrzymywany przez patrol karabinierów. Przy drzwiach

do budynku jej hotelu stał rząd otwartych karetek.

Wyciągając głowę ponad ciekawskich, pani Prudencia

Linero ponownie ujrzała angielskich turystów. Wynoszono ich, jednego po drugim, na noszach i wszyscy byli

nieruchomi i dostojni, i wciąż wyglądali jak jeden, tylko wielokrotnie powtórzony, tym razem w

wieczorowych

garniturach, które włożyli na kolację: flanelowe spodnie,

krawaty w skośne paski i ciemne marynarki z herbem

Trinity College wyhaftowanym na kieszonce. Przyglądający się z balkonów sąsiedzi i gapie stłoczeni na ulicy

liczyli wynoszonych Anglików na cały głos niczym kibice

na stadionie. Było ich siedemnastu. Załadowano ich po

dwóch do karetek i odwieziono na wyjących sygnałach.

Oszołomiona tyloma wrażeniami, pani Prudencia Linero weszła do windy wypełnionej rozmawiającymi w

dziwnych językach gośćmi innych hoteli. Wychodzili na kolejnych piętrach, poza trzecim, otwartym i

całkowicie

oświetlonym, ale za kontuarem nie było tam nikogo i nikogo nie było w poczekalniach fotelach, gdzie nie tak

dawno widziała zaróżowione kolana siedemnastu śpiących Anglików. Właścicielka piątego piętra, nie panując nad własnym podnieceniem, komentowała nieszczęście.

- Wszyscy nie żyją - powiedziała pani Prudencii Linero

po hiszpańsku. - Zatruli się zupą z ostryg podaną na kolację. Ostrygi! W sierpniu! Wyobraża sobie pani?

Podawała jej klucze, nie zwracając już na nią uwagi, podczas gdy innym klientom tłumaczyła w swoim dialekcie:

"Na szczęście tu nie ma jadalni, więc wszyscy, którzy kładą się spać, budzą się cali i zdrowi!". Pani Prudencia

Linero, znów czując napływające jej do gardła łzy, zamknęła za sobą drzwi na zasuwki. Potem zastawiła drzwi stolikiem i fotelem, na koniec zaś własnym kufrem, odgradzając się niczym barykadą nie do zdobycia od tego straszego kraju, gdzie zdarzało się tyle rzeczy naraz. Następnie

włożyła wdowią koszulę nocną, położyła się na wznak na

łóżku i odmówiła siedemnaście różańców za wieczny odpoczynek dusz siedemnastu zatrutych Anglików.

Kwiecień 1980

Tramontana

Widziałem go tylko raz, w "Boccaccio", modnym wówczas kabarecie Barcelony, na kilka godzin przed jego

marną śmiercią. Osaczała go grupka młodych Szwedów,

usiłujących o drugiej nad ranem porwać go do Cadaques,

by tam kontynuować zabawę. Zebrało się ich jedenaścioro i nie sposób było odróżnić jednego od drugiego, bo wszyscy, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, wydawali się

identyczni: piękni, o wąskich biodrach i długich złotych

włosach. On nie miał chyba więcej niż dwadzieścia lat.

Głowę pokrytą miał błyszczącymi od brylantyny kędziorami, oliwkową i gładką cerę mieszkańców Karaibów

nauczonych przez mamusię chodzić cały czas w cieniu, i arabskie spojrzenie jakby specjalnie na zatracenie

Szwedek

i pewnie niejednego Szweda. Posadzili go na barze jak

kukłę brzuchomówcy i śpiewając, i klaszcząc w rytm najnowszych przebojów, usiłowali go namówić, by

przyłączył

się do nich. Zahukany i przerażony próbował wyjaśnić im

swoje racje. Ktoś krzyknął, żeby zostawili chłopaka w spokoju, ale jeden ze Szwedów, zaśmiewając się,

odwrzasnął:

- Jest nasz! Znaleźliśmy go w śmietniku!

Zaszedłem tam parę minut wcześniej z grupką przyjaciół po ostatnim koncercie, jaki dał Dawid Ojstrach w

Palau de la Musica, i włosy mi się zjeżyły na widok niedowierzających chłopakowi Szwedów. Miał on bowiem

swoje racje i były to racje święte. W Cadaques mieszkał do

zeszłego lata, zatrudniony w modnej knajpce jako wykonawca antylnskich piosenek, dopóki nie pokonała go

tramontana. Zdołał uciec drugiego dnia wichury, zdecydowany nigdy już tam nie wracać, czy tramontana

będzie

wiać czy nie będzie, przeświadczony, że powrót oznacza

dla niego śmierć. Była to iście karaibska pewność, zupełnie niepojęta dla tej bandy skandynawskich

racjonalistów, rozochoconych latem i mocnymi wtenczas winami

katalońskimi, które siały w sercach zamęt i podsuwały

najdziwsze pomysły.

Rozumiałem go jak mało kto. Cadaques było jednym

z najpiękniejszych i najlepiej zachowanych miasteczek

na Costa Brava. Swój urok po części zawdzięczało prowadzącej tam skrajem bezdennej przepaści wąskiej i

krętej

drozdze, gdzie trzeba było mieć nerwy jak postronki, żeby

prowadzić samochód z prędkością ponad pięćdziesięciu

kilometrów na godzinę. Domy stojące tam od niepamiętnych czasów były białe, niziutkie, w tradycyjnym

stylu

śródziemnomorskich osad rybackich. Nowe zaś zostały

zaprojektowane przez uznanych architektów, którzy zachowali oryginalną harmonię. Latem, kiedy żar zdawał

się przychodzić z afrykańskiej pustyni, znajdującej się niemal po drugiej stronie ulicy, Cadaques przeistaczało się w piekielną wieżę Babel, pełną turystów z całej Europy, przez trzy miesiące toczących bój o ten raj tak z miejscowymi, jak i z przyjezdnymi, którzy mieli szczęście kupić tu tanio dom, kiedy było to jeszcze możliwe. Mimo to zarówno wiosną, jak i jesienią, a więc wtedy, kiedy Cadaques stawało się przytulniejsze, wszyscy z przerażeniem myśleli o tramontanie, bezlitosnym, dokuczliwym, wiejącym z głębi lądu wietrze, który w przekonaniu tutejszych mieszkańców i niektórych pisarzy, nauczonych przykrym doświadczeniem, rozsiewa ziarna szaleństwa.

Jakieś piętnaście lat temu należałem do najczęstszych gości w Cadaques, dopóki w nasze życie nie wtargnęła tramontana. Poczulem ją, zanim jeszcze nadeszła, w niedzielę podczas sjesty, doznając niewytłumaczalnego przeczucia, że coś się stanie. Popadłem w przygnębienie, zmarkotniałem ni stąd, ni zowąd, odnosząc zarazem wrażenie, że moi synowie, z których starszy nie miał wówczas jeszcze dziesięciu lat, wodzą za mną zbójckim wzrokiem.

Po chwili zjawiał się dozorca, niosąc skrzynkę z narzędziami i liny żeglarskie, żeby zabezpieczyć drzwi i okna. Moje kiepskie samopoczucie wcale go nie zdziwiło.

- To tramontana - powiedział. - Za niecałą godzinę już tu będzie.

Był to stary wilk morski, któremu z lat pracy została jeszcze góra sztormiaka, czapka, fajka i skóra wyżarta przez sól mórz całego świata. W wolnych chwilach grał na placu w kule z weteranami wielu przegranych wojen i pił aperitify z turystami w przybrzeżnych tawernach, posiadał bowiem tę zaletę, iż jego artyleryjski kataloński zrozumiał był w każdym języku. Z dumą powtarzał, że zwiedził wszystkie porty na naszej planecie, ale nigdy nie był w żadnym mieście położonym w głębi lądu. "Nawet w Paryżu, we Francji, a przecież Paryż, wiadomo", mówił. Nie dowierzał bowiem żadnemu środkowi transportu, który nie poruszałby się po morzu.

W ostatnich latach postarzał się gwałtownie i nie wychodził już z domu. Większość czasu spędzał w swojej stróżówce, sam jak palec, tak jak żył zawsze. Gotował sobie w puszcze na maszynie spirytusowej, ale wystarczało mu to całkowicie, żeby jeszcze i nas wszystkich raczyć wspaniałościami znakomitej kuchni. Od świtu zajmował się gośćmi, pokój po pokoju, i był jednym z najbardziej uczynnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem, obdarzonym typową dla Katalończyków naturalną szczodrością i szorstką delikatnością. Mówił mało, za to bezpośrednio i celnie. Kiedy nie miał już nic do roboty, godzinami wypełniał kupony totalizatora piłkarskiego, które bardzo rzadko wysyłał.

Tego dnia, wzmocniwszy drzwi i okna przed oczekiwaną katastrofą, opowiadał nam o tramontanie jak o paskudnej babie, bez której jednak jego życie pozbawione byłoby sensu. Zaskoczyło mnie, że człowiek morza oddaje podobne hołdy wiatrowi wiejącemu z głębi lądu.

- Bo ten jest o wiele starszy - odparł.

Sprawił wrażenie, że nie dzielił roku na dni i miesiące, ale na pory, kiedy wiała tramontana. "W zeszłym roku, jakieś trzy dni po drugiej tramontanie, miałem atak kolki", powiedział mi kiedyś. Być może to tłumaczyło jego przeświadczenie, że po każdym przejściu tramontany człowiek starzeje się o kilka lat. Jego obsesja była tak zaraźliwa, że w końcu i nas zaczęło korcić, by poznać

ową śmiercionośną, ale zarazem i oczekiwaną jak gość, wicher.

Nie musieliśmy długo czekać. Ledwie dozorca wyszedł, rozległ się gwizd, który stawał się coraz bardziej przejmujący, coraz silniejszy, wreszcie zaginął w grzmocie podobnym trzęsieniu ziemi. Wtedy zaczęło wiać. Najpierw pojedynczymi podmuchami spadającymi coraz częściej, aż stężyły w jedno uderzenie, trwające bez chwili przerwy, bez wytchnienia, z taką siłą i takim okrucieństwem, iż zdawało się czymś nadprzyrodzonym. Okna naszego apartamentu, odwrotnie niż jest to w zwyczaju na Karaibach, wychodziły na góry, co być może wynika z owych specyficznych gustów staroświeckich Katalończyków, którzy kochają morze, ale nie chcą na nie patrzeć. Wiatr walił więc prosto w nasz dom, co groziło wysadzeniem okien z framug.

Moją uwagę najbardziej przykuła utrzymująca się nadal wyjątkowo piękna pogoda, wciąż świeciło złote słońce, a niebo było nieustraszenie bezchmurne. Do tego stopnia, że postanowiłem wyjść z dziećmi na ulicę, żeby popatrzeć, w jakim stanie jest teraz morze. Wychowali się, jak by nie było, wśród trzęsień ziemi w Meksyku i karaibskich huraganów, i jeden wiatr mniej czy więcej nie wydawał się nam niczym takim znów nadzwyczajnym, żeby od razu się przejmować. Na paluszkach przeszliśmy przez kłitkę dozorca i zobaczyliśmy go, jak siedząc nieruchomo nad talerzem fasoli z paprykowaną kiełbasą, obserwował wiatr przez okno. Nie zauważył, jak wychodziliśmy. Tak długo, jak osłaniał nas budynek, mogliśmy jeszcze iść, ale po wyjściu z za rogu musieliśmy uczeplić się latarni, żeby nas wiatr nie porwał. I tak przyklejeni do słupa podziwialiśmy przezroczyste i nieruchome wśród kataklizmu morze, dopóki dozorca, wspomagany przez kilku sąsiadów, nie przybył nam z odsieczą. Dopiero wtedy przekonaliśmy się, że jedyną rozsądną rzeczą jest zamknięcie się w domu do czasu, aż Bóg raczy się zlitować. A nikt w tym momencie nie miał najmniejszego pojęcia, kiedy Bóg zlitować się raczy.

Po dwóch dniach odnosiliśmy wrażenie, że ów straszny wiatr nie jest zjawiskiem przyrodniczym, ale wyładowywaniem przez kogoś złości na niewinnym, całkowicie niewinnym człowieku. Dozorca przejęty stanem naszego ducha zaglądał do nas kilka razy dziennie, przynosząc owoce i ciastka dla chłopców. Na wtorkowy obiad obdarował nas przyrządzonym w swojej puszczy arcyspecjałem kuchni katalońskiej: królikiem ze ślimakami. Było to święto wśród grozy.

Środa, kiedy nic się poza wiatrem nie wydarzyło, była najdłuższym dniem w moim życiu. Ale musiało to być coś takiego jak ciemność tuż przed świtem, bo po północy wszyscy obudziliśmy się jednocześnie, przytłoczeni absolutną ciszą, która mogła być tylko ciszą śmierci. Na drzewach od strony gór nie drżał najmniejszy nawet liść. Wyszliśmy więc na ulicę, gdy w pokoju dozorca jeszcze nie paliło się światło, i zaczęliśmy rozkoszować się roziskrzonym wszystkim porannym niebem i połyskującym morzem. Mimo że nie było jeszcze piątej, wielu turystów zażywało już wytchnienia na kamienistej plaży, a żeglarze po trzech dniach przymusowej pokuty zaczęli taklować łodzie. Kiedy wychodziliśmy z domu, nie zwróciliśmy większej uwagi na to, że w stróżówce było ciemno. Ale gdy wróciliśmy, powietrze już skrzyło się tak samo jak morze, a kłitka nadal tonęła w ciemnościach.

Zdziwiony zapukałem dwa razy i nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnąłem drzwi. Wydaje mi się, że chłopcy zobaczyli go wcześniej i krzyknęli z przerażenia. Stary dozorca, z wpiętymi w klapę sztormiaka odznakami znakomitego żeglarza, wisiał na sznurze przywiązany do

belki stropowej, kołysząc się jeszcze od ostatniego poddmuchu tramontany.

Odzyskawszy siły, ale w nastrojach przedwczesnej nostalgii, wyjechaliśmy z miasteczka przed planowanym terminem z mocnym postanowieniem, że już nigdy tu nie wrócimy. Turyści znowu wylegli na ulice i znów rozbrzmiewała muzyka na placyku weteranów, którzy bez większej ochoty rozgrywali kolejne partie swojej gry w kule. Poprzez zakurzone szyby baru "Maritim" zdołaliśmy dostrzec paru ocalałych przyjaciół, którzy rozpoczynali życie od nowa w promiennej wiośnie tramontany.

Ale to wszystko należało już do przeszłości.

Dlatego o smutnym świcie w "Boccaccio" nikt tak jak ja nie rozumiał przerażenia kogoś, kto bronił się przed powrotem do Cadaques, bo był pewien, że tam umrze. Nie było jednak sposobu na Szwedów, którzy w końcu uprowadzili ze sobą chłopaka, iście po europejsku pewni, że wyleczą go z afrykańskich zabobonów, aplikując mu prawdziwie końską kurację. Pośród oklasków jednych i gwizdów innych gości wierzgającego nogami chłopaka wrzucili do mikrobusu pełnego pijaków i ruszyli w długą podróż do Cadaques.

Rano obudził mnie telefon. Wróciwszy z zabawy, zapomniałem zasłonić okna, sypialnia zalana była przepychem lata, ale nie miałem najmniejszego pojęcia, która to godzina. Przerażony głos w słuchawce, którego zrazu nie mogłem rozpoznać, natychmiast wybił mnie ze snu.

- Pamiętasz tego chłopaka, którego w nocy zabrali do Cadaques?

Nie musiałem słuchać dalej. Z tą tylko różnicą, że wszystko wydarzyło się nie tak, jak to sobie wyobrażałem, ale znacznie bardziej dramatycznie. Chłopak, przerażony coraz bliższym powrotem, skorzystał z nieuwagi zwariowanych Szwedów i rzucił się w przepaść z pędzącego samochodu, usiłując uciec przed nieuchronną śmiercią.

Styczeń 1982

Szczęśliwe lato pani Forbes

Gdy wróciliśmy po południu do domu, zobaczyliśmy ogromnego węża morskiego przybitego za szyję do futryny drzwi. Był czarny, lśniący i wyglądał jak cygańskie

czary, z jeszcze żywymi oczami i ostrymi zębami w rozwartych szczękach. Miałem wtedy jakieś dziewięć lat i ogarnął mnie taki strach na widok tej potwornej zjawy, że aż mi głos odebrało. A mój o dwa lata młodszy brat wypuścił z rąk butle tlenowe, maski i płetwy i uciekł, wrzeszcząc jak opętany. Pani Forbes usłyszała go, wchodząc po krętych, kamiennych schodach, które pięły się po skale od samej przystani aż do domu, i szybko dobiegła do nas, dysząca i sina, ale wystarczyło jej, że zobaczyła

zwierzę ukrzyżowane na drzwiach, żeby zrozumieć przyczynę naszego przerażenia. Zwykła mawiać, że kiedy dwoje dzieci przebywa razem, oboje odpowiedzialni są za to, co każde z nich robi osobno, najpierw więc zrugła nas za wrzaski mojego brata, a później obsztorcowała za brak opanowania. Gadała po niemiecku a nie po angielsku, wbrew ustalonym w jej kontrakcie guwernantki warunkom, pewnie dlatego że sama była przestraszona i nie chciała się do tego przyznać. Ale gdy tylko odzyskała oddech, wróciła do swojego szorstkiego angielskiego i do

swych pedagogicznych obsesji.

- To jest muraena helena - wyjaśniła nam - nazwana tak, ponieważ przez starożytnych Greków uważana była za zwierzę święte.

Orestes, miejscowy chłopak, który uczył nas nurkowania w głębokich wodach, pojawił się nagle zza krzewów kaparowych. Na czole miał maskę płetwonurka, krótkie spodnie kąpielowe i skórzany pas z sześcioma nożami o różnych kształtach i różnej wielkości, bo nie uznawał innego sposobu polowania pod wodą jak tylko w bezpośrednim starciu ze zwierzętami. Miał ze dwadzieścia lat,

więcej czasu spędzał w morskich głębinach niż na stałym lądzie i sam, z ciałem zawsze wysmarowanym olejem silnikowym, wyglądał raczej na morskiego stwora. Pani Forbes, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, powiedziała moim rodzicom, że trudno wyobrazić sobie piękniejszą

istotę ludzką. Uroda nie chroniła go jednak przed rygorami dyscypliny: Orestes również musiał wysłuchać reprimendy po włosku za to, że powiesił murenę na drzwiach,

tylko i wyłącznie po to, bo nie ma innego wytłumaczenia, żeby przestraszyć dzieci. Następnie pani Forbes zażądała, by zdjął murenę z szacunkiem należnym mitycznemu stworzeniu, a nam kazała przebrać się do kolacji.

Zrobiliśmy to najszybciej, jak mogliśmy, próbując nie popełnić najmniejszego błędu, bo po dwóch tygodniach rządów pani Forbes nauczyliśmy się, że nie ma nic trudniejszego od życia. Gdy braliśmy prysznic w mrocznej łazience, zdałem sobie sprawę, że mój brat ciągle myśli o murenie. "Miała ludzkie oczy", powiedział. Zgadzałem się, ale dałem mu do zrozumienia, że myślę zupełnie odwrotnie, i udało mi się zmienić temat już do końca kąpieli. Ale kiedy wyszedłem spod prysznica, poprosił mnie, żebym z nim został.

- Jeszcze jest widno - powiedziałem.

Rozsunąłem zasłony. Była pełnia sierpnia i przez okno widać było rozżarzoną księżycową równinę rozciągającą się po kraniec wyspy i znieruchomiałe na niebie słońce.

- Nie o to chodzi - powiedział mój brat. - Ale boję się, że się będę bać.

Ale kiedy usiedliśmy do stołu, wydawał się spokojny i robił wszystko tak starannie, że zasłużył na specjalną pochwałę od pani Forbes i na dwa kolejne punkty w tygodniowej ocenie dobrego zachowania. Mnie za to odliczyła dwa punkty z pięciu, które dotychczas zdobyłem, bo w ostatniej chwili zacząłem się spieszyć i wszedłem do jadalni zadyszany. Zdobycie pięćdziesięciu punktów dawało nam prawo do podwójnej porcji deseru, ale żaden

z nas nie zdołał przekroczyć piętnastu. Szkoda, naprawdę szkoda, bo już nigdy nie mieliśmy okazji jeść tak wspaniałych budyni, jak te, które robiła pani Forbes.

Przed kolacją odmawialiśmy na stojąco modlitwę przy pustych talerzach. Pani Forbes nie była katoliczką, ale jej kontrakt przewidywał, że w ramach swych obowiązków ma dopilnować, byśmy modlili się sześć razy dziennie, i nauczyła się naszych modlitw, żeby spełnić ten warunek. Potem

wszyscy troje siadaliśmy, a my wstrzymywaliśmy oddech, podczas gdy ona najdokładniej, jak mogła, obserwowała nasze zachowanie i dopiero wtedy, kiedy uznała, że wszystko jest w doskonałym porządku, potrząsała dzwoneczkiem.

Wówczas wchodziła Fulvia Flaminea, kucharka, z nieustającą tego obrzydliwego lata wazą zupy z makaronem.

Na początku, kiedy byliśmy sami z rodzicami, posiłki były świętem. Fulvia Flaminea, obdarzona niezwykłym darem wprowadzania zamętu, który jedynie rozweselał życie, podawała do stołu, cały czas trajkocąc, by wreszcie samej przysiąść się do nas i zacząć kosztować wszystkiego po trochu z każdego talerza. Ale od czasu, gdy pani Forbes przejęła nasz los w swoje ręce, Fulvia Flaminea podawała do stołu w milczeniu tak grobowym, że mogliśmy usłyszeć bulgot gotującej się w garnku zupy. Jedliśmy kolację ze sztywno przylegającymi do oparc krzesel plecami, przeżuując każdy kęs dziesięć razy z jednej strony i dziesięć razy z drugiej, nie odrywając oczu od twardej i zarazem

wątlej jesiennej kobiety, która recytowała z pamięci lekcję dobrego wychowania. Brzmiało to tak samo jak msza niedzielna, ale bez radosnej otuchy śpiewających ludzi.

W dniu, w którym natknęliśmy się na rozpiętą na drzwiach murenę, pani Forbes opowiedziała nam o obowiązkach względem ojczyzny. Fulvia Flaminea, unosząc

się niemal w powietrzu rzednącym od słów, podała nam na drugie danie upieczone na ruszcie płaty śnieżnobiałego mięsa o wspaniałym zapachu. Ryby od tamtej pory lubiłem szczególnie, przedkładając je nad wszystko, co jeść się dało, a pochodziło z ziemi lub z powietrza, więc owo przypomnienie naszego domu w Guacamayal napełniło mnie radością. Ale brat, nie próbując nawet dania, odsunął talerz.

- Nie lubię tego - powiedział.

Pani Forbes przerwała lekcję.

- Nie możesz tego wiedzieć - powiedziała mu - nawet nie spróbowałeś.

Ostrzegawczo spojrzała na kucharkę, ale już było za późno.

- Murena to najdelikatniejsza ryba na świecie, figlio mio

- powiedziała Fulvia Flaminea. - Skosztuj i sam zobaczysz.

Pani Forbes nawet nie drgnęła. Opowiedziała nam, w swój bezlitosny sposób, że w starożytności murena była królewskim daniem, a wojownicy walczyli o jej żółć, bo dawała ona nadzwyczajną odwagę. Następnie powtórzyła, po raz któryś z rzędu w tak krótkim czasie, że poczucie smaku nie jest cechą wrodzoną, nie jest również umiejętnością, której można wyuczyć się w jakimkolwiek wieku,

lecz należy się w tym wprawiać już od dzieciństwa. Czyli nie ma żadnego uzasadnionego powodu, żeby odmawiać jedzenia. Zdążyłem spróbować mureny, zanim dowiedziałem się, co właściwie jem, i na zawsze zapamiętałem sprzeczność, która mną wówczas owładnęła: mięso miało wyborny, chociaż trochę melancholijny smak, ale przygnębiający widok przygwożdżonego do futryny węża był

silniejszy od mojego apetytu. Brat przełamał się resztką sił i spróbował, ale nie dał rady: zwymiotował.

- Marsz do łazienki - powiedziała pani Forbes jakby nigdy nic - umyć się i z powrotem do stołu.

Bałem się o niego, bo wiedziałem, ile nerwów kosztuje go przejście przez cały dom tonący już w mroku i zostanie samemu w łazience na czas mycia. Ale wrócił bardzo

szybko, w świeżej koszuli, błądy i tylko troszeczkę drżący, i dzielnie zniósł skrupulatne sprawdzanie stanu czystości. Potem pani Forbes ukroiła kawałek mureny i nakazała, żebyśmy jedli dalej. Z trudem przełknąłem drugi

kęs. Za to brat nawet nie tknął sztucców.

- Nie zjem tego - powiedział.

Jego stanowczość była tak oczywista, że pani Forbes  
wolała uniknąć starcia.

- Proszę bardzo - powiedziała - ale nie dostaniesz deseru.

Ulga mojego brata dodała mi odwagi. Skrzyżowałem  
sztućce na talerzu, tak jak nam nakazywała pani Forbes  
po skończeniu posiłku, i powiedziałem:

- Ja też nie zjem deseru.

- I nie będziecie oglądać telewizji - odpowiedziała.

- I nie będziemy oglądać telewizji - powiedziałem.

Pani Forbes położyła serwetkę na stół i wszyscy wstaliśmy, żeby się pomodlić. Następnie odesłała nas do  
sypialni, ostrzegając, że zanim ona dokończy kolację, mamy już  
spać. Wszystkie dotychczas zdobyte przez nas punkty zostały anulowane i dopiero od dwudziestu mogliśmy  
znowu liczyć na jej ciastka z kremem, torty waniliowe, wspaniałe biszkopty ze śliwkami, na te wszystkie  
pyszności,

jakich już nigdy w życiu nie mieliśmy skosztować.

Wcześniej czy później musiało dojść do takiej chryi.

Przez cały rok czekaliśmy niecierpliwie na wspaniałe wakacje na wyspie Pantelaria, na południowym krańcu  
Sycylii, i takie rzeczywiście były przez pierwszy miesiąc, kiedy

zostali z nami nasi rodzice. Wciąż jeszcze wspominam jak

sen słoneczną równinę wulkanicznych skał, wieczne morze, pomalowany wapnem aż po dach dom, z którego  
okien

widać było w bezwietrzne noce śmigające światła afrykańskich latarni morskich. Badając z ojcem śpiące dno  
wokół

wyspy, odkryliśmy stos żółtych torped spoczywających

tam od ostatniej wojny; wydobyliśmy grecką amforę, prawie metrowej wysokości, ze skamieniałymi  
wieńcami, na

której dnie spoczywały resztki nie wiadomo jak starego

i trującego wina, i kąpaliśmy się w parującym stawie, gdzie  
woda była tak gęsta, że można było niemal po niej chodzić.

Ale najwspanialszym odkryciem była Fulvia Flaminea.

Wyglądała jak szczęśliwy biskup i zawsze chodziła otoczona stadem sennych kotów, które przeszkadzały jej w  
chodzeniu, ale ona mówiła, że trzyma je nie z miłości, ale ze

strachu, żeby nie zjadły jej szczury. Nocą, podczas gdy nasi

rodzice oglądali w telewizji programy dla dorosłych, Fulvia

Flaminea zabierała nas do swego domu, niecałe sto metrów od naszego, i uczyła rozpoznawać zapomniane i  
dalekie narzecza, piosenki, zawodzące podmuchy tunezyjskich

wiatrów. Jej mąż, zbyt młody dla niej mężczyzna, pracował

latem w hotelach na drugim krańcu wyspy, a do domu

wracał tylko na noc. Orestes mieszkał ze swoimi rodzicami

trochę dalej i zawsze pojawiał się wieczorem z pękiem ryb,

z kosztami langust złowionych przed chwilą i wieszał je

w kuchni, żeby mąż Fulvii Flaminei sprzedał je następnego dnia w hotelach. Potem znów nakładał na czoło  
swoją

latarkę płetwonurka i brał nas ze sobą, żeby łapać wielkie

jak króliki górskie szczury, czatujące na odpadki kuchenne. Czasem wracaliśmy do domu, kiedy nasi rodzice  
już

spali, a my prawie nie mogliśmy zasnąć, słysząc hurgot

szczurów walczących między sobą o resztki jedzenia na

patio. Ale nawet to było szczyptą magicznej przyprawy do  
naszego szczęśliwego lata.

Myśl o zatrudnieniu niemieckiej guwernantki mogła

powstać tylko w głowie mojego ojca, pisarza z Karaibów,

który miał więcej pretensji niż talentu. Zaślepiiony popiołami europejskiej chwały, zawsze wydawał się zbyt



gorączkowo zabiegać o to, by wybaczone mu jego pochodzenie - tak w książkach, jak i w życiu - i uroił sobie, że w synach nie pozostanie najmniejszy ślad jego własnej przeszłości. Moja matka z kolei nic się nie zmieniła od czasów, gdy była skromną, wiejską nauczycielką w górnej Guajirze, i w swej naiwności nie dopuszczała nawet myśli, że mężowi mogło przyjść do głowy coś, co nie byłoby zbawiennym pomysłem. W rezultacie żadne z nich nie zastanowiło się, jak będzie wyglądało nasze życie z tym dortmundzkim kapralem, który uparł się, że siłą wpoi w nas najbardziej staroświeckie maniere europejskich elit towarzyskich, podczas gdy oni sami, razem z czterdziestoma modnymi pisarzami, będą brali udział w pięciodniowym rejsie kulturalnym po wyspach Morza Egejskiego. Pani Forbes przybyła w ostatnią sobotę lipca na pokładzie liniowego statku z Palermo i wystarczyło nam ją zobaczyć, żebyśmy zrozumieli, że święto się skończyło. Mimo ostrego południowego upału przyjechała w oficerkach i w zapiętym na ostatni guzik żakiecie, a na krótkie, po męsku przystrzyżone włosy nałożony miała filcowy kapelusz. Czuć ją było małpimi siuszkami. "Tak pachną wszyscy Europejczycy, zwłaszcza w lecie - powiedział nam ojciec. - To zapach cywilizacji". Mimo swego wojskowego wyglądu pani Forbes była istotą cherlawą, która być może wzbudziłaby w nas odrobinę litości, gdybyśmy byli starsi albo gdyby dało się w niej odnaleźć choćby trochę ciepła. Świat stał się inny. Sześć godzin morza, które od początku wakacji były nieustannym ćwiczeniem wyobraźni, przemieniły się w jedną tylko, taką samą i wielokrotnie powtarzaną godzinę. Kiedy rodzice byli jeszcze z nami, mogliśmy przez cały czas pływać z Orestesem, podziwiając jego kunszt i odwagę, gdy uzbrojony wyłącznie w swoje noże walczył z ośmiornicami na ich terenie, w wodzie zmętniałej od krwi i atramentowej wydzieliny. I choć nie przestał przyplływać swą motorówką jak zwykle o jedenastej, pani Forbes nie pozwalała mu zostawać z nami nawet o minutkę dłużej poza czas przewidziany na lekcję podwodnego pływania. Zakazała nam chodzić nocą do domu Fulvii Flaminei, bo uważała to za zbyt niepoufale się ze służbą, i czas, który przedtem upływał nam na łapaniu szczurów, teraz musieliśmy poświęcić analizowaniu Szekspira. Dla nas, nawykłych do kradzieży mango z drzew rosnących na patiach i namiętnie rzucających cegłami w psy włóczące się po rozpalonych ulicach Guacamayal, nie istniały męczarnie okrutniejsze niż takie życie młodych książąt. Bardzo szybko zdaliśmy sobie jednak sprawę, że pani Forbes wobec samej siebie nie jest aż tak wymagająca jak wobec nas, i była to pierwsza rysa na jej autorytecie. Na początku, podczas gdy Orestes uczył nas nurkowania, kładła się na plaży pod kolorowym parasolem, odziana w swój wojenny rynsztunek, i czytała ballady Schillera, a następnie udzielała nam, godzina za godziną, aż do przerwy obiadowej, teoretycznych lekcji savoir vivre'u. Pewnego dnia poprosiła Orestesa, żeby zabrał ją motorówką do hotelowych sklepów dla turystów i wróciła z jednoczęściowym strojem kąpielowym, czarnym i lśniącym jak focza skóra, ale nigdy nie weszła do wody. Gdy kąpaliśmy się, pani Forbes smażyła się na plaży i wycierała pot ręcznikiem, nie wchodząc pod prysznic, po trzech dniach wyglądała więc jak langusta wyjęta z wrzątku, a zapach jej cywilizacji zaczął już odrzucać.

Po nocach za to dawała upust swoim żalom. Od pierwszych dni jej panowania słyszeliśmy, że ktoś kręci się po mieszkaniu w ciemnościach, odgarniając mrok rękami, i brat przestraszył się nawet, że mogą to być pokutujący topielcy, o których tyle nam opowiadała Fulvia Flaminea. Ale szybko odkryliśmy, że to pani Forbes przez całą noc żyje prawdziwym życiem samotnej kobiety, które za dnia sama uznalaby za wielce naganne. Pewnego dnia rano zastaliśmy ją niespodziewanie w kuchni, jak w nocnej koszuli pensjonarki, caluteńka obsypana mąką, przyrządzała swe wspaniałe desery, popijając ze szklanki porto i będąc w stanie umysłowego nieładu, który zgorszyłby tę drugą panią Forbes. Wiedzieliśmy już, że kiedy my kładliśmy się spać, pani Forbes wcale nie odchodziła do swojej sypialni, tylko szła pływać po kryjomu albo przesiadywała do późna w salonie, oglądając w telewizji przy wyłączonej fonii filmy zakazane dla dzieci i młodzieży, zażerając się własnymi tortami i wypijając całą butelkę specjalnego wina, którego nasz ojciec strzegł jak oka w głowie, chowając je na szczególne okazje. Wbrew własnym kazaniom o umiarze i skromności opychała się i opijała bez końca z jakąś dziką namiętnością. Później słyszeliśmy, jak gada sama do siebie w pokoju, słyszeliśmy, jak recytuje w swej melodyjnej niemczyźnie długie fragmenty z Die Jungfrau von Orleans, słyszeliśmy, jak śpiewa, słyszeliśmy, jak do świtu łka w łóżku, a rano przychodziła na śniadanie ze spuchniętymi od łez oczyma, coraz bardziej posępna i apodyktyczna. Ani ja, ani brat nie byliśmy już nigdy potem tak nieszczęśliwi jak wtedy, ale ja byłem gotów wytrzymać z panią Forbes do końca, bo wiedziałem, że tak czy inaczej jej racje będą silniejsze od naszych. Brat za to zbuntował się całym sobą i szczęśliwe lato przeistoczyło się w piekło. Zajście z mureną przekroczyło wszelkie granice. Tej samej nocy, gdy leżąc już w łóżkach słyszeliśmy nieustanną krzataninę pani Forbes po śpiącym domu, brat nagle wyrzucił z siebie całą nagromadzoną złość.

- Zabiję ją - powiedział.

Zaskoczył mnie nie tyle swoją decyzją, ile tym, iż traf chciał, że od kolacji nie myślałem o niczym innym. Ale mimo wszystko próbowałem go odwieść od tego pomysłu.

- Utną ci głowę - powiedziałem mu.

- Na Sycylii nie ma gilotyny - odpowiedział. - Poza tym nikt nie będzie wiedział, kto to zrobił.

Myślał o wydobytej z morza amforze, w której nadal zalegało śmiertcionośne wino. Nasz ojciec zachował jej zawartość, bo chciał poddać wino dokładniejszej analizie,

żeby zbadać, na czym polega jego trucicielski charakter, trucizna bowiem nie mogła powstać po prostu z upływem czasu. Użycie tego wina przeciwko pani Forbes było czymś tak prostym, że nikomu do głowy by nie przyszło, że to nie wypadek albo samobójstwo. O świcie więc, kiedy usłyszeliśmy, jak pani Forbes pada wykończona hałaśliwym czuwaniem, dodaliśmy wino z amfory do specjalnego

wina naszego ojca. Zgodnie z tym, co słyszeliśmy, była to dawka wystarczająca, żeby zabić konia.

Śniadanie jedliśmy w kuchni punktualnie o dziewiątej i przygotowywała je osobiście pani Forbes, podając również słodkie bułeczki, wstawiane wcześniej rano do piecyka przez Fulwię Flamineę. Dwa dni po dolaniu wina, podczas śniadania, brat dał mi do zrozumienia swym spojrzeniem pełnym rozczarowania, że zatruta butelka stoi nietknięta w kredensie. To było w piątek i przez weekend butelka wciąż pozostała nietknięta. Ale we wtorek w nocy pani Forbes wypila połowę, oglądając w

telewizji nieprzyzwoite filmy.

W środę przyszła jednak na śniadanie punktualnie jak zwykle. I miała, jak zwykle, ten sam wyraz twarzy po fatalnie spędzonej nocy, a jej oczy, zwykle niespokojnie rozbiegane za grubymi szklami okularów, stały się jeszcze bardziej niespokojne, gdy w koszyku z bułeczkami odnalazła list ze znaczkami poczty niemieckiej. Przeczytała go, pijąc kawę, dokładnie tak, jak nie należało robić,

o czym wielokrotnie nam mówiła, i w trakcie lektury przez jej twarz przebiegały smugi jasności bijącej z napisanych słów. Następnie oderwała znaczki z koperty i przeznaczając je do zbiorów męża Fulvii Flaminei, wrzuciła je do koszyczka z pozostałymi po śniadaniu bułeczkami. Mimo że jej pierwsze próby były zupełnie nieudane, tego dnia towarzyszyła nam w badaniu dna morskiego i bładziliśmy po morzu miękkich wód, dopóki starczyło nam powietrza w butlach, a do domu wróciliśmy, nie pobierając tym razem lekcji dobrego wychowania. Nie dość, że pani Forbes tryskała humorem przez cały dzień, to przy kolacji była ożywiona jak nigdy. Mój brat z kolei nie był w stanie ukryć rozczarowania. Ledwie padła komenda, po której mogliśmy rozpocząć kolację, natychmiast odsunął prowokacyjnym gestem talerz zupy z makaronem.

- Rzygać mi się chce od tej gównianej wody z robakami - powiedział.

Jakby cisnął na stół prawdziwy granat. Pani Forbes

zbladła i zacisnęła wargi najmocniej, jak mogła, dopóki

nie zaczęły się rozwiewać dymy wybuchu, a szkła jej okularów nie zmętniały od łez. Zdjęła je, przetarła serwetką

i zanim wstała, odłożyła ją z powrotem na stół, pełna goryczy totalnej klęski.

- Możecie robić, co wam się żywnie podoba - powiedziała. - Ja nie istnieję.

Od siódmej siedziała zamknięta w swoim pokoju. Ale

przed północą, kiedy uznała, że już śpimy, ujrzeliśmy ją

idącą w nocnej koszuli pensjonarki ku sypialni z połową

czekoladowego tortu i butelką w ćwierci wypełnioną zatrutym winem. Poczulem drgnienie litości.

- Biedna pani Forbes - powiedziałem.

Mój brat był jednak nieugięty.

- To my będziemy biedni, jeśli nie wykituje dziś w nocy - powiedział.

O świcie znów długo gadała sama do siebie, deklamowała na cały głos Schillera w natchnionym szale, by wreszcie wydać z siebie końcowy krzyk, który wypełnił

cały dom. Później wielokrotnie westchnęła z głębi serca

i padła ze smutnym, przeciągłym gwizdem dryfującej łodzi. Kiedy obudziliśmy się wyczerpani całonocnym czuwaniem, ostre słońce przedzierało się przez każdą szparkę żaluzji, ale cały dom był jak zatopiony na dnie stawu.

I wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że jest już koło dziesiątej,

a my nie zostaliśmy ściągnięci z łóżek nieuchronną pobudką pani Forbes. Nie usłyszeliśmy wody spuszczonej w ubikacji o ósmej ani lejącej się w umywalce, ani szelestu żaluzji, ani stukotu zelówek i trzech śmiercionośnych

ciosów w drzwi zadanych jej łapskiem poganiacza niewolników. Mój brat przyłożył ucho do ściany,

wstrzymał oddech, by nie umknęła mu najdrobniejsza oznaka życia

w sąsiednim pokoju, i w końcu westchnął z ulgą.

- Już po wszystkim! - powiedział. - Słuchać tylko morze.

Około jedenastej przygotowaliśmy sobie śniadanie

i przed pojawieniem się, zazwyczaj sprzątającej dom o tej

porze, Fulvii Flaminei w otoczeniu kotów, zeszliśmy na

plażę z dwiema butlami dla każdego z nas i dwiema zapasowymi. Orestes już czekał na przystani, patrosząc złowioną przed chwilą sześciofuntową doradę. Powiedzieliśmy

mu, że czekaliśmy na panią Forbes do jedenastej, ale widząc, że ciągle śpi, postanowiliśmy sami zejść nad morze.

Opowiedzieliśmy mu jeszcze, że wieczorem miała przy

stole atak płaczu i że być może źle spała i wołała zostać w łóżku. Wszystkie te wyjaśnienia, tak jak przewidywaliśmy, niewiele go obeszły, natychmiast udaliśmy się więc w jego towarzystwie na ponadgodzinną włóczęgę po morskich głębinach. Później kazał nam wrócić do domu na obiad, a sam odpłynął motorówką, by sprzedać doradę w jednym z hoteli. Stojąc już na kamiennych schodach i udając, że szykujemy się do wejścia na górę, machaliśmy mu na pożegnanie, dopóki nie zniknął za skałami. A wtedy z powrotem założyliśmy butle i wskoczyliśmy w wodę, nie czekając na czyjekolwiek pozwolenie.

Dzień był pochmurny, a zza horyzontu dobiegał ciemny huk grzmotów, ale morze było spokojne, przezroczyste i jego własne światło w zupełności wystarczało. Płynąc na powierzchni, dotarliśmy na wysokość latarni morskiej Pantelarii, później skręciliśmy sto metrów na prawo i zanurzyliśmy się tam, gdzie jak wynikało z naszych obliczeń, widzieliśmy na początku wakacji torpedy z czasów wojny. I tam też leżały: sześć pomalowanych na słoneczny, żółty kolor, z nienaruszonymi numerami serii, ułożonych na wulkanicznym dnie tak równo i porządnie, że nie mogło to być dziełem przypadku. Później pływaliliśmy wokół latarni, szukając zatopionego miasta, o którym często i z przejęciem opowiadała nam Fulvia Flaminea, ale nie mogliśmy go odnaleźć. Po dwóch godzinach, pewni, że nie ma już żadnych tajemnic do odkrycia, łapiąc ostatnie łyki tlenu, wypłynęliśmy na powierzchnię.

Podczas naszej podwodnej wyprawy zerwała się letnia burza, morze rozfalowało się, a nad ławicami zdychających na plaży ryb unosiły się z dzikim piskiem stada drapieżnych ptaków. Ale światło wieczoru jakby rozbłysło przed chwilą, a życie bez pani Forbes było piękne. Kiedy jednak pokonaliśmy wreszcie schody wśród skał, zobaczyliśmy przed domem tłum ludzi i dwa samochody policyjne i wtedy po raz pierwszy dotarło do naszej świadomości, co zrobiliśmy. Mój brat zaczął się trząść i usiłował zawrócić.

- Nie wejdę tam - powiedział.

A mnie zaczęło chodzić po głowie, że gdybyśmy poszli tylko przypatrzeć się zwłokom, to bylibyśmy poza wszelkim podejrzeniem.

- Spokojnie - powiedziałem mu. - Oddychaj głęboko i myśl tylko o jednym: my o niczym nie wiemy.

Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Zostawiliśmy przy drzwiach butle, maski i płetwy i weszliśmy bocznym korytarzem, gdzie na podłodze, przy noszach polowych, siedziało dwóch mężczyzn palących papierosy. Dopiero wtedy zauważyliśmy, że przy tylnych drzwiach stoi karetka i wielu wojskowych uzbrojonych w karabiny. W salonie, siedząc na krzesłach równo poustawianych przy ścianie, modliły się w miejscowym dialekcie kobiety z sąsiedztwa, a ich mężczyźni stłoczeni na patio rozmawiali o byle czym, bez żadnego związku ze śmiercią. Ścisnąłem jeszcze mocniej twardą, lodowatą dłoń brata i tylnymi drzwiami weszliśmy do domu. Nasza sypialnia była otwarta, a pokój znajdował się w takim samym stanie, w jakim rano go zostawiliśmy. W pokoju pani Forbes, przylegającym do naszego, stał uzbrojony i pilnujący wejścia karabinier, ale drzwi były otwarte. Z bijącymi sercami spróbowaliśmy zajrzeć do środka i ledwie wsunęliśmy głowy, kiedy Fulvia Flaminea jak burza wyskoczyła z kuchni i

zatrzasnęła

drzwi, przeraźliwie krzyząc:

- Na miłość boską, figlioli, nie patrzcie na nią!

Za późno. To, co zdążyliśmy zobaczyć przez tę króciutką

chwilę, nękało naszą pamięć przez resztę życia. Dwóch

cywilów mierzyło taśmą mierniczą odległość między łóżkiem a ścianą, podczas gdy trzeci robił zdjęcia aparatem

z czarną zasłoną, takim samym jak aparaty używane przez

parkowych fotografów. Pani Forbes nie leżała na rozbebeszonym łóżku. Leżała na podłodze, bokiem, naga w schnącej

kałuży krwi, którą zbryzgana była posadzka całego pokoju,

a jej ciało podziurawione było jak rzeszoto ciosami ostrego

noża. Otrzymała dwadzieścia siedem śmiertelnych ran i zarówno po ich liczbie, jak i po okrucieństwie widać było, że

zadane zostały z wściekłością nieujarzmionej miłości i że

pani Forbes równie namiętnie przyjęła każde uderzenie, nie

krzyżąc nawet, nie płacząc, recytując jedynie Schillera

swym pięknym, żołnierskim głosem, świadoma, że jest to

nieuchronna i bezlitosna cena za jej szczęśliwe lato.

1976

Światło jest jak woda

W czasie świąt Bożego Narodzenia chłopcy znowu zażyczyli sobie łódkę z wiosłami.

- Zgoda - powiedział tata - kupimy łódkę, jak wrócimy

do Cartageny.

Dziewięcioletni Toto i siedmioletni Joel wykazali się

jednak znacznie większą stanowczością, niż przewidywali

rodzice.

- Nie - odpowiedzieli zgodnie. - Musimy ją mieć tu

i teraz.

- Przede wszystkim - powiedziała mama - zgódźmy

się co do jednego: tutaj jedyną wodą żeglowną jest ta,

która leci z prysznicą.

Zarówno ona, jak i jej mąż mieli rację. Dom w Cartagena de Indias miał dziedziniec wychodzący wprost na zatokę i pomost, przy którym mogły cumować dwa duże

jachty, a tutaj, w Madrycie, mieszkali ściśnięci na czwartym piętrze przy alei Castellana, pod numerem 47.

Koniec końców nie bardzo mieli jak się wykręcić, bo przyrzekli łódź wiosłową z sekstantem i busolą, jeśli

chłopcy

uzyskają najlepsze świadectwa ukończenia trzeciej klasy.

I uzyskali. Tata kupił więc wszystko, nie mówiąc nic swojej żonie, zdecydowanie przeciwnej spłacaniu

jakichkolwiek długów hazardowych. Była to przepiękna aluminiowa łódź z oznaczonym złotą linią poziomem zanurzenia.

- Łódka jest w garażu - przyznał się tata podczas obiadu. - Rzecz w tym, że nie da się jej przewieźć windą ani wnieść po schodach, a w garażu już nie ma miejsca.

Wobec tego zaprosili na sobotnie popołudnie swych kolegów z klasy, żeby pomogli im wnieść łódkę po schodach

i nawet udało im się zmieścić ją w służbówce.

- Gratuluję - powiedział im tata. - A teraz co?

- Nico - odpowiedzieli chłopcy. - Chcieliśmy mieć łódkę w pokoju i już.

W środę wieczorem, jak w każdą środę, rodzice poszli

do kina. Chłopcy, panowie i władcy całego domu, zamknęli, jak mogli najszczelniej, wszystkie drzwi i okna

i stłukli jedną z żarówek palących się w lampie oświetlającej salon. Ze stłuczonej żarówki zaczęła wypływać

strużka złocistego i świeżego jak woda światła, któremu

pozwolili rozlewać się, dopóki nie zalało podłogi na głąbo-

kość czterech piędzi. Wtedy wyłączyli prąd, spuścili łódź

i do woli opłynęli wszystkie wyspy mieszkania.

Ta fantastyczna przygoda zdarzyła się wskutek mej lekkomyślności, którą nader pochwyciłem wykazałem się

w trakcie seminarium na temat poezji sprzętów domowych. Toto zapytał, jak to jest z tym światłem, że wystarczy raz pstryknąć, a już się pali, mnie zaś zabrakło odwagi, żeby pomyśleć nad odpowiedzią.

- Światło jest jak woda - odpowiedziałem. - Odkręca się kurek i już leci.

W każdą zatem środę pływali po całym mieszkaniu,

ucząc się korzystania z sekstantu i busoli, do powrotu rodziców, którzy zastawali ich już w łózkach, śpiących jak

aniołki łądu stałego. Jakby im tego było mało, chłopcy po

paru miesiącach poprosili o pełny ekwipunek do podwodnych połowów. Wszystko: maski, płetwy, akwalungi i kusze na sprężone powietrze.

- Nie dość, że w służbówce trzymacie łódkę, z którą

i tak nie wiecie, co począć - powiedział ojciec - to na domiar złego chcecie jeszcze sprzęt do nurkowania.

- A jeśli na półroczu zostaniemy wzorowymi uczniami?

- zapytał Joel.

- Nie! - krzyknęła przerażona mama. - Starczy tego.

Tata skarcił mamę za jej nieustępliwość.

- Kiedy trzeba odrobić lekcje, te łobuzy palcem nawet

nie kiwną - powiedziała - a dla głupiego kaprysu gotowe

są nawet zdobyć posadę nauczyciela.

W rezultacie rodzice nie powiedzieli ani tak, ani nie. Na

półroczu okazało się, że Toto i Joel, przez ostatnie dwa lata

najgorsi uczniowie, zostali prymusami, dostąpiwszy zarazem zaszczytu publicznego wyróżnienia przez dyrektora

szkoły. I choć nigdy więcej nie ponowili swej prośby, tego

samego wieczora znaleźli w sypialni dwa nowiutkie, jeszcze

nierozpakowane komplety wyposażenia do nurkowania.

W najbliższą więc środę, gdy rodzice oglądali Ostatnie tango

w Paryżu, chłopcy zalali całe mieszkanie światłem na głębokość dwóch sążni i niczym łagodne rekiny zaczęli nurkować

pod szafy i pod łóżka, wydobywając z głębin światła przedmioty, które w ostatnich latach utonęły w ciemnościach.

Podczas uroczystości kończących rok szkolny obu braci

postawiono za wzór dla całej szkoły i wręczono im świadectwa z wyróżnieniem. Tym razem o nic nie musieli

prosić, bo rodzice sami zapytali, czego chcą. Zachowali się

nadspodziewanie rozsądnie, bo chcieli tylko urządzić

w domu przyjęcie dla swoich kolegów szkolnych.

Tata, zostawszy sam na sam z żoną, promieniał.

- To dowód dojrzałości - powiedział.

- Daj Boże - powiedziała mama.

W środę, podczas gdy rodzice chłopców oglądali Bitwę

o Algier, przechodnie spacerujący aleją Castellana ujrzeni

kaskadę światła spadającą ze starej, ukrytej wśród drzew

kamienicy. Strumienie światła przelewały się przez balkony, spływały po fasadzie, zlewając się w jeden nurt

toczącego się po rozległej alei złotego potoku, który oświetlił całe miasto aż po szczyty gór Guadarramy.

Wezwani na ratunek strażacy, wyważywszy drzwi mieszkania na czwartym piętrze, ujrzeni wszystkie pokoje zalane

światłem aż po sufit. To niżej, to wyżej unosiły się obite

lamparcią skórą fotele i sofa, dryfując między butelkami

wypływającymi z barku, fortepianem i przykrywającą go

mantylnką, która trzepotała tuż pod powierzchnią niczym

złota płaszczka. Sprzęty domowe w pełni swojej poezji szybowwały na własnych skrzydłach po niebie kuchni.

Instrumenty dęte, na których chłopcy przygrywali sobie do tańca,  
 płynęły na wznak obok kolorowych, uwolnionych z mamusinego akwarium rybek, jedyne radosne i  
 cieszące się życiem istot pływających w ogromnym świetlistym bajorze. W łazience unosiły się szczoteczki do zębów  
 całej rodziny, prezerwatywy taty, słoiczki i flakoniki mamy i jej zapasowa sztuczna szczęka, a z sypialni  
 rodziców wynurzył się,  
 płynąc na boku, włączony telewizor z kolejnym odcinkiem  
 nocnego i niedozwolonego dla dzieci serialu na ekranie.  
 Tuż pod sufitem w głębi korytarza unosiła się łódka  
 z siedzącym na rufie Totem, który w pełnym rynsztunku  
 pletwonurka wiosłował z całej siły i do ostatniego tchu  
 w butlach, wypatrując świateł latarni portowej, i jego bratem na dziobie, który próbował wciąż ustalić  
 sekstantem  
 wysokość gwiazdy polarnej, po całym zaś mieszkaniu sunęła ławica ich trzydziestu siedmiu kolegów  
 szkolnych,  
 uwiecznionych w chwili, gdy jedni pili ukradkiem szklanką brandy tatusia, inni sikali do doniczki z geranium,  
 a jeszcze inni śpiewali odpowiednio przekreślony i szydzący  
 z dyrektora hymn szkolny. Bo zapalili tyle świateł naraz,  
 że zalali mieszkanie i dom, i cała czwarta klasa szkoły  
 podstawowej noszącej imię Świętego Juliana Gościnnego  
 utopiła się na czwartym piętrze kamienicy przy alei Castellana 47, w Madrycie, stolicy Hiszpanii, w mieście  
 odległym, w mieście skwarnych letnich upałów i lodowatych wichrów, w mieście pozbawionym morza i rzeki,  
 w mieście, którego rdzenni mieszkańcy nigdy nie należeli do mistrzów w sztuce pływania po świetle.

Grudzień 1978

Ślad twojej krwi na śniegu

O zmierzchu, kiedy dotarli do granicy, Nena Daconte  
 zdała sobie sprawę, że palec ze ślubną obrączką ciągle  
 krwawi. Żandarm z kocem z surowej wełny narzuconym  
 na trójgraniasty lakierowany kapelusz przejrzał paszporty w świetle lampki karbidowej, z wszystkich sił  
 próbując  
 utrzymać się na nogach pod napierającym od Pirenejów  
 wichrem. I choć obydwa paszporty dyplomatyczne były  
 jak najbardziej w porządku, żandarm uniósł lampkę, że-  
 by sprawdzić, czy zdjęcia odpowiadają twarzom. Nena  
 Daconte wyglądała na dziecko jeszcze, miała oczy szczęśliwego ptaka i cerę o barwie melasy, ciągle  
 promieniejącą  
 w ponurym zmierzchu stycznią słoneczną jasnością Karaibów i okutana była aż po szyję w futro z grzbietów  
 norek,  
 na którego kupno nie stać byłoby całego posterunku granicznego nawet za całoroczne pobory. Billy Sanchez  
 de  
 Avila, jej mąż, który prowadził samochód i był o rok od  
 niej młodszy i niemal równie piękny, miał na sobie marynarkę w szkocką kratę i czapkę baseballisty. W  
 przeciwieństwie do żony był postawny, atletycznie zbudowany  
 i miał żelazne szczęki nieśmiałego zbira. Ale pozycję społeczną obydwójga najlepiej unaoczniał platynowy  
 automobil, z którego wnętrza dochodziło dyszenie żywej bestii, samochód, jakiego jeszcze nikt nie widział na  
 tej  
 granicy ubogich. Tylne siedzenia zarzucone były zbyt nowymi walizkami i wieloma pudłami z  
 nierozpakowanymi jeszcze prezentami. Leżał tam ponadto saksofon tenorowy, największa namiętność Neny  
 Daconte, dopóki  
 nie uległa nieproszonej miłości swego młodszego kumpla  
 z wakacyjnej paczki.  
 Kiedy żandarm oddał im ostemplowane paszporty, Billy Sanchez zapytał o najbliższą aptekę, gdzie mogliby  
 opatrzyć palec żony, a żandarm, przekrzykując wiatr, odpowiedział, by zapytali w Hendaye, po stronie  
 francuskiej. Ale żandarmi z Hendaye siedzieli sobie przy stole,

w samych koszulach, grając w karty i pojadając bułkę moczoną w dużych filiżankach pełnych wina, w oszklonym,

ciepłym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu posterunku i wystarczyło im zobaczyć wielkość i klasę samochodu, żeby gestem zezwolić na wjazd do Francji. Billy Sanchez zaczął trąbić raz po raz, ale do żandarmów nie docierało, że to o nich chodzi, wreszcie któryś odsunął szybkę i wrzasnął z wściekłością gwałtowniejszą od wiatru:

- Merde! Allez-vous-en!

Wówczas okutana w futro Nena Daconte wyszła z samochodu i zapytała żandarma bezbłędną francuszczyzną, gdzie mieści się najbliższa apteka. Żandarm z ustami pełnymi bułki odpowiedział z przyzwyczajenia, że to nie jego

sprawa, tym bardziej przy takiej wichurze, i zamknął okienko. Ale później przyjrzał się uważnie dziewczynie ssącej zraniony palec i okrytej blaskiem najprawdziwszych nerek i widocznie przywidziało mu się, że w tę noc strachów ma do czynienia z magicznym urojeniem, bo natychmiast zmienił mu się humor. Wyjaśnił, że najbliższym miastem jest Biarritz, ale że teraz, w środku zimy i przy takim wietrze jakby się kto powiesił, najbliższa apteka będzie pewnie czynna dopiero w Bajonnie, trochę dalej.

- To coś poważnego? - zapytał.

- Nie, nie, nic takiego - uśmiechnęła się Nena Daconte, pokazując mu ozdobiony diamentowym pierścieniem palec, na którego opuszcze można było ledwie dostrzec ranę od kolca róży. - To tylko ukłucie.

Przed Bajonną znowu zaczęło sypać. Była najwyżej siódma, ale na ulicach nie spotkali żywego ducha, domy były zamknięte przed zamiecią na cztery spusty i nie natrafiwszy na aptekę mimo wielokrotnego okrążenia szeregu ulic, postanowili jechać dalej. Billy Sanchez ucieszył się z tej decyzji. Poza nieposkromioną

namiętnością do rzadkich samochodów miał również tatę dręczonego zbyt dużym poczuciem winy i posiadającego dość środków, żeby synowi dogadzać, ten zaś nigdy przedtem nie

prowadził czegoś podobnego jak ów otrzymany w prezencie ślubnym bentley kabriolet. Billy Sanchez znajdował

się teraz w takiej ekstazie, że im dłużej prowadził, tym mniej się czuł zmęczony. Gotów był tej nocy dojechać do

Bordeaux, gdzie mieli zarezerwowany apartament dla nowożeńców w hotelu "Splendid", i nie istniał taki huragan,

i nie było w niebie takiej ilości śniegu, która mogłaby mu w tym przeszkodzić. Za to Nena Daconte gonila już resztką sił, szczególnie po ostatnim odcinku drogi z Madrytu,

wiodącym górskimi wertepami bombardowanymi przez grad. Już za Bajonną owinęła sobie mocno palec chusteczką, żeby powstrzymać ciągle płynącą krew, i głęboko

zasnęła. Billy Sanchez zauważył to dopiero koło północy, kiedy śnieg przestał już padać, wiatr nagle umilkł pośród

sošen, a niebo nad równiną roziskrzyło się lodowatymi gwiazdami. Przejechał obok świateł śpiącego Bordeaux;

zatrzymał się tylko po to, żeby zatankować na stacji benzynowej przy drodze, bo jeszcze czuł się na siłach, żeby

jechać bez przerwy aż do Paryża. Był tak szczęśliwy ze swej zabawki za dwadzieścia pięć tysięcy funtów szterlingów, że nawet nie zadał sobie pytania, czy równie szczęśliwa jest owa promienna istota śpiąca u jego boku z przesiąkniętym krwią bandażem na palcu serdecznym, nad

której dziewczęcym snem po raz pierwszy pojawiły się chmury niepewności.

Pobrali się trzy dni wcześniej w Cartagena de Indias, dziesięć tysięcy kilometrów stąd, ku zaskoczeniu jego



i rozczarowaniu jej rodziców i z osobistym błogosławieństwem księdza prymasa. Nikt poza nimi nie rozumiał rzeczywistych powodów i nigdy nie poznał początków tej nieprzewidzianej miłości. A zaczęła się ona trzy miesiące przed ślubem podczas plażowej niedzieli w kurorcie Marbella, kiedy banda Billego Sancheza szturmem zdobyła

przebieralnie kobiet. Nena Daconte skończyła niedawno osiemnaście lat i wróciła właśnie ze Szwajcarii, z internatu la Chatellenie w Saint-Blaise, doskonale, bez śladu obcego akcentu władając czterema językami i mistrzowsko opanowawszy grę na saksofonie tenorowym, i było to

jej pierwsze od powrotu wyjście na plażę. Rozebrała się, by włożyć strój kąpielowy, kiedy w sąsiednich kabinach wraz z pirackimi wrzaskami wybuchła panika, ale nie rozumiała, co się wokół niej dzieje, dopóki skobelek w jej

drzwiach nie poszedł w drzazgi i nie ujrzała w progu najurodziwszego pod słońcem zbójnika. Na sobie miał tylko

kąpielówki ze sztucznej skóry lamparta, a ciało jego było zgrabne, prężne i ogorzałe jak u ludzi morza. Wokół prawej dłoni, ozdobionej metalową bransoletą rzymskiego

gladiatora, owinał sobie żelazny łańcuch, służący mu za śmiertelną broń, a na szyi zawieszony miał medalik bez świętego, pulsujący milcząco w rytm przerażonego serca.

Chodzili razem do szkoły podstawowej i brylowali na niejednym kinderbalu, bo oboje należeli do prowincjonalnych rodów, które od kolonialnych czasów rządziły, jak

chciały, miastem, ale przestali się widywać tak dawno temu, że z początku nie poznali się. Nena Daconte stała nieruchomo, nie próbując nawet zakryć swej intensywnej nagości. Billy Sanchez spełnił wówczas swój chłopięcy,

rytualny obowiązek: spuścił lamparcie kąpielówki i zademonstrował dziewczynie swe szacowne, sterczące zwierzę.

Śmiało spojrzała mu w oczy.

- Widziałam już większe i twardsze - powiedziała, opanowując przerażenie. - Więc zastanów się dobrze, co chcesz zrobić, bo ze mną będziesz musiał się sprawić lepiej od Murzyna.

W rzeczywistości Nena Daconte nie tylko była dziewczyną, ale do tej pory nigdy jeszcze nie widziała nagiego mężczyzny, wyzwanie okazało się jednak skuteczne. A

Billemu Sanchezowi przyszło do głowy jedynie, aby rąbnąć owiniętą w łańcuch pięścią w ścianę, i w rezultacie zgruchotać sobie

kości. Nena Daconte zawiozła go wpierw swoim samochodem do szpitala, następnie pomogła mu znieść trudy rekonwalescencji, a w końcu nauczyli się kochać normalnie.

Spędzili trudne czerwcowe wieczory na tarasie domu, w którym zmarło sześć pokoleń przodków Neny Daconte, ona

grała na saksofonie modne piosenki, a on w hamaku, z ręką w gipsie, przyglądał się jej z nieustannym zdumieniem.

Dom z ogromnymi oknami wychodzącymi na martwe wody cuchnącej zatoki był jednym z największych, najstarszych i bez wątpienia najbrzydszych w dzielnicy La Manga. Ale

wyłożony szachownicą płyt taras, na którym Nena Daconte grała na saksofonie, był jedyną osłoną przed upałem wczesnego popołudnia i wychodził na ocienione patio z

drzewami mango i bananowymi zaroślami, pod którymi krył się bezimienny grób, starszy nie tylko od samego domu, ale

i od najstarszych wspomnień rodzinnych. Nawet ci, którzy najmniej znali się na muzyce, uważali, że dźwięk saksofonu

zupełnie nie pasuje do siedziby tak wspaniałego rodu.

"Brzmi jak statek", powiedziała babcia Neny Daconte, kiedy po raz pierwszy usłyszała saksofon. Matka Neny Daconte bezskutecznie usiłowała nakłonić córkę, by przynajmniej

grała na nim inaczej, niż zwykła to czynić, dla wygody podwijając spódnicę wysoko, bo aż po uda, rozchylając kolana i oddając się grze ze zmysłowością, która nie wydawała jej się najistotniejsza dla muzyki. "Wszystko mi jedno, na jakim instrumencie będziesz grać - mówiła jej - pod warunkiem, że będziesz na nim grała ze złączonymi kolanami". Ale to właśnie ów pożegnalny nastrój odpływających statków i zapamiętałe uczucie pozwoliły Nenie

Daconte rozbić gorzką skorupę Billego Sancheza. Pod smutną sławą chamskiego łobuza, zasłużenie ugruntowaną znamenitymi nazwiskami rodowymi, odkryła wylęknionego i wrażliwego sierotę. W czasie, gdy powoli zrastały mu się kości dłoni, zdołali poznać się tak dobrze, że nawet Billy Sanchez był zaskoczony, że miłość przyszła tak normalnie i zwyczajnie, kiedy Nena Daconte zaprowadziła go do swego panińskiego łóża w deszczowe popołudnie, gdy zostali sami w domu. Przez następne dwa tygodnie, codziennie o tej samej porze, dokazywali nago na oczach oszołomionych portretów bojowników i nienasyconych babć, którzy przed nimi znaleźli się w rajach owego historycznego łóża. Nie ubierali się nawet w czasie miłosnych przerw, pozostawiając otwarte okna i oddychając bryzą niosącą zapach spoczywających na dnie zatoki wraków i smród gówna; saksofon milczał, a oni słuchali powszedniego gwaru patia, kumkającej na jedną nutę ropuchy pod bananowymi liśćmi, kropli wody na bezimiennym grobie, naturalnych śladów życia, których wcześniej nie mieli czasu poznać.

Kiedy rodzice wrócili z podróży, Nena Daconte i Billy Sanchez zaszli już w swej miłości tak daleko, że świata im nie starczało na nic innego i kochali się o jakiegokolwiek porze, w jakimkolwiek miejscu, za każdym razem próbując wymyślać miłość od nowa. Z początku kochali się najlepiej, jak umieli, w samochodach sportowych, które tata Billego Sancheza kupował, żeby stłumić wyrzuty sumienia. Później, kiedy samochody spowszedniały im nadmierną łatwizną, włamywali się nocą do pustych kabin plażowych w Marbelli, gdzie los zetknął ich po raz pierwszy, a raz nawet, podczas listopadowego karnawału, skryli się w przebraniach w pokojach do wynajęcia w dawnej dzielnicy niewolników Getsemani, pod opieką burdel-mam, które jeszcze nie tak dawno musiały znosić Billego Sancheza i jego uzbrojoną w łańcuchy bandę. Nena Daconte oddawała się ukradkowym miłościom z tą samą szaleńczą namiętnością, z jaką przedtem grała na saksofonie, do tego stopnia, że jej oswojony rozbójnik zrozumiał w końcu, co miała na myśli, kiedy powiedziała, że musi zachować się jak Murzyn. Billy Sanchez nie zawiódł jej nigdy, zawsze i ciągle z tym samym entuzjazmem stając na wysokości zadania. Tuż po ślubie spełnili małżeński obowiązek, odczekawszy aż stewardesy zasną, w połowie lotu nad Atlantykiem, ledwie mieszcząc się w ciasnej toalecie i umierając bardziej ze śmiechu niż z rozkoszy. Tylko oni wiedzieli, dwadzieścia cztery godziny po ślubie, że Nena Daconte jest od dwóch miesięcy w ciąży.

Kiedy więc przyjechali do Madrytu, byli jak najdalsi od tego, żeby czuć się zaspokojonymi kochankami, ale mieli w sobie dość siły, żeby zachowywać się jak dwoje niewinnych, dopiero co poślubionych małżonków. Rodzice obojga wszystko przygotowali. Zanim młoda para opuściła pokład samolotu, w kabinie pierwszej klasy zjawił się wysoki urzędnik protokołu, żeby Nenie Daconte wręczyć futro

z białych nerek obramowane połyskliwą czernią, ślubny prezent od jej rodziców. Billemu Sanchezowi wręczył kożuszek barani, ostatni krzyk mody, i nieoznakowane kluczyki do samochodu niespodzianki, który czekał nań na lotnisku.

Przedstawicielstwo dyplomatyczne ich kraju przyjęło nowożeńców w swym reprezentacyjnym salonie. Ambasador

i jego małżonka należeli od dawien dawna do najbliższych przyjaciół obu rodzin, poza tym nie kto inny, a właśnie obecny ambasador był tym lekarzem, który przyjął Nene Daconte na świat, teraz zaś czekał na nią z bukietem róż tak wspaniałych i świeżych, że nawet krople rosy wydawały się sztuczne. Przywitała ich sztubackimi całusami, speszona swoim nieco przedwczesnym zamążpójściem, a następnie przyjęła róże. Odbierając bukiet, ukłuła się kolcem w palec, ale wybrnęła z kłopotliwej sytuacji z czarującym wdziękiem. - Zrobiłam to specjalnie - powiedziała - żebyście mogli zauważyć moją obrączkę.

Cała ambasada rzeczywiście nie kryła swego podziwu dla wspaniałości obrączki, która musiała kosztować fortunę, i to nie ze względu na klasę diamentów, ale dlatego, iż był to świetnie zachowany okaz starej biżuterii.

Ale nikt nie zauważył, że palec zaczął krwawić. Uwaga wszystkich skupiła się następnie na nowym samochodzie. Ambasador wykazał się poczuciem humoru, podstawiając na lotnisko samochód zapakowany w celofan i przewiązany olbrzymią złotą kokardą. Billy Sanchez nie docenił jednak żartu. Tak go nosiło, żeby jak najszybciej zobaczyć samochód, że jednym ruchem rozerwał kokardę i opakowanie, i zaparło mu dech w piersiach. Był to ostatni model bentleya, kabriolet z tapicerką z najprawdziwszej skóry. Niebo wyglądało jak peleryna z popiołu, od gór Guadarramy dął przenikliwy i lodowaty wiatr, więc przebywanie na dworze nie sprawiało żadnej przyjemności, ale

Billy Sanchez nie czuł zimna. Przetrzywał całe przedstawicielstwo dyplomatyczne na niezadaszonym parkingu, nieświadom, że marzną z grzeczności, dopóki nie zaznajomił się z każdym najmniejszym detalem samochodu. Następnie ambasador usiadł przy nim, by służyć mu za przewodnika w drodze do rezydencji, gdzie czekano na nich

z obiadem. W czasie jazdy starał mu się pokazywać najbardziej znane miejsca w mieście, ale Billy Sanchez wydawał się zważać jedynie na magię samochodu.

Po raz pierwszy opuścił swój kraj. Przedtem poniewierał się po wszystkich szkołach państwowych i prywatnych, repetując tę samą klasę, by ostatecznie znaleźć się w przedpiekle niechcianych i niekochanych. Pierwsze spotkanie z miastem innym od rodzinnego, bloki popielatych domów z palącymi się w biały dzień światłami, bezlistne drzewa, odległe morze, wszystko razem wzmagало jego poczucie bezradności, które z trudem tłamsił,

by nie zawaładnęło jego sercem. A jednak, nie zdając sobie z tego sprawy, niebawem wpadł w pierwszą pułapkę zapomnienia. Nad Madrytem przeszła cicha, pierwsza o tej

porze roku zamieć, kiedy więc już po obiedzie opuszczali rezydencję ambasadora, by ruszyć w podróż do Francji, ujrzeni miasto pokryte iskrzącym się śniegiem. Billy Sanchez zapomniał wówczas o samochodzie i na oczach wszystkich, wrzeszcząc z radości i obsypując głowę białym puchem, zaczął tarzać się w kożusku po ulicy. To, że krwawi jej palec, Nena Daconte po raz pierwszy zauważyła, gdy o przezroczyście po zamieci zmierzchu opuszczali Madryt. Zdziwiła się, bo akompaniując na saksofonie pani ambasadorowej, która po oficjalnych

obiadach lubiła śpiewać w oryginale włoskie arie operowe, czuła tylko leciutki ból na palcu serdecznym. Później, kiedy pilotowała męża najkrótszymi drogami do granicy, odruchowo ssała palec za każdym razem, gdy ciekła z niego krew, i dopiero po dotarciu do Pirenejów pomyślała, że należałoby poszukać apteki. A potem, gdy zapadła w zaniechywany przez ostatnie dni sen i nagle obudziła się dręczona wrażeniem, że samochód płynie po wodzie, na jakiś czas zapomniała o chustce owiniętej wokół palca. Zobaczyła na świecącym się na tablicy rozdzielczej zegarze, że już minęła trzecia, przeprowadziła w myśli obliczenia i dopiero wtedy zrozumiała, że minęli i Bordeuax, i Angouleme, i Poitiers i właśnie jadą wzdłuż grobli nad wezbraną Loarą. Blask księżyca przebijał się przez mgłę i sylwetki zamków wśród sosen wyglądały jak z baśni. Nena Daconte, znając te okolice na pamięć, wyliczyła, że znajdują się około trzech godzin od Paryża, a Billy Sanchez jakby nigdy nic wciąż tkwi za kierownicą.

- Straszny jesteś - powiedziała. - Prowadzisz samochód od jedenastu godzin o pustym żołądku. Ciągłe jeszcze był pod wrażeniem nowego samochodu. Mimo że w samolocie spał krótko i źle, czuł się w pełni sił i aż nadto przytomny, żeby dotrzeć do Paryża o świcie.

- Jeszcze czuję obiad z ambasady - odpowiedział. I dodał bez żadnego związku: - Było nie było w Cartagenie dopiero wychodzą z kina. Tam jest chyba koło dziesiątej. Mimo to Nena Daconte obawiała się, że zaśnie nad kierownicą. Spośród wielu prezentów otrzymanych w Madrycie wybrała i rozpakowała jedno z pudełek i spróbowała włożyć mężowi do ust kawałek pomarańczy w cukrze. Ale on odwrócił głowę z niesmakiem.

- Mężczyźni nie jedzą słodyczy - powiedział. Tuż przed Orleanem mgła się rozwiała i ogromny księżyc oświetlił ośnieżone pola, ale ruch na drodze zwiększył się wraz z napływem ciężarówek z warzywami i cystern z winem jadących w kierunku Paryża. Nena Daconte chętnie pomogłaby mężowi, zastępując go przy kierownicy, ale nawet nie odważyła się tego zaproponować, bo już podczas pierwszej wspólnej przejażdżki zdążył ją ostrzec, że nie ma dla mężczyzny większego poniżenia niż być wozonym przez własną żonę. Po niespełna pięciu godzinach głębokiego snu czuła się wypoczęta i nawet była zadowolona, że w końcu nie zatrzymali się w żadnym z owych prowincjonalnych hoteli francuskich, które poznała w trakcie wielu podróży z rodzicami. "Nie ma na świecie piękniejszych pejzaży - mawiała - ale choćbyś konał z pragnienia, to nie spotkasz tutaj nikogo, kto poda ci za darmo szklanekę wody". Była o tym tak przekonana, że w ostatniej chwili wrzuciła do podręcznego neseserka mydło i papier toaletowy, bo w hotelach francuskich mydła nigdy nie było, a miast papieru toaletowego w ubikacjach używano gazet z poprzedniego tygodnia, pociętych w kwadraciki i wbitych na haczyk. Jedynym, czego teraz żałowała, było zmarnowanie całej nocy bez miłości.

Mąż odpowiedział natychmiast.

- Właśnie myślałem, że byłoby w pytę, gdybyśmy przelecieli się na śniegu - powiedział. - Od razu tutaj. Chcesz?

Nena Daconte poważnie potraktowała propozycję. Śnieg na skraju drogi wyglądał w świetle księżyca na miękki i ciepły, ale w miarę zbliżania się do przedmieść Paryża ruch stawał się coraz większy, zaczęły pojawiać się pierwsze oświetlone fabryki i robotnicy na rowerach. Gdyby nie

zima, jechaliby już w świetle dziennym.

- Lepiej poczekajmy do Paryża - powiedziała Nena Daconte. - W przyjemnym ciepłku i w czystym łóżku, jak ludzie po ślubie.

- Po raz pierwszy nawalasz - powiedział.

- Jasne - odpowiedziała. - Po raz pierwszy jesteśmy po ślubie.

Tuż przed świtem umyli twarze, wysiუსiali się w przydrożnej gospodzie i w towarzystwie kierowców ciężarówek

popijających wino do śniadania wypili przy kontuarze kawę

z ciepłymi croissants. W łazience Nena Daconte zauważyła

na bluzce i spódnicy plamy krwi, ale nawet nie próbowała

ich zmyć. Wyrzuciła do kosza przesiąkniętą chusteczkę,

przełożyła ślubną obrączkę na lewą dłoń i dokładnie umyła

skaleczony palec wodą i mydłem. Ukłucie było prawie niewidoczne. Ale ledwie wrócili do samochodu, ranka znowu

zaczęła krwawić. Nena Daconte przewiesiła ramię przez

okienko, przeświadczona, że lodowaty wiatr od pól ma własności środka tamującego. Był to kolejny

bezskuteczny sposób, ale jeszcze się nie zaniepokoiła. "Jeśli ktoś będzie

chciał nas odnaleźć, to przyjdzie mu to z łatwością - powiedziała z charakterystycznym dla siebie wdziękiem. -

Wystarczy, że będzie podążać śladem mojej krwi na śniegu".

Następnie zastanowiła się nad tym, co powiedziała, i jej

twarz rozpromieniła się w pierwszych blaskach świtu.

- Pomyśl tylko - powiedziała. - Ślad krwi na śniegu od

Madrytu do Paryża. Nie wydaje ci się, że to piękny temat

na piosenkę?

Nie miała już czasu, żeby nad tym się zastanowić. Na

przedmieściach Paryża palec był już tryskającym źródłem i poczuła, że teraz dusza naprawdę ulatuje jej przez

krwawiącą ranę. Spróbowała powstrzymać krwotok papierem toaletowym, który wiozła w neseserku, ledwie

jednak kończyła bandażowanie palca, już musiała wyrzucać przez okno przesiąknięty krwią opatrunek.

Ubranie,

w którym wybrała się w podróż, futro, siedzenia, powoli,

lecz nieodwracalnie nasiąkały krwią. Billy Sanchez przeraził się nie na żarty i postanowił natychmiast

poszukać

apteki, ale Nena Daconte wiedziała już, że to sprawa nie

dla aptekarzy.

- Jesteśmy prawie przy Bramie Orleańskiej - powiedziała. - Jedź prosto aleją generała Leclerca, to jest ta

najszersza, z wieloma drzewami, a później powiem ci

jak dalej.

Był to najciężniejszy odcinek całej podróży. Aleja generała Leclerca była piekielnym kłębowiskiem małych

samochodów i motorów, zakorkowanych w obu kierunkach, i ogromnych ciężarówek usiłujących dotrzeć do

hal

targowych w centrum. Billy Sanchez tak się zdenerwował

bezużytecznym jazgotem klaksonów, że obsobaczył niejednego szofera w kwiecistej mowie swych

chłopców-łańcuchowców, a w pewnym momencie już wysiadał, żeby

rzucić się z pięściami na któregoś z kierowców, ale Nena

Daconte zdołała go przekonać, że choć Francuzi są niewątpliwie największymi chamami na świecie, nigdy się

jednak nie biją. Był to kolejny przejaw jej opanowania

i rozsądku, bo w tym momencie Nena Daconte walczyła

już resztką sił, żeby nie stracić przytomności.

Wyjazd z ronda Leona de Belfort zajął im ponad godzinę. Kawiarnie i sklepy tonęły w światłach, jakby zbliżała

się północ, był to bowiem jeden z owych typowych, styczniowych paryskich wtorków, pochmurny, brudny, z

ustawiczną mżawką, która nie była w stanie przejść w śnieg.

Ale aleja Denfert-Rochereau była mniej zatłoczona i po

minięciu kilku przecznic Nena Daconte kazała mężowi,

by skręcił w prawo i zatrzymał się przy wejściu do pogotowia w ogromnym i ponurym szpitalu. Musiał jej pomóc przy wysiadaniu z samochodu, ale nie straciła spokoju ducha ani przytomności umysłu. Ułożona na łóżku na kółkach w oczekiwaniu na dyżurnego lekarza odpowiedziała pielęgniарce na pytania z kwestionariusza dotyczące jej tożsamości i przebytych chorób. Billy Sanchez trzymał jej torebkę i ścisnął lewą dłoń, na której miała teraz ślubną obrączkę, i czuł, że jest zimna i słaba, i widział, że wargi Neny Daconte zbieleły. Stał cały czas przy niej, nie wypuszczając z ręki jej dłoni, dopóki nie pojawił się lekarz dyżurny i nie przeprowadził szybkich oględzin zranionego palca. Był to bardzo młody mężczyzna o skórze barwy starej miedzi i ogolonej głowie.

Nena

Daconte nie zwróciła na niego uwagi, uśmiechając się jedynie do męża bladym uśmiechem.

- Nie bój się - powiedziała mu ze swym nieodpartym poczuciem humoru. - Najwyżej ten ludożerca utnie mi rękę, żeby ją zjeść.

Lekarz zakończył badanie i wówczas zaskoczył ich płynną hiszpańszczyzną, choć z dziwnym azjatyckim akcentem.

- Nic z tych rzeczy, moje drogie dzieci - powiedział.

- Ten ludożerca woli umrzeć z głodu niż uciąć tak piękną dłoń.

Spłoszyli się, ale lekarz uspokoił ich miłym gestem.

Następnie wydał dyspozycje, żeby odwieźć chorą. Billy Sanchez chciał iść z żoną, trzymając ją wciąż za rękę. Lekarz przytrzymał go.

- Pan zostaje - powiedział. - Żonę bierzemy na oddział intensywnej terapii.

Nena Daconte ponownie uśmiechnęła się do męża

i machając mu ręką na pożegnanie, zniknęła w głębi korytarza. Lekarz też zaczął powoli zbierać się do wyjścia, przyglądając się danym wpisanym przez pielęgniarkę do kwestionariusza. Billy Sanchez zawołał go.

- Panie doktorze - powiedział. - Ona jest w ciąży.

- W którym miesiącu?

- W drugim.

Lekarz nie przywiązywał do informacji takiej wagi, jakiej Billy Sanchez oczekiwał. "Dobrze, że mi pan powiedział", odparł i ruszył w ślad za łóżkiem. Billy Sanchez stał bez ruchu w ponurym hallu, gdzie unosiła się woń

potu pacjentów, został sam, nie wiedząc, co robić, i patrząc w pusty korytarz, którym odwieziono Nenę Daconte,

a później usiadł na drewnianej ławce obok innych oczekujących osób. Nie miał pojęcia, jak długo siedział, ale kiedy wreszcie zdecydował się wyjść ze szpitala, na dworze znów panowała noc i ciągle mżyło, a on, przytłoczony

ciężarem świata, wciąż nie wiedział, co ma z sobą począć.

Nena Daconte została przyjęta do szpitala o 9.30 we

wtorek 7 stycznia, jak zdołałem ustalić wiele lat później

w archiwum szpitala. Tej pierwszej nocy Billy Sanchez

spisał w samochodzie zaparkowanym przy wejściu do pogotowia i następnego dnia z samego rana zjadł w

pierwszej napotkanej kawiarni sześć jajek na twardo i wypił

dwie filiżanki kawy z mlekiem, od Madrytu bowiem nic

nie jadł. Następnie wrócił do poczekalni pogotowia, żeby

zobaczyć Nenę Daconte, ale dano mu do zrozumienia, że

powinien zgłosić się do głównego wejścia. Pracujący

w szpitalnych służbach pomocniczych Asturyjczyk pomógł mu tam wreszcie dogadać się z portierem, ten zaś

zdołał sprawdzić, że istotnie Nena Daconte została zarejestrowana w szpitalu, ale na odwiedziny zezwalano

wyłącznie we wtorki od dziewiątej do czwartej. To znaczy za

szesć dni. Usiłował zobaczyć się z owym mówiącym po hiszpańsku lekarzem, którego opisał jako Murzyna z ogoloną głową, ale nikt nie był mu w stanie czegokolwiek powiedzieć, mimo dwóch tak oczywistych wskazówek. Uspokojony potwierdzeniem, że Nena Daconte została zarejestrowana, wrócił na miejsce, gdzie zostawił samochód, tam zaś jeden z funkcjonariuszy drogówki kazał mu postawić wóz dwie przecznice dalej, w bardzo wąskiej uliczce, po stronie nieparzystej. Znajdował się tam odrestaurowany budynek z napisem: "Hotel Nicole". Miał tylko jedną gwiazdkę i bardzo małą salkę recepcyjną, gdzie mieściła się jedynie sofa i stare pianino, ale obdarzony piskliwym głosem właściciel potrafił porozumieć się z klientami w każdym języku pod warunkiem, że mieli czym zapłacić. Billy Sanchez wprowadził się z jedenastoma walizkami i dziewięcioma pudłami prezentów do jedyne wolnego pokoju, trójkątnej mansardy na dziewiątym piętrze, do której docierało się resztką sił po spiralnych schodach przesiąkniętych wonią gotowanych kalafiorów. Ściany były obite smutnymi tapetami, a w jedynym okienku mieściło się tylko mętne światło wewnętrznego dziedzińca. W pokoju stało dwuosobowe łóżko, ogromna szafa, zwykle krzesło, przenośny bidet i miednica z dzbanem, leżenie na łóżku było więc jedynym sposobem przebywania w tym pokoju. Wszystko było gorzej niż stare, bo nędzne, ale zarazem bardzo schludne i tchnące higienicznym zapachem dopiero co użytego lekarstwa. Billemu Sanchezowi nie starczyłoby życia, żeby rozszyfrować zagadki tego świata zbudowanego na sztuce skąpstwa. Nigdy nie potrafił pojąć, na czym polega tajemnica światła na klatce schodowej, które gasło, zanim dotarł na swoje piętro, nigdy też nie odgadł, jak można je zapalić z powrotem. Strawił pół dnia, by nauczyć się, że na każdym półpiętrze znajduje się ubikacja z wodą spuszczaną przez pociągnięcie za łańcuszek i już zdecydowany był skorzystać z ustępu po ciemku, kiedy przypadkowo odkrył, że światło zapala się po przesunięciu zasuwki, tak żeby nikt przez zapomnienie nie zostawił włączonej żarówki. Za znajdujący się na końcu korytarza prysznic, z którego Billy Sanchez uparł się korzystać dwa razy dziennie tak jak u siebie w kraju, płaciło się oddzielnie i z góry, a ciepła woda, której użycie kontrolowano z pomieszczeń administracji, kończyła się po trzech minutach. Mimo to Billy Sanchez miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby zrozumieć, że ów porządek rzeczy, tak odmienny od znanego mu dotychczas, jest mimo wszystko nieporównywalnie lepszy od panującej za oknem styczniowej słoty, poza tym czuł się tak bezradny i samotny, że nie był w stanie pojąć, jak mógł żyć kiedykolwiek bez wsparcia Neny Daconte. Dotarłszy w środę rano do pokoju natychmiast rzucił się w palcie na łóżko, nieustannie myśląc o cudownej istocie, która wykrwawiała się po drugiej stronie ulicy, i zapadł natychmiast w sen tak głęboki, że kiedy obudził się i zegarek wskazywał piątą, nie był w stanie połapać się, czy to piąta rano, czy po południu, jaki to dzień tygodnia i co to za miasto z tłukącym o szybę wiatrem i zacinającym deszczem. Nie ruszył się z łóżka, wciąż myśląc o Nenie Daconte, dopóki nie stwierdził, że w rzeczywistości świta. Wtedy poszedł na śniadanie do tej samej kawiarni co poprzedniego dnia i tam dowiedział się, że jest czwartek. Światła w szpitalu paliły się, przestało padać, oparł się więc o pień kasztanowca na wprost głównego wejścia, przez które wchodzili i wychodzili lekarze i pielęgniarki w białych kitlach, i czekał z nadzieją, że

spotka  
azjatyckiego lekarza, który przyjął Nene Daconte. Nie  
wypatrzył go rano i nie spotkał go również po południu,  
kiedy to musiał już zrezygnować z czekania, bo zmarzył  
na kość. O siódmej wypił następną kawę z mlekiem  
i zjadł dwa jajka na twardo, które sam wziął z lady po  
czterdziestu ośmiu godzinach spożywania ciągle tego samego w tym samym miejscu. Kiedy wracał do hotelu,  
marząc tylko o tym, żeby położyć się do łóżka, zobaczył,  
że jego samochód jest jedynym, który stoi po lewej stronie ulicy, podczas gdy wszystkie pozostałe parkowały  
po  
drugiej, a za wycieraczkę wciśnięty był mandat. Portier  
z hotelu "Nicole" z trudem, bo z trudem, ale jakoś zdołał  
wytłumaczyć mu, że w dni nieparzyste należy parkować  
po nieparzystej stronie ulicy, następnego zaś dnia po stronie przeciwnej. Taka porcja zdroworozsądkowych  
wymysłów przekraczała zdolności pojmwania jednego z najbardziej nieodrodných potomków Sanchezów de  
Avila,  
który jeszcze nie tak dawno, bo zaledwie dwa lata wcześniej, wjechał do kina służbowym samochodem  
samego  
burmistrza, siejąc ogromne spustoszenia w obecności nieulekłych policjantów. Billy Sanchez de Avila zgłupiał  
już  
do reszty, kiedy portier poradził mu, żeby zapłacił mandat, ale samochodu nie ruszał, bo w przeciwnym razie  
i tak będzie musiał go znowu przestawiać o północy. Tego  
dnia rano Billy Sanchez de Avila po raz pierwszy nie był  
zaprzątnięty wyłącznie myślami o Nenie Daconte, bo nie  
mogąc zasnąć i przewracając się z boku na bok, wspominał koszmarne noce w pedalskich barach przy  
targowisku  
w karaibskiej Cartagenie. Przypominał sobie smak smażonych ryb i ryżu w tawernach przy nabrzeżu, gdzie  
przybijały łodzie z Aruby. Przypominał sobie rodzinny dom ze  
ścianami pokrytymi bugenwillami, gdzie teraz jest dopiero wczoraj siódma wieczorem, i zobaczył swego ojca  
w jedwabnej piżamie czytającego gazetę w chłodzie tarasu.  
Przypominał sobie matkę, o której nikt nigdy nie wiedział, gdzie może się właśnie podziewać, swą ponętą  
i gadatliwą mamę, odświętnie ubraną, z różą wieczorem  
zatkniętą za ucho i duszącą się od spiekoty i krępujących  
ją wspaniałych tkanin. Gdy miał siedem lat, wtargnął  
któregoś popołudnia do jej sypialni i zaskoczył ją nagą  
w łóżku z jednym z jej przelotnych kochanków. Owa kłopotliwa sytuacja, o której nigdy między sobą słowem  
nie  
napomknęli, połączyła ich szczególną zmwą, znacznie  
praktyczniejszą od miłości. Billy Sanchez de Avila jednak  
nie zdawał sobie z tego sprawy, tak jak nie zdawał sobie  
sprawy z wielu innych strasznych rzeczy wynikających  
z samotności jedynaka, aż do tej właśnie nocy, kiedy przewracając się z boku na bok w smutnej paryskiej  
mansardzie, nie miał się komu zwierzyć ze swego nieszczęścia i był  
wściekły na samego siebie, bo nie mógł powstrzymać łez.  
Bezsenność wyszła mu na dobre. W piątek wstał wykończony nieprzespaną nocą, ale z mocnym  
postanowieniem, że sam zacznie stanowić o swoim życiu. Zdecydował się wreszcie rozwalić zamek od własnej  
walizki, by  
w końcu zmienić ubranie, bo wszystkie kluczyki zostały  
w torebce Neny Daconte, tak jak i większa część pieniędzy i lista telefonów, gdzie być może zdołałby odnaleźć  
numer któregoś ze znajomych w Paryżu. W tej samej kawiarni co zawsze zdał sobie sprawę, że nauczył się po  
francusku witać i zamawiać kanapki z szynką i kawę  
z mlekiem. Ale był również świadom, że nigdy w żaden  
sposób nie będzie w stanie poprosić o masło czy jajka, bo  
nigdy nie nauczył się wymawiać tych słów, ale masło i tak



podawano zawsze do pieczywa, a jajka na twardo wystawione były na ladzie i nie trzeba było ich zamawiać.

Po

trzech dniach zresztą kelnerzy oswoili się z nim do tego stopnia, że sami pomagali mu się dogadać. W piątek zatem, usiłując uporządkować nieco dotychczasowy zamęt

w głowie, zamówił na obiad cielęcy kotlet z frytkami i butelkę wina. I poczuł się tak dobrze, że poprosił o następną

butelkę, wypił ją do połowy i przeszedł przez ulicę zdecydowany wtargnąć siłą do szpitala. Nie miał pojęcia, gdzie ma szukać Neny Daconte, ale w pamięć zapadł mu opatrzniościowy wizerunek azjatyckiego lekarza, był więc święcie przekonany, że na pewno go spotka. Wszedł nie głównym wejściem, ale od strony pogotowia, które wydawało mu się mniej strzeżone, lecz zdołał dotrzeć jedynie

do korytarza, gdzie Nena Daconte machała mu dłonią na pożegnanie. Strażnik w fartuchu poplamionym krwią zapytał o coś przechodzącego obok Billego Sancheza, ale ten nie zwrócił na niego uwagi. Strażnik ruszył za nim, nieustannie powtarzając po francusku to samo pytanie, wreszcie chwycił Billego Sancheza za ramię tak mocno, że osadził go w miejscu. Billy Sanchez spróbował oswobodzić się w stylu swoich chłopców-łańcuchowców, ale strażnik w odpowiedzi obrzucił go stekiem francuskich wyzwisk, mistrzowskim chwytem wykręcił mu rękę i ani na chwilę nie przestawszy siarczyście kłać, przeniósł go niemal w powietrzu do drzwi, wściekłego z bólu, i rzucił jak worek kartofli na środek ulicy.

Tego samego popołudnia Billy Sanchez, rozbity bolesną nauczka, stał się dorosłym mężczyzną. Postanowił, tak

jak zrobiłaby to Nena Daconte, zwrócić się o pomoc do ambasadora swojego kraju. Hotelowy portier, mimo ponurego wyglądu człowiek nadzwyczaj usłużny i cierpliwości wielkiej wobec języków obcych, odszukał w książce telefonicznej adres i numer ambasady i zapisał mu wszystko na kartce. W ospałym, matowym głosie przemilej kobiety, która odebrała telefon, Billy Sanchez natychmiast rozpoznał charakterystyczny akcent andyjski. Zaczął przedstawiać się swoimi pełnymi nazwiskami rodowymi, pewny, że już dwa pierwsze zrobią na niej odpowiednie wrażenie, ale głos w telefonie nawet nie zadrżał. Usłyszał, jak kobieta recytuje wyuczoną na pamięć formułkę, że pan ambasador chwilowo jest nieobecny i spodziewany jest dopiero jutro, nie zmienia to niemniej faktu, iż pan ambasador i tak mógłby go przyjąć dopiero po uprzednim ustaleniu konkretnego dnia wizyty i tylko w szczególnym przypadku. Billy Sanchez zrozumiał wówczas, że i tą drogą nigdy nie dotrze do Neny Daconte i z równą uprzejmością podziękował za przekazaną mu informację. Następnie wziął taksówkę i pojechał do ambasady.

Znajdowała się na Polach Elizejskich pod numerem 22, w jednym z najprzyjemniejszych zakątków Paryża, ale, jak Billy Sanchez sam mi opowiadał wiele lat później w Cartagena de Indias, jedyne, co zdołał ze zdumieniem zauważyć, to świecące po raz pierwszy od kiedy tu przybył słońce, równie jasne jak na Karaibach, i wieżę Eiffla

strzeliście ulatującą w promienne niebo nad miastem.

Urządник, który go przyjął zamiast ambasadora, wyglądał, jakby dopiero co zwłókł się z łoża śmiertelnych bolesti, nie tylko z powodu czarnego garnituru, kołnierzyka mocno ściskającego szyję i żałobnego krawata, ale i ze względu na powściągliwe gesty i dobroduszy głos. Podzielał niepokój Billego Sancheza, niemniej

przypomniał

mu, nie tracąc nic ze swej łagodności, że znajdują się w cywilizowanym kraju, który rządzi się mądrymi zasadami, wypracowanymi w trakcie wielowiekowych doświadczeń, w przeciwieństwie do barbarzyńskich krajów Ameryki, gdzie wystarczy przekupić portiera, żeby dostać się do szpitala. "Nie, nie, drogi młodzieńcze - powiedział. - Nie ma innego wyjścia, jak poddać się władzy rozumu i poczekać do wtorku". - Przecież to tylko cztery dni - stwierdził. - A tymczasem niech pan zwiedzi Luwr, serdecznie panu radzę. Naprawdę warto.

Po wyjściu z ambasady Billy Sanchez znalazł się na placu Zgody, nie wiedząc, co ze sobą począć. Zobaczył sterczącą ponad dachami wieżę Eiffla i wydało mu się, że jest tak blisko, iż spróbował dojść do niej nabrzeżem. Ale szybko zdał sobie sprawę, że wieża nie tylko znajduje się znacznie dalej, niż mu się zdawało, ale że poza tym zmienia miejsce, w miarę jak się jej szuka. Spoczawszy więc na ławce nad brzegiem Sekwany, zaczął myśleć o Nenie Daconte. Zobaczył przepływające pod mostami barki i zdało mu się, że to nie statki, lecz wędrowne domy z kolorowymi dachami i z okienkami, na których parapetach stały, jedna obok drugiej, doniczki z kwiatami, i były porozpinane druty z suszącym się praniem. Przez jakiś czas przyglądał się nieruchomemu wędkarzowi z nieruchomą wędką w ręku i nieruchomą żyłką w nurcie rzeki, i w końcu tak zmęczył się czekaniem, żeby coś nareszcie drgnęło, że gdy zaczęły zapadać ciemności, postanowił wziąć taksówkę i wrócić do hotelu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nie pamięta nazwy hotelu, nie zna adresu i nie ma najmniejszego pojęcia, w jakiej części Paryża znajduje się szpital.

Cały spanikowany wszedł do pierwszej napotkanej kawiarni, poprosił o lampkę koniaku i spróbował uporządkować myśli. W trakcie zastanawiania się ujrzał własne odbicie wielokrotnie i z różnych stron powielone w licznych lustrach wiszących na ścianach i poczuł się wystraszony i samotny, i po raz pierwszy od swych narodzin pomyślał, że śmierć istnieje naprawdę. Ale po drugiej lampce koniaku poczuł się lepiej i wpadł na zbawienny pomysł, że powinien wrócić do ambasady. Poszukał w kieszeni zapisanej mu przez portiera kartki, by przypomnieć sobie nazwę ulicy, i odkrył, że na drugiej stronie miał wydrukowaną nazwę i adres hotelu. Był tak przygnębiony wszystkim, co mu się przydarzyło, że w ciągu weekendu opuszczał swój pokój tylko po to, żeby coś zjeść i przestawić samochód na odpowiednią stronę ulicy. Przez trzy dni mżyło równie paskudnie jak owego ranka, kiedy przyjechali. Billy Sanchez, który nigdy nie przeczytał żadnej książki do końca, teraz zamarzył choćby o jednej, żeby się tak nie nudzić w łóżku, ale te, które znalazł w walizce żony, były w obcych językach. Czekał więc na nadejście wtorku, gapiąc się na rzędy pawy na tapecie i ani na chwilę nie przestając myśleć o Nenie Daconte. W poniedziałek uporządkował nieco pokój, myśląc o tym, co powiedziałyby ona, widząc go w takim stanie, i dopiero wówczas odkrył, że futro z norek poplamione jest zakrzepłą krwią. Przez całe popołudnie próbował zmyć plamy perfumowanym mydłem, które odnalazł w neseserze, dopóki nie doprowadził futra do takiego stanu, w jakim wniesiono je na pokład samolotu w Madrycie.

Nadszedł wtorkowy ranek, szary i mroźny, ale bez mżawki, i Billy Sanchez wstał skoro świt, by stanąć przy wejściu do szpitala w tłumie innych odwiedzających, obładowanych prezentami i bukietami kwiatów. Wszedł ze

wszystkimi, niosąc futro z norek, o nic nie pytając i nie mając najmniejszego pojęcia, gdzie może znajdować się Nena Daconte, ale podtrzymywany na duchu przez pewność, że odnajdzie azjatyckiego lekarza. Przeszedł przez olbrzymi dziedziniec pełen kwiatów i dzikich ptaków, wzdłuż którego znajdowały się pawilony chorych: z prawej strony kobiece, z lewej męskie. Podążając za odwiedzającymi, wszedł do pawilonu kobiecego. Zobaczył długi rząd siedzących na łózkach w szpitalnych koszulkach pacjentek oświetlonych wpadającym przez ogromne okna światłem i pomyślał nawet, że to wszystko jest o wiele mniej smutne, niż można było sobie wyobrazić z zewnątrz. Dotarł do końca korytarza i przeszedł się z powrotem, dopóki nie przekonał się, że żadna z pacjentek nie jest Neną Daconte. Następnie przeszedł wzdłuż pawilonów męskich, zaglądając przez okna, by wreszcie, jak mu się wydawało, rozpoznać lekarza, którego szukał. Rzeczywiście, to był on. Stał pośród innych lekarzy i pielęgniarek, asystując przy badaniu jednego z pacjentów. Billy Sanchez wszedł do pawilonu, odsunął jedną z pielęgniarek i stanął naprzeciw pochylonego nad chorym azjatyckiego lekarza. Zawołał go. Lekarz uniósł smutny wzrok, zastanowił się przez chwilę i wówczas rozpoznał go.

- Gdzie się pan, do diabła, podziewał? - zapytał. Billego Sancheza zamurowało.

- W hotelu - odpowiedział. - Tuż za rogiem.

Wtedy się dowiedział. Nena Daconte zmarła wykrwawiwszy się, w czwartek, 9 stycznia, o 7.10 wieczorem, po siedemdziesięciu godzinach daremnych wysiłków najbardziej wykwalifikowanych specjalistów francuskich. Do ostatniej chwili zachowała przytomność umysłu i spokój, prosząc, by odszukano jej męża w hotelu „Plaza Athenee”, gdzie mieli zarezerwowany pokój, i przekazując wszystkie dane, potrzebne do skontaktowania się z jej rodzicami. Ambasada została poinformowana przez swoje ministerstwo pilnym telegramem w piątek, kiedy rodzice Neny Daconte lecieli już do Paryża. Ambasador osobiście zajął się wszystkimi formalnościami związanymi z zabalsamowaniem zwłok i z pogrzebem, utrzymując stały kontakt z paryską prefekturą policji, by zlokalizować Billego Sancheza. Pilny komunikat podający jego rysopis odczytywany był w radiu i w telewizji od piątku wieczorem do niedzieli i w ciągu tych czterdziestu godzin był najbardziej poszukiwanym człowiekiem we Francji. Jego zdjęcie odnalezione w torebce Neny Daconte porozwieszano, gdzie się tylko dało. Zatrzymano trzy identyczne kabriolety bentley, żaden nie należał jednak do Billego Sancheza.

Rodzice Neny Daconte przylecieli w sobotę w południe i czuwali przy zwłokach córki w szpitalnej kaplicy, do ostatniej chwili łudząc się, że Billy Sanchez zostanie odnaleziony. Jego rodzice również zostali poinformowani i już byli gotowi lecieć do Paryża, ostatecznie jednak, w wyniku przeinaczeń w telegramach, w ostatniej chwili zrezygnowali z podróży. Uroczystości żałobne odbyły się w niedzielę o drugiej po południu, dwieście zaledwie metrów od plugawej nory hotelowej, gdzie Billy Sanchez konał samotnie z miłości do Neny Daconte. Urzędnik, który przyjął go w ambasadzie, wyznał mi wiele lat później, że godzinę po tym, jak chłopak wyszedł z jego biura, osobiście odebrał telegram z ministerstwa i ruszył szukać Billego Sancheza po sekretnych barach Faubourg St. Honore. Przyznał mi się, że w momencie, kiedy przyjmował Billego Sancheza, nie przejął się nim zbyt wiele, bo nawet mu przez myśl nie przyszło, że za tym oszołomionym czymś dla siebie tak nowym jak Paryż Karaibczykiem w fatalnie noszonym kożuszkę stoją aż tak znamienite

nazwiska. Tej samej jeszcze niedzielnej nocy, podczas gdy Billy Sanchez powstrzymywał się resztkami sił, żeby nie rozplakać się z wściekłości, rodzice Neny Daconte zrezygnowali z poszukiwań i zabalsamowane ciało zabrali ze sobą w metalowej trumnie, ci wszyscy zaś, którzy zdołali zobaczyć zmarłą, przez wiele jeszcze lat powtarzali, że nigdy, ani wśród żywych, ani wśród martwych, nie widzieli piękniejszej kobiety. Kiedy więc Billy Sanchez wszedł w końcu we wtorek rano do szpitala, pogrzeb już się odbył w smutnym panteonie dzielnicy La Manga, nieopodal domu, gdzie oboje rozszyfrowali pierwsze tajniki szczęścia. Azjatycki lekarz, który wprowadził Billego Sancheza w szczegóły tragedii, chciał od razu dać mu tabletki uspokajające, ale ten odmówił. Odszedł bez pożegnania, nie mając za co dziękować, zaprzątnięty wyłącznie myślą o tym, że jedyne, czego rozpaczliwie potrzebuje, od zaraz, to natknąć się na kogoś, komu mógłby rozbić łańcuchem łeb, by ulżyć swemu nieszczęściu. Po wyjściu ze szpitala nie zauważył nawet, że z nieba pada śnieg bez najmniejszego śladu krwi, a jego płatki, świeże i czyste, wyglądają jak piórka gołębic, i że na ulicach Paryża panuje atmosfera wielkiego święta, bo po raz pierwszy od dziesięciu lat pada tak duży śnieg.

1976

Dotychczas w serii:

Isabel Allende Ewa Luna

Julio Cortazar Gra w klasy

Gabriel Garcia Marquez Jesień patriarchy

Manuel Vicent Pieśń Morza

Julio Cortazar Ostatnia runda

Eliseo Alberto Niech Bóg sprawi, żeby istniał Bóg

Javier Marias Jutro, w czas bitwy, o mnie myśl

Gabriel Garcia Marquez Sto lat samotności

Carmen Posadas Małe niegodziwości

Jose Carlos Somoza Jaskinia filozofów

Gabriel Garcia Marquez O miłości i innych demonach

Mayra Montero Przybądź, ciemności

Carmen Posadas Pięć błękitnych much

Gabriel Garcia Marquez Szarańcza

Isabel Allende Opowieści Ewy Luny

Mario Vargas Llosa Pochwała macochy

Gabriel Garcia Marquez Kronika zapowiedzianej śmierci

Jose Carlos Somoza Dafne znikająca

Gabriel Garcia Marquez Miłość w czasach zarazy

Jose Carlos Somoza Klara i półmrok

Manuel Vicent Dziewczyna Matisse'a

Isabel Allende Niezgłębiony zamysł

Marina Mayoral Utajona harmonia

Julio Llamazares Żółty deszcz

Mario Vargas Llosa Zeszyty don Rigoberta

Ignacio Padilla Amphitryon

Jose Carlos Somoza Trzynasta dama